PODANIA i LEGENDY

POLSKIE, RUSKIE, LITEWSKIE

ZEBRAŁ

LUCIAN SIEMIEŃSKI.

Hâtons–nous d'écouter les délicieuses histoires du peuple avant qu'il les ait oubliées, avant qu'il en ait rougi, et que sa chaste poesie, honteuse d'être nue, se soit couverte d'un voile comme Eve exilée du paradis.

CH. NODIER.

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO,

Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki.

1845.

EX
LIBRIS
BIBLIO-
TEKI
UNIWER-
SYTEC-
KIEJ
W POZNA-
NIU

PODANIA i LEGENDY

POLSKIE, RUSKIE, LITEWSKIE

ZEBRAŁ

LUCIAN SIEMIEŃSKI.

Hâtons–nous d'écouter les délicieuses histoires du peuple avant qu'il les ait oubliées, avant qu'il en ait rougi, et que sa chaste poesie, honteuse d'être nue, se soit couverte d'un voile comme Eve exilée du paradis.

CH. NODIER.

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO,

Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki.

1845.

IMPRIMATUR.

Bogedain, Cenzor.

Poznań, dnia 9. Maja 1845.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA POZNAŃ

13037391

Bibl. UAM
85 K 331

KILKA SŁÓW

o ważności podań ludowych.

I.

Stary świat pogański przeminął; na jego miejscu powstała nowa wiara, poważna, tkliwa, pełna szczytnych tajemnic i szczytniejszych nadziei. Z nią zstąpiło w serce człowieka mnóstwo uczuć nieznanych starożytnym; jako to: święta gorliwość wiary, poświęcenie się, szlachetny zapał wolności, miłość, miłosierdzie, przebaczenie krzywd i uraz. Pod takiemi wpływami zrodziła się poezya lepiéj zastósowana do potrzeb chrześciaństwa, poezya mająca także swoje myty i podania. Przez długi czas nowe to źródło natchnień zaniedbaném było przez umników wszelkiego rodzaju; pobożną i tkliwą legendę zostawiano tylko starym babom i dzie-

ciom, jakby niegodną dostojniejszych uszu; podanie miejscowe o olbrzymach, duchach pokutujących i t. p., odrzucał poważny historyk, jako nieprzypadające do miary jego pojęć i poszukiwań. Zgoła, z biegiem czasu, z wzrastającym duchem dociekania i rozbiorowości psuła się owa szczytna prostota wiary, która tylu roskoszy była źródłem, a bez któréj niemasz i być niemoże prawdziwéj poezyi.

Poezya bowiem każdego okresu składa się zwykle z dwóch głównych żywiołów: z szczeréj wiary i wyobraźni człowieka, który wierzy w to, co opowiada i z wiary szczeréj ludzi z czystém uczuciem, którzy wierzą w to, co im opowiadaném jest. Za granicami téj ufności i wspólnego pojęcia, gdzie się zbiegają harmonijne organizacye, poezya jest tylko czczém słowem, tylko sztuką jałową składania wierszy. Dla tego poezya w znaczeniu prostém i pierwotném tego wyrazu, nieistnieje dziś prawie, tylko między gminem, który sam jeden jest panem potrzebnych do niéj warunków. Chcesz się z nią bliżéj zapoznać, musisz szperać po starych księgach pisanych przez ludzi gorącéj wiary i prostego ducha, albo też zasiąść w kole wieśniaczém. Tam to jeszcze krążą tkliwe i urocze podania, których powadze nikt się nieośmieli zaprzeczyć, a które z pokolenia do pokolenia przechodzą jak puścizna

w nieomylném i poważném słowie starców. Tam żadnéj wziętości niemogą mieć szydercze zarzuty zarozumiałych mędrków, dla których dociekań wiecznie są zamknięte tajemnice duchowe, bo aczkolwiek zdają się gonić za prawdą, zdobywają same tylko wątpliwości.

Klechda, podanie, legenda, niemoże przypuszczać żadnéj rozprawy ani krytyki; tarcza bowiem głębokiéj wiary odbija pociski wymagań rozumowych, jak i wzgardliwéj filozofii; utwory te ludowe nie są zmuszone zamykać się w obrębach zwykłego prawdopodobieństwa, nawet w obrębach możliwości; bo to, co nie jest dziś możliwém, bez wątpienia było niém za dawnych czasów, kiedy świat młodszy i niewinniejszy zasługiwał, aby Bóg robił dla niego cuda, kiedy anieli i święci, bez ubliżenia swéj niebiańskiéj dostojności mieszali się z ludem prostym i czystym, który dzielił swój żywot między pracę dnia każdego i pełnienie świętych powinności.

II.

Najniebezpieczniejszym nieprzyjacielem klechdy, podania, pieśni gminnéj, zgoła wszelkiéj wiary, jest ta ułamkowa cywilizacya stanów wyższych, przeciskająca się do ludu; ona mu bowiem za odsłonienie kilku materyalnych ule-

pszeń i celów, odbiera széroki świat duchowy, z którym wieśniak w ściślejszych zostawał stosunkach niż najwybujalszy filozof. Najlepiéj o tém przekonywamy się z doświadczenia na ludzie w ogólności, jeżeli rozważymy, jakim jest w krajach, gdzie go pewna oświata owionęła, a jakim w tych, gdzie przy dawnych swoich wyobrażeniach pozostał? Oto, w pierwszych — stracił bardzo wiele z swojéj prostoty, z swéj świadomości duchowéj, z swojéj poezyi; piosnek, którémi od wieków odzywały się jego lasy i pola, dziś wstydzi się śpiewać jako zbyt prostackich; w powieść, którą opowiada, niewierzy i niegniewa się, gdy ktoś ją wyśmieje; zgoła, zamieniwszy wszystkie skarby uczuciowe na zyski materyalne, staje się bardziéj kosmopolitą i wszystko mu jedno, czy przewracać ziemię w przedpotopowych lasach nowego świata, czy na besarabskim stepie. Ta półcywilizacya odejmuje owę woń niewinności, owę szczytną prostotę właściwą plemionom, co pielęgnują niewygasłe ognisko wiary; i patrzmy! — tam, gdzie jeszcze niedosięgła, pojawiają się niezmierne materyały, z których dłoń twórczego geniuszu może wznieść budowę społeczną, o wiele spanialszą nad wszystkie mrzonki nowoczesnych socyalistów. Rozumiem tu głównie lud w naszych polskich ziemiach tak ruski jak litewski. Dzisiaj jest on takim jeszcze,

jakim był przed tysiącem i więcéj lat. Religia chrześciańska podciągnęła tylko jego wyobrażenia pod jeden wielki system domowy, społeczny i polityczny, a bynajmniéj niezniszczyła dawnych podań, ale wytłumaczyła je i uzupełniła, co właśnie, jak się wyraża Mickiewicz, stanowi jéj charakter postępu. Wiadomo powszechnie, że między dogmatami chrześciaństwa a dogmatami pogańskiémi jest związek.*) Religia chrześciańska niezniosła ofiary, tylko wykryła jéj znaczenie, nieodrzuciła pojęcia pierwiastków złego i dobrego, tylko objaśniła ich stosunek, łączyła się przeto z najistotniejszemi zasadami wiary pogan.

---

*) Niemożna twierdzić, aby przy gorliwości pierwszych apostołów chrześciańskich religia łamała się do wyobrażeń pogan, jak to utrzymują niektórzy; raczéj przyjąć należy, że w bezduszne formy wiar pierwotnych wstępował duch chrześciański i ożywiał je. Liczne tego mamy dowody: na Ukrainie obrzęd Kupajła zeszedł się z Św. Janem Chrzcicielem, którego zowią Iwan Kupajło; toż samo o Kolladzie i Pałykopie, z których pierwsza przypada na Boże Narodzenie, drugi na d. 27. Lipca, kiedy kościół obchodzi Św. Pantalemona. Na Żmudzi także modlą się do Perkunateli, czyli do Najśw. Panny, nazywanéj u nich Panna Marya Perkunatele. W Połądze, jak mówi X. Jucewicz, gdzie jest góra Biruty, lud odbywa pobożne pielgrzymki i uznaje ją za świętą i właśnie, kiedy zwiedzał tę górę, postrzegł wieśniaczkę chodzącą na kolanach około krzyża, gdy ją spytał dla czego się modli? odrzekła: w czasie mojéj choroby uczyniłam ślub, jeśli tylko przyjdę do zdrowia, odwiedzić grób świętéj Biruty.

III.

Sądzę więc, że źle ci robią, którzy za nic poczytując tę samorodną cywilizacyę ludu, gardzą nią, jako przesądem lub zabobonem i gwałtem mu narzucają formy społeczeństwa zachodniego, które, jak to dobrze dziś czujemy, opierają się na dość niegruntownych podstawach, gdyż lada system, lada wypadek, wstrząsa je i obala. Daleko ważniejszém zadaniem byłoby, miasto przewracać zbutwiałe karty przeszłości, z których niemoże nic żywotnego się wysnuć, czytać w otwartéj księdze ludu; zbadać jego życie wewnętrzne (zewnętrznem, to jest politycznem dotąd nieżył) we wszystkich korzeniach i gałęziach tego tajemniczego drzewa, i znaleść klucz do jego serca, które dotąd jeszcze się nieotwarło i nieotworzy nawet za obiecane złote góry. W przedmiocie tym najjaśniéj i najgłębiéj wypisał się autor rozprawy o Góralach Tatrańskich, umieszczonéj w piśmie czasowém „Rok 1844.“ na miesiąc Wrzesień posz. IX., do niéj więc odsyłam; tam znajdzie się i podział téj pracy i wytknięte jéj cele. To tylko jeszcze natrącę, że przedsięwzięcie to, tak pod względem użytku publicznego, jak literackiéj zasługi, przyniosłoby tysiąckroć ważniejsze korzyści, niż ogłaszanie zdań pseudopostępowych, niż wartowanie starych

broszur lub paszkwili i karykatur różnoczesnych, z których pan Maciejowski odgadywał przeszłość polskiego i ruskiego narodu. Nie za stolikiem to, z piórkiem i okularami, nie nad stosem szpargałów, przychodzi się do odkrycia nowych prawd, lub światów; Kolumb mógł z niektórych wieści od islandzkich żeglarzy domyślać się o istnieniu nieznanéj ziemi; ale byłby jéj nigdy nieodkrył, bez spuszczenia się na wiatr i losy, bez poświęcenia swéj osoby niepewnościom morza. Nieprzeczę, że w pracach tego rodzaju potrzebne są gruntowne i głębokie wiadomości, ale tylko jako środek i to podrzędny. Przykład Chodakowskiego wielu w tym względzie poruszył, ale wszyscy cząstkowie tylko działali w tym nowym dla siebie żywiole; ci do pieśni, owi do klechdy, inni do strojów i zwyczajów ludu, a nikt jeszcze nieobjął jednéj prowincyi, jednego plemienia*) ze wszystkiemi zwyczajami, wyobrażeniami, pieśniami, muzyką, tańcami, przysłowiami, podaniami miejscowemi, tajemnicami lekarskiemi, z nauką astronomii, z historyą na-

*) Między ludem naszym, który acz jednego szczepu, postrzegać się dają znaczne różnice, już to w ubiorze, już w przechowywaniu podań miejscowych, już w zwyczajach; dla tego należy odróżniać tubylców od późniejszych osadników; tak np. w Krakowskiém plemie chrobackie daje się poznać od plemienia przybyłego z Wielkopolski, które się z niém pomieszało. To samo i gdzie indziéj.

turalną (ludową) i innémi gałęziami świata umysłowego. Taki opis zaspokajałby potrzebę naszą; uczyłby szanować tę istotę, która acz stoi na najniższym szczeblu społeczeństwa, przechowała może w swém łonie pierwotne objawienie i najdawniejsze tradycye.

IV.

Wykładając wysokie zasługi wyniknąć mogące z pracy tego rodzaju, nieprzeczę, że na to potrzeba nielada odwagi, nielada siły moralnéj, a nadewszystko szczytnéj miłości i prostoty duszy; gdyż bez ostatnich warunków, niepodobną jest rzeczą dostać się do tajemnic gminu. Chciawszy doznać wzajemności, należy takim stanąć w oczach wieśniaka, jakim on jest sam; z tą wiarą, z tém prostém czuciem, bez żadnéj spekulacyi, ani podejścia. To bowiem, co ma służyć za przyszły żywioł, za tkankę wysokich przeznaczeń, niepowinno być użyte na karb dumy autorskiéj, lub dla nasycenia próżnéj ciekawości. Wieśniak nasz, jakby ostrzegany przeczuciem, że kwiat jego uczuć popadłszy się w ręce niepoświęcone, utraca woń swą i barwy, ma się ciągle na baczeniu i niełatwo przed pierwszym lepszym, tajemnicze słowo uroni, lub pieśń odśpiewa. Najlepiéj to wiedzą ci, co przestawali z ludem

i chcieli zeń coś wyciągnąć.*) Powiadał mi pewien, iż mając na myśli podania podgórskie, pytał we wsi, czy tu niema kogo, coby umiał opowiadać bajki? — Wskazano mu jakiegoś starca. — Poznawszy się z nim, częstuje go kieliszkiem, mówi grzecznie, w końcu nakręca do podań miejscowych i klechd. Starzec ujęty zaczął opowiadać — myślicie, że klechdy i podania? bynajmniéj — zbył go jakiemiś tłustemi anegdotami. — Inny znowu na Litwie niemógł się doprosić pieśni u pewnego starca; dopiero, kiedy raz podochoceni chłopcy zaczęli wyśpiewywać wszeteczne piosenki, starzec ów przejęty zgrozą, obrócił się do zbieracza pieśni i zawołał: Za moich młodych lat nieznano piosnek, jakie ta znikczemniona młodzież śpié-

*) Nietylko u nas, ale i gdzieindziéj trudno jest dostać się do podań i pieśni ludu. Posłuchajmy, co mówi w téj mierze o wieśniakach kampańskich p. Visconti w dziełku: *Saggio de Canti popolari della provincia di Maritima e Campagna. — Roma,* 1830. — Ilekroć zdarzyło mi się prosić wieśniaków lub ich żony o powtórzenie śpiewanych piosnek, zawsze odbierałem odmówną odpowiedź i tylko niekiedy za wysoką nagrodę skłoniono się do mego żądania; a i to jeszcze winienem był bardziéj rozkazowi osób, mających u wieśniaków powagę, niż dobréj ich woli. Pieśni te tak wiernie malują wewnętrzne uczucia ich serca, iż żądanie moje zdawało im się być nietylko dziwne, lecz obrażające; prawie, jak gdyby im kto wydzierał najskrytszą tajemnicę. Twarze ich pokrywał wtedy rumieniec, w całéj postaci okazywał się przymus, pomięszanie i kwaśny humor trudny do opisania; — *pudor quidam poene subrusticus,* jak się wyraża Cicero.

wa, ale takie tylko śpiéwano — i zawiódł przecudną dumę, sięgającą Bóg wie, jak głębokiéj przeszłości Litwy. Wieśniak otoczony nieprzyjaznémi sobie żywiołami, ciśniony obcą cywilizacyą, broni swych płodów duchowych, jak największéj świętości, jakby bronił krzyża ze znakiem Zbawiciela, gdyby świętokradzca przyszedł go wywracać. Co więcéj, ma on swoje pewniki i prawa, które my nazywamy przesądem lub zabobonem, lecz bardzo fałszywie; albowiem są to prawdy uświęcone starém bardzo doświadczeniem, a utrzymujące się w postaci przysłowia, lub przypowieści; do liczby takich prawd należy i ta, aby strzedz swoich tajemnic, jak oka w głowie, inaczéj rozpowszechnione, tracą na swéj mocy i potędze. Wiemy, jak trudno wydobyć jaki środek lekarski od chłopa, który go zbawiennie używa; w jego bowiem przekonaniu nienależy się zwierzać dla nasycenia czyjéjś ciekawości, ale tylko pod uroczystą przysięgą, często na łożu śmierci, jak to ojcowie synom swoim czynić zwykli. Taką to ostrożność okazuje wieśniak w udzielaniu wszystkiego, w co wierzy; przeciwnie tam, gdzie za pierwszém słowem prawi, co mu ślina do ust przyniesie, gdzie pomięsza świeckie i obce wiadomości ze swemi własnemi, tam — niewierz jego bredniom — bo już uronił na zawsze tajemniczy kwiat pa-

proci, który mu odkrywał wszystkie tajemnicze skarby.

Na dowód powyższych mych twierdzeń, przypominam tu Staszyca, który wyraźnie mówi w Ziemiorodztwie gór karpackich, jak trudno było mu co wydobyć od Górali, mianowicie o owych talizmanach, gdzie nazwiska perskie Amschapsans i Bachman, wspomniane były. Takie jedno odkrycie wyświeciłoby może lepiéj nasze pochodzenie, nasze dawne stosunki, niż tylokrotne dociekania z pisarzów obcych, których stopa nigdy niezabłądziła na polską ziemię; ucho nigdy dźwięku słowiańskiéj niesłyszało mowy.

V.

Z drugiéj strony wszedłszy z ludem w duchowy stosunek, przypuszczeni zostajemy do wspólnego z nim dziedzictwa, wchodzimy do téj jaskini istniejącéj w podaniu, gdzie możemy garściami podnosić drogie kamienie i złoto, byle się nieobracać po za siebie, byle niemieć na myśli zdrady przeciw duchowi zostającemu na straży. Tak jest, wszedłszy raz do téj jaskini podań, klechd, pieśni, uczuć i wyobrażeń, niewolno nam obracać się na ten świat drugi, gdzie życie nagięło się tylko do konwencyonalizmu, do kształtów zmysłowych, gdzie rozbiorowość, a razem konieczny jéj wy-

padek — wątpliwość lub zaprzeczenie, zajęły miejsce silnéj wiary i żywéj poezyi, bez których ludzkość nigdy niejest w stanie ani podnieść się wysoko na drodze postępu, ani tworzyć dzieł przynoszących nieśmiertelność. — O, tylko spytajmy tych, co mieli szczęście rozmawiać z ludem, a raczéj, wyciągnąć z niego jaki nowy materyał, ile doznali rozkoszy wewnętrznéj; jak ich pojęcia przeczyściły się zaraz, jak wszelkie dotychczasowe przypuszczenia nabrały przekonywającéj pewności; Chodakowski odkrywszy jakie zapomniane uroczysko lub horodyszcze, dowiedziawszy się o jakim obrzędzie, jak po nici Aryadny odkrywa przejścia labiryntów dziejowych i nieposiada się w uniesieniu; Narbutt za odśpiewaną sobie piosnkę: Mileńka Lietwa! oddaje Litwinowi w zapale zegarek — bo z niéj wionął zaraz duch ożywczy na tę przeszłość, za którą marnie ścigał po martwych kronikarzach. — Drobne to tylko przykłady; bo i usiłowania dotąd były drobne. Najznamienitsze jednak dotąd zasługi oprócz Chodakowskiego i w części Wojcickiego, położył pan Izopolski, o ile mogę wnosić z urywków jego umieszczanych w Athaeneum. Od lat wielu szukał on po Ukrainie pieśni, podań, zwyczajów, obrzędów i t. p. wygotował obszerne dzieło, które niewiém dla czego, gdy tyle ramot się pojawia, dotąd tylko ułam-

kami i wyjątkami nas dochodzi. Zajrzyjmy do niego, co mówi o Ukraińcu, kiedy ci pierś swoją otworzy: „Wszystkie pamiątki żywe obudzają uczucia w Ukraińcu, a oko jego jakkolwiek z niémi jest oswojone, zawsze jednak zasępia się tęskném uczuciem, gdy mu zwrócisz uwagę na te resztki przeszłości, w któréj żyje Ukrainiec, którą się pyszni i szczyci; i, kto go tylko zdoła zniewolić dla siebie, komu on pofa, temu odśpiéwa wszystkie pieśni, jakie umie o dawnych czasach, mieszając te razem z miłośnémi, hulackiémi i tym podobnémi; opowie znane sobie powieści o zdarzeniach i bohatérach, w których cześć swą dla tych powieści i pamiątek zakończy tą tęskną myślą: tak kiedyś było! — Słysząc te wyrazy, gdy je Ukrainiec z całém rozrzewnieniem wymawia, widząc jego oczy na pół wzniesione do nieba, na pół jakby pamiątkami przeszłości olśnione; jego prawą rękę na piersiach złożoną, lub splątaną na głowie w gęstych włosach; jego nakoniec wyraz twarzy i poruszenie głowy, malujące żywy obraz uczuć serca, niemożesz niewestchnąć i niepodzielić jego tęsknoty za przeszłością.“ — Taki to obraz wywnętrzającego się syna stepu podaje nam p. Izopolski; zobaczmyż, co mówi o Góralu tatrzańskim pan Zejszner: (Bibl. Warsz. 1844. Lipiec). „Powieści opowiadają Podhalanie wielce dramatycznie.

Zdaje się, jakoby tych zdarzeń byli naocznymi świadkami. Ich twarze i cała postać przybiera wtedy wyraz to podziwienia, to żalu, to smutku; w dali jednak przebija się jakby z po za obłoka, wyraz prawdy ostrzegającéj, że to są piękne ułudzenia, bez rzeczywistości, których sprawdzenia życzyćby sobie warto.“ — Ukraińca tęskny żal za piękną przeszłością, Podhalana pragnienie, aby się te złote rojenia sprawdziły, są jakby przeczuciem téj jasnéj drogi, po któréj mamy dążyć do odrodzenia w postępie, czyli przechodzić z wysokiego wykształcenia form, do również wysokiego wykształcenia ducha, już to stając się prostymi, wierzącymi, jak ten lud wielki w swéj niewinności i ciemnocie, już to na téjże drodze, użyczając mu zasobów naszego doświadczenia i odkryć na polu nauk i życia społeczeńskiego.

VI.

Z tych krótkich napomknień o ważności badań nad naszym ludem, jako téż o trudnościach towarzyszących podobnym przedsięwzięciom, przystępuję do pomówienia kilku słów o niniejszym zbiorze podań i legend, wykonanym przezemnie. Nieroszcząc sobie bynajmniéj prawa do tak wysokiéj zasługi, jaką wskazałem tym, co się poświęcą doskonałemu zgłębieniu jakiéj części kraju, pod względem

badań nad światem umysłowym ludu, wykonałem tylko bardzo małą cząstkę tego wielkiego i pracowitego zadania, zbierając same podania, czyli tradycye miejscowe; już to odnoszące się do pomników, jak: mogiły, zamki, kamienie, już do miejsc, jak: jeziora, rzeki, lasy, góry, jaskinie; także do osób historycznych; do legend kościelnych przechowanych w jakiéj pamiątce — następnie téż i do wyobrażeń dziś istniejących o nadzwyczajnych istotach, czarownicach, djabłach, wilkołakach i t. p. Wszystko, co tylko mogło mię dojść z drukowanych źródeł, użyłem na ten cel; mianowicie zaś z Klechd p. Wojcickiego i ze Wspomnień Wielkopolski p. E. Raczyńskiego, aczkolwiek w ostatnie to dzieło wpłynęło wiele podań pióra znanego poety Berwińskiego i artykułów umieszczonych w „Przyj. Ludu.“ Wiele podań dostarczyły mi kroniki nasze; a legend, żywoty świętych; znaczna jednakże część doszła mię z ustnych opowiadań, bądź wprost od ludu, bądź od osób, które przypadkowo lub z umysłu przyszły do posiadania onychże. — Zwracam tu uwagę czytelnika, że do zbioru niniejszego nieprzyjąłem tak zwanych klechd czyli bajek; ten rodzaj bowiem utworów gminu, należy do innego działu. Podanie właściwe trzyma się albo pewnego miejsca, albo téż nosi na sobie cechę pewnéj rzeczywistości history-

cznéj lub pochodzenia z czasów pogańskich, gdy przeciwnie klechda, swobodna jak wietrzyk, jest czystą igraszką fantazyi lubującéj się w pewnych obrazach i przedmiotach, a mianowicie postaciach bohatérskich. Lud do niéj nieprzywięzuje téj religijnéj wiary, jaką ma często w podanie; tém ona jest dla niego, czém dla nas romanse rycerskie, lub powieści Hofmana. — Niewypowiedzianéj wartości byłby zbiór takich klechd, ale z koniecznem rozgatunkowaniem i oddzieleniem tych, które się z Tysiąca Nocy nasnuły. Z tego powodu niech się kto niedziwi, dla czego zbiór mój niezawiera wiele więcéj nad 150 podań — albowiem wiążąc się do pewnych miejsc, nie są tak łatwe do zebrania, jak klechdy lub pieśni; a co największa, że od lat wielu niemając sposobności oddać się temu rodzajowi pracy, musiałem albo poprzestać na tych podaniach, które miałem nieogłoszone w moim zbiorze, albo korzystać z uprzejmości osób posiadających takowe. Z tém wszystkiém zamiar mój zbierania ich daléj, tak z dzieł ogłaszanych drukiem, jak z własnych poszukiwań nieustaje z wydaniem niniejszego dzieła; mam bowiem to przekonanie, że liczba podań ogromną jest w naszym kraju, a mianowicie w Krakowskiém i na Litwie. Ostatnie szczególniéj odznaczają się nieporównanym urokiem poetyckim i wyraźnie

czuć się w nich daje, że pogańska przeszłość Litwy nie jest zbyt jeszcze odległą. Namienić tu muszę mimochodem, o niektórych podaniach zasłyszanych przezemnie, lecz tylko urywkowo, lub niedokładnie. Warto, aby osoby, którym będą przystępne, postarały się o zebranie onych i ogłoszenie drukiem. I tak: w Krakowskiém krąży powieść o królewnie, która niechciała iść za mąż, lecz gdy na nią nalegano, odrzekła, że ten będzie jéj mężem, którego znajdą jedzącego na żelaznym stole; dworzanie wyszli szukać takiego człowieka i znaleźli rolnika w polu jedzącego obiad na żelaznym lemieszu. Zdarzenie to przypomina podanie o Libuszy. Znowu: olbrzymka wyszedłszy w pole, znalazła wieśniaka orzącego wołmi, wzięła go więc, a myśląc, że to jaki osobliwy robak, przyniosła pokazać ojcu; lecz ten ją zgromił, mówiąc: że bez tych robaków poumieralibyśmy z głodu. Podobne podanie słyszałem w Wogezach. Na Pobereżu opowiadano mi o Sołodywym Buniu, który miał tak ogromne brwi, że kiedy chciał popatrzyć, musiano mu dawać pod nie podpórki. O tymże samym Buniu jest dokładna powieść w kronice, znajdującéj się w archiwach konsystorza we Lwowie. Wnoszę, że w téj osobie przechowała się pamięć połowieckiego wodza Boniaka. — W Górznie w Wielkopolsce, gdzie poka-

zują szczątki dawnego zamczyska, który miał należeć do króla Przemysława, rozpowiadają o białéj niewiaście, pojawiającéj się zwykle w południe z pękiem kluczy. Jestże to pamiątka Ludgardy, żyjąca w tém podaniu? — Na każdém prawie miejscu można znaleść plon mniéj więcéj okwity, byle chęć mieć ku temu i nieważyć lekce podobnych pamiątek. Nieliczący już innych ztąd korzyści dla badaczy i poetów, każda okolica nabiera więcéj powabu, jeżeli głośném się stanie podanie o niéj. Ktokolwiek zwiedzał nadreńskie zamki i zwaliska, ten przyzna, że największy swój urok winny romantycznym podaniom, które po ustąpieniu dawnych rycerzy, same teraz z wijącym się bluszczem udzielnie w tych sokolich gniazdach panują i odmładzają myślą żywotną milczące i ponure głazy. — —

1. Smok.

Pod górą Wawel, gdzie dzisiaj stoi zamek krakowski, był smok wielki, który troje dobytka naraz zjadał, także i ludzi kradł i jadł; przeto musieli mu dawać obrok, każdy dzień troje cieląt albo baranów. Kazał tedy Krok nadziać skórę cielęcą siarką, a przeciw jamie położyć rano: co uczynił za radą Skuba szewca niejakiego, którego potém dobrze udarował i opatrzył. On wyszedłszy z jamy, mniemał by ciele pożarł razem: gdy to w nim tlało tak długo, pił wodę aż zdechł. Jest jeszcze jego jama pod zamkiem, Smoczą jamą zwana.

2. Mysza wieża w Kruszwicy.

Po pogrzebie Popiela starszego, wybran na jego miejsce syn jego, drugi Popiel, którego Chastkiem, od brody i włosów na głowie rzadkich, co rozpustnego znaczy, zwano: a to z dozwoleniem stryjów jego książąt. Lecz dla jego młodych lat więcéj stryjowie rządzili, niż on sam.

Gdy dorósł, dali mu żonę z Niemiec, która się mu bardzo wkradła w serce, tak iż ona rządziła, a nie on; przeto o nic innego niedbali, jedno tańcowali, dobréj myśli byli. Bacząc to stryjowie jego, upominali go, aby tego poprzestał, a R. P. przed się wziął, i o niéj lepiéj radził. Żonę takoż jego upominali, mówiąc: przetośmy cię synowcowi za małżonkę dali, spodziewając się tego po tobie, abyś go ty, jako mędrsza, hamowała od tych zbytków, które czyni. Lecz i ona, bojąc się tego, aby mimo syny jéj, albo męża, którego z stryjów innego nieobrali, zmówiła się z mężem, kazała mu się rozniemodz na śmierć, a gdy tak uczynił, obesłał stryje wszystkie, powiadając im, iż się na śmierć rozniemógł, i prosząc, aby się do niego zjechali, chcąc przed nimi testament uczynić. Gdy przyszli, cieszyli chorego: on im dzieci i żonę poruczał, był płacz po wszystkim dworze; ku wieczorowi prosił ich, by siedzieli przy nim, a pili z nim i jedli. Przyniesiono trunki ktemu przyprawione, napił się sam najpierwéj z jednego kubka, a onym drugie przyprawne z trucizną podano; gdy się porządkiem napili, strzegąc tego, aby tam który zarazem niepadł, zmyślił sobie, iż się chce uspokoić i prosił, żeby mu ustąpili, aby mógł usnąć. Ustąpili wszyscy precz, winszując mu zdrowia. Gdy przyszli do gospód, rozpalił je jad, wielką boleść cierpieli, rychło pomarli. — Gdy pani księżna usłyszała o ich śmierci, pomówiła, iż ich Bogowie skarali, powiadając to, że musieli co złego nam myślić, i niedała ich chować, jedno w jezioro wmietać; z których ciał poczyniła się wielkość myszy, które się rzuciły na Popiela i zżarły go i zamordowały i jego żonę i syny, których niemogli słudzy ani ogniem, ani bronią odegnać; a chociaż na wodę uciekali, wszędzie je myszy goniły, aż nakoniec gardła dali od nich za zamku kruszwickim.

Gmin kruszwicki utrzymuje po dziś dzień, że Popiel chcąc się od natrętnych myszy zasłonić, kazał zrobić wielką szklanną banię, w któréj się zamknął z żoną i dziećmi, i tak kazał się puścić na jezioro Gopło, ale i to nie pomogło, bo myszy banię przegryzły i zajadły Popiela.

3. Piast.

Był w Kruszwicy obywatel, syn Koszyków, imieniem Piast, wzrostu siadłego, szerokich i długich pleców, wiek średni już pomijając, a z niewielkiego grunciku roli i z barci żywot swój utrzymując. Człowiek prosty, sprawiedliwy, ludzki, jałmużnik, i podług mienia swego uczciciel wielki. Temu, gdy żona imieniem Rzepicha*), od obyczajów jego nieróżna, jedynego syna powiła, a za żywota jeszcze Popiela, pierwszy włos obrzędem pogańskim synowi podstrzygać i nazwisko nadawać miał: na on bankiet wieprza zabiwszy i kadź miodu rozsyciwszy, przyjaciół wezwał był. Pierwéj niż dzień uczty naznaczonéj przyszedł, z trafunku nagodzili się mu dwaj nieznajomi w pielgrzymskiém odzieniu młodzieńcy, których on widząc, że od dworu książęcego odepchnieni byli, łaskawie wezwał, w dom swój chętnie wprowadził, stół przygotował, i dostatek z onych potraw, na przyszłe postrzyżyny przygotowanych, przed nich postawił. Tam rzecz wielka i dziwna przypadła: przyrosło nad zamiar mięsa; lunął się miód wierzchem naczynia swego. Wnet zatém Piast, za upomnieniem gości onych, statków więcéj spożycza, miód w nie prze-

*) Na goplańskiém jeziorze dziś jeszcze jest wysepka, nosząca nazwę: Rzepny.

lewa, a za sprawą onych, już nietylko sąsiadów i przyjaciół swoich, ale też samego książęcia, (gdyż na on czas nie tak się poważnie i pieszczono nosili panowie) ze wszystkim dworem jego na ucztę naznaczoną zaprasza. Ciż to tedy goście, gdy wtóry raz, a prawie czasu zjazdu onego, do niego przyszli; Piast za rozkazaniem ich, z ubożuchnéj spiżarni swéj, wszystek on zjazd, od głodu prawie zdychający, dostatkiem hojnéj żywności karmił; gdyż każda rzecz ujęta, na to miejsce okwicie przybywała. Co gdy się rozsławiło, jednostajnym wszyscy głosem Piasta, nie zdaniem, abo pomocą ludzką obranego, ale przejrzeniem Boskiém za Pana sobie być podanego, krzyknęli. Zbiegnie się wtém do domu jego wielka moc panów: proszą i wymagają na nim, aby lecącą rzeczpospolitę podźwignął: wzbrania się ten. Za sprawą jednak i pozwoleniem gości swoich, tak, jako chodził w siermiędze, w kurpiach łyczanych, na zamek od starszych prowadzony jest. A goście oni, dosyć uczyniwszy powinności swéj, zniknęli. Rozumieją tedy jedni, że to byli Aniołowie Boży, jałmużnę i dobroczynność, chociaż poganinowi odpłacający.

4. Pięciu męczenników kazimirskich.

Jadąc z Konina do Kazimierza drogą piaszczystą i nudną, postrzega się na lewo w lesie klasztor Minichowski, stojący na wzgórku, dziś podupadły i pusty; — naprzeciw niego tuż przy drodze na prawo stoi mała kapliczka drewniana, z prostych desek zbita i pochylona; — w niéj studzienka, w najgorętszéj nawet porze napełniona wodą, do któréj lud cudowną przywięzuje siłę, zwłaszcza na chorobę oczu i kołtuna; — ztąd ściany owéj kapliczki zakryte prawie całkiém włosami, kołtunami, a nawet włó-

siem końskiém. — Woźnica mój, poczciwy kmiotek okoliczny — przemywszy sobie oczy cudowną wodą z studzienki, wyrwał z grzyw lichych swych szkapin po garści włosienia i pokropione tąż wodą zaczepił o drzazgę na ścianie; a kiedym go, nieświadomy naówczas jeszcze podania, zapytał o przyczynę téj dziwnéj operacyi, odpowiedział mi z powagą polskiemu chłopkowi właściwą, że woda ta za lepszych, prawowitszych czasów daleko większą miała siłę cudowną, bo nietylko ślepotę, ale wszystkie inne kalectwa leczyła, — a ludziom w łasce Bożéj będącym nawet członki odcięte za jéj pomazaniem odrastały. Cudowność zaś ta, bardzo dawnych sięga czasów i z dziwnie staremi zdarzeniami jest połączona. Działo się to za rządów wielkiego króla naszego Chrobrego, który przy wolnym czasie na łowy zjeżdżał w te strony; — bo były téż to, mówił daléj mój opowiadacz, były to strony dzikie i leśne — w około bagna i puszcze. — Ztąd jeno mila do Ślesina, a tam dziś jeszcze knieje sławne z rozbojów; nasi starzy powtarzali, a i my złym parobczakom mawiamy: będziesz zbijał na borach ślesińskich. Dawniéj oczywiście jeszcze gorzéj było; nie tyle prawda złych ludzi, ale dzikiego i drapieżnego zwierza więcéj się chowało po większych puszczach. Mój ojciec, co żyli lat dziewięćdziesiąt i sześć na świecie, powiadali mi, że raz za młodych lat, kiedy powrócili z jarmarku i jednego konia wyprzężonego wprowadzili do stajni, to drugiego przez ten czas wilki zjadły przy dyszlu. Takie to tu przed stu laty były puszcze, a jakież być musiały w on czas, kiedy do nich Chrobry na łowy zjeżdżał. — Mięszkał on wtedy tam, gdzie dziś Gosławice, na zamku, który dopiero za pamięci dziadka mego się spalił; — a wielką stadninę swych koni miewał na błoniach przy rzece, w téj okolicy, gdzie potém miasto założył, które nazwał Koninem,

oczywiście od tego, że się tam konie jego pasały. Było też właśnie, że na on czas w téj puszczy mięszkało pięciu pustelników — wszyscy pono bracia: Jan, Mateusz, Izaak, Krystyn i Barnabasz. Najstarszy pomiędzy nimi wiekiem i najświątobliwszy, Barnabasz, był ich przełożonym i mięszkał na osobności, tu właśnie, gdzie dzisiaj ta kapliczka ze studzienką cudowną. Reszta zaś mięszkała razem, choć każdy w osobnym domeczku; na pamiątkę tych domków do dziś dnia utrzymują w Kazimierzu kapliczki, każdą w swojém miejscu, podobnie jak owo tę Śgo Barnaby. Trza zaś wiedzieć, że miasto Kazimierz dużo później założono; — owi święci pustelnicy mieszkali w kniei, którą w koło swoich chat karczowali, zamieniając las na ogród. Najbardziéj jednak i najusilniéj pracowali nad zbudowaniem kościoła; — czego pono jednak nie dokonali, bo im śmierć męczeńska przeszkodziła; nagromadzili przecie bardzo wiele polnych kamieni, które gładko obrabiali w kostkę; z nich potém wystawiono kościół wspaniały, a kiedy późniéj zgorzał, odbudowano go drugi raz, a znowu zgorzały, po trzeci raz wystawiono tak, jak oto do dziś dnia stoi owa wspaniała fara Kazimierska. Możecie tam jeszcze teraz przypatrzyć się tym cudownym kamieniom, które się w murach znajdują pomiędzy cegłą — bo trza wam wiedzieć, że kościół powiększono tak, że na cały kamieni nie wystało; — ale jest ich przecie i tak dosyć, a wszystkie ręką świętych pustelników ociosane. Byli też to święci robotni jak chłop polski, a skromni w jadle i napoju. Przez długi czas żyli jeno korzonkami i trochą warzywa, które w swoich ogródkach sadzili. Mięsa, ani ryby nie zasmakowali nigdy; bo mięsa ślubowali nie jeść, — a co ryb, to choć tu w okolicy po jeziorach nie brak — czémże ich mieli biedni pustelnicy ułowić? — musieli się tedy obejść i przestać na korzonkach. Ale

Bóg litościwy nie chciał ich opuścić przy ciężkiéj pracy w głodzie i niedostatku — bo to do pracy, panie, sił człeku trzeba. Owoż tedy taki cud im sprawił.

Jednego razu szedł témi stronami pewien rzeźnik z Gniezna, takoż człek poczciwy i bogobojny — i niósł kawał mięsa dla swego rodzonego, co tam gdzieś jeszcze daléj mięszkał na kmietwie; a kiedy tu w tę okolicę zaszedł w czasie południa, ujrzał pięciu biednych pustelników, jak lichą strawę z korzonków sporządzoną, zajadali, modląc się. — Otóż ulitował się nad nimi poczciwy rzeźnik, a był dobrym chrześcianinem i chciał im dać to, co niósł dla brata — ale pustelnicy przyjąć nie mogli, a Barnaba rzekł mu: że mięsa nie jedzą. Owoż tedy człowiek z rzemiosła rzeźnik, bo mięso jadał i lubił — jeszcze bardziéj litować się począł nad nimi — i szczérze żałował, że raczéj nie jest rybakiem, bo wtedy nie mięso, ale zapewne rybę niósłby dla brata i mógłby nią głodnych pustelników nakarmić; — co, że szczérze mówił, Pan Bóg wszechmocny oczywiście pokazał, bo naraz owo mięso przemienił w rybę bardzo wielką i piękną. Zdumieli się wszyscy nie pomału — a rzeźnik poczciwy, upadłszy na kolana, dziękował Panu Bogu za to, że go wysłuchać raczył i oddał rybę Barnabie, który ją pobłogosławił, a odciąwszy głowę, sprawił i upieczoną spożył razem z drugimi i z owym rzeźnikiem, modląc się Panu; — głowę zaś wpuścił do małéj studzienki, którą miał przy swéj pustelni, bo mu tak głos Boży rozkazał w jego duszy. Owoż nazajutrz, kiedy się znowu wszyscy koło południa zeszli na obiad, po odprawionych modlitwach, poszedł Barnaba do swojéj studzienki i łowić w niéj zaczął, bo mu znowu głos Boży w jego duszy tak zrobić rozkazał i ku zadziwieniu wszystkich wydobył z niéj rybę w całości taką, jak ją wczoraj odebrał z rąk rzeźnika, a pobłogosławi-

wszy odciął głowę, rybę upieczoną spożył z braćmi swymi, a głowę do studzienki zapuścił. Nazajutrz ryba znowu odrosła w całości i tak cud ten co dzień się powtarzał i żywił biednych pustelników; a choć to cud wielki i niepojęty, — to i moc Boska wielka i niepojęta, mój dobrodzieju — a jego łaska nieustająca nigdy nie wysycha, jak owa woda téj studzienki, za któréj pomazaniem niejednemu już członki odrastały, jakoby na pamiątkę szczéréj ofiary i dobrego uczynku, któremi się ów poczciwy rzeźnik gnieźnieński przed Panem Bogiem zasłużył. — Aliści i zgorszenia przyjść muszą — jak Chrystus Pan uczy. — Owoż tedy zdarzyło się w parę lat późniéj, że Chrobry w te strony na łowy zajechał — a polując po puszczy, zawinął raz na miejsce, wykarczowane ręką ludzką, gdzie było trochę uprawnéj ziemi i cztery małe chateczki. Poznał on wtedy dopiero owych pustelników, o których pierwéj nigdy nie słyszał — dziwił się ich świątobliwemu życiu i niezmordowanéj gorliwości w ociosywaniu kamieni na przybytek chwały Bożéj — a widząc zarazem ich ubóstwo i nędzę, że był król wspaniały i wielki, chciał im jakoś dopomodz i po królewsku łaskę swoję okazać. Oddał im przeto wszystko srebro i złoto, które miał ze sobą i na sobie — tak znać tusząc, jako człowiek światowy i możny, że całém szczęściem na świecie jest ta mamona mizerna, a nie wiedział zasię, że owi pustelnicy na ubóstwo ślubowali Bogu; oni mu téż tego nie rzekli, czy to z przestrachu przed tak wielkim i potężnym królem, którego pierwszy raz oglądali, czy téż może złe ich skusiło; boć to i święci miewali pokusy, a nie zawsze im się oparli. Dosyć, że bogactwa przyjęli; — a patrzeli na to dworscy królewscy i zazdrościli im skarbów, mówiąc do siebie, że lepiéjby ich użyć mogli na dworze, jak owi na puszczy. Owoż stało się daléj, kiedy król odjechał, a obiadowa godzina nadeszła,

że się czterej bracia wedle zwyczaju zebrali u najstarszego Barnaby, który na ustroni zamieszkały, o tém, co zaszło, nie wiedział i po dawnemu odmówiwszy modlitwy, pobiegł łowić rybę w studzience. — Aliści tą razą wyłowił jeno głowę nieodrośniętą, a spojrzawszy na braci, widział wstyd ich i pomięszanie i rzekł zasmucony: bracia zgrzeszyliście! Oni też przyznali się zaraz do winy, a widząc wyraźny gniew Boży, postanowili przebłagać go ciężkiémi pokutami, które sami na się nałożyli; — Barnaba zaś postanowił zwrócić królowi, co jest królewskiego; wnet zabrawszy skarby zostawione, udał się z niemi w drogę do Gosławic, gdzie król na wypoczynek zwykle wieczorem z łowów powracał. Tu czekał na niego do nocy, a uzyskawszy wreszcie posłuchanie, stawił się przed nim w pokorze i rzekł: królu miłościwy! jestem Barnaba pustelnik i najstarszy brat tych czterech, których dzisiaj przez niewiadomość pokusiłeś do grzechu. Ślubowaliśmy na ubóstwo, a oni od ciebie złoto przyjęli. — Dałeś im skarby tego świata, a odebrałeś skarb niebieski — łaskę nieustającą Pana. Odbierz, królu, co twego; a przyczyń się za nami modlitwą do Boga, aby nam przywrócić raczył spokojność naszą doczesną i zbawienie wieczne!“ — Król zdumiony prostotą i świątobliwością Barnaby, czuł to sam u siebie, że źle zrobił, kusząc światowemi bogactwy święte ubóstwo; ale jako był dumny z natury i stanu swego, nie chciał się zaraz przyznać do winy i mówił, że owo złoto zostawił gwoli prędszego wybudowania kościoła, w którymby niezadługo chciał widzieć odprawioną chwałę Bożą; aliści miasto odpowiedzi, począł tu Barnaba gorzko płakać i znów się radośnie uśmiechać, czém król mocniéj jeszcze zdumiony, zapytał się o przyczynę tego dziwnego płaczu i śmiechu, a Barnaba rzekł: „Płaczę mój królu, nad straszną, choć sprawiedli-

wą karą, jaką Bóg w téj chwili braciom moim za ich przewinienie wymierza, a raduję się ze szczęścia, jakie ich czeka w niebiesiech!“ I tu duchem proroczym natchniony oświadczył królowi, że dworzanie jego, widzący pozostawione braciom pustelnikom bogactwa, unieśli się chciwością i śpiących nocną porą napadli, a nie mogąc znaleść owych skarbów w żadnym domku pustelniczym, rozumieli, że je gdzieś w ziemi zakopano i męczarniami chcieli wymódz ich odkrycie, co gdy nie pomagało; przez złość, czy też z obawy, aby poznanych nie doniesiono królowi, wszystkich braci pomordowali okrutnie. — „Widzę tę krew męczeńską, wołał płacząc Barnaba; w téj chwili dokonywają swéj zbrodni, ostatni i najmilszy brat mój Mateusz upada pod ciosami zabójców. Ale Bóg sprawiedliwy niedopuści im ucieczki, którą się chcą ratować!“

Jakoż król wysłał zaraz łuczników gwoli schwytania morderców i wnet ukazała im się wielka światłość po nad puszczami i wiodła ich na miejsce dokonanéj zbrodni. — Była to łuna bijąca od chat podpalonych przez zbójców, którzy rozum utraciwszy w około nich biegali jak błędni. Jedni mówią, że wzrok postradali, ale to pono Pan Bóg takie omamienie zesłał na nich, że nie wiedzieli dokąd uciekać i wnet się wszyscy dostali w ręce pogoni. Téj jeszcze nocy stawiono powiązanych przed królem, który w gniewie wielkim chciał wszystkich okrutną śmiercią potracić; ale Barnaba wstawiał się za nimi i jako dobry chrześcijanin prosił o litość dla nieprzyjaciół; czego jednak król wysłuchać nie chciał, bo był twardéj woli. Otoż wtedy Barnaba, widząc, że u ziemskiego mocarza politowania nie znajdzie, upadł na kolana i gorąco modlił się do Boga, aby nie dozwolił zatraty tylu dusz grzesznych, które się pokutą i skruchą oczyścić jeszcze mogą na ziemi; a modlił się tak gorąco, że go Bóg wysłuchał i nowy cud

pokazał, bo oto naraz opadły więzy z rąk i nóg winowajców; co gdy król ujrzał, poznał w tém wszechmocny palec Boży i przeciw jego wyrokom stawiać się nie śmiał i zostawił Barnabie zbrodniarzy, którzy w nim zbawcę i świętego uznali, i poprzysięgli nigdy go odtąd nie odstąpić; jakoż udali się z nim na puszczę i tam nowy cud ujrzeli: bo oto owe chaty, co tak jasno w nocy gorzały, teraz przez ogień nietknięte stały w całości. Wprowadzili się do nich nowi pustelnicy i ciężkiemi pokutami starali się sprawiedliwość Boską przebłagać; jakoż też pewnie Bóg pełen litości darował im ich winy; a dotąd ludzie poczciwi utrzymują na miejscach, gdzie owe chaty pustelnicze stały, takie same kaplice, jak owo tu Śgo Barnaby; którąśmy w Miniszewie widzieli."

Stanąwszy w Kazimierzu, pospieszyłem obejrzyć owe starożytne kaplice i znalazłem na ich drewnianych ścianach główniejsze sceny z życia pięciu pustelników wymalowane przez jakiegoś miejscowego artystę; a mały chłopczyk, który był moim ciceronem, powtórzył mi ich historyą z niektóremi drobnémi warijantami i ofiarował się jednę jeszcze osobliwość pokazać w domu pewnego mieszczanina, dokąd zaszedłszy, oglądałem pokój, w którym niegdyś nocował Karól XII., trzymając przez noc cały łańcuch przeciągnięty dziurą wydrążoną w ścianie bocznéj, do którego przykuty był nieszczęśliwy Patkul, uwięziony w przyległym pokoju. Nazajutrz rozerwano końmi Patkula na małéj łączce, którą lud do dziś dnia Patkulką zowie, i do dziś dnia opowiadają mieszkańce Kazimierza jego śmierć męczeńską i okrucieństwo Karóla, pokazując owę dziurę w ścianie, jako niewątpliwe świadectwo. Patkul jest szóstym męczennikiem kazimirskim!

Wiadomość historyczna.

Ciekawém i ważném będzie może dla myślącego badacza porównanie tego, co lud nasz *dzisiaj* o pięciu męczennikach kazimirskich opowiada z wiadomością, jaką nam o nich zostawił *Damianus*, pisarz XIgo wieku, w żywocie Śgo Romualda, któremu był współczesny. Śty ten Romuald był założycielem zakonu Kamedułów, o których sprowadzeniu do Polski rzeczony Damianus w ten sposób się wyraża:

(*Bollandystów tom II. Februarius, p.* 114. *C. IX.*

Kiedy Romuald w Pereo zamieszkiwał (*gdzie był klasztor kamedułów*), posłał król Bolesław do cesarza z prośbą, ażeby mu tenże przysłał duchownych, którzyby w państwie jego lud na wiarę nawracali. *) Dwóch tylko pomiędzy wszystkimi było, którzy się gotowymi na tę podróż oświadczyli; z tych jeden Jan, drugi się zwał Benedykt. Ci tedy idąc do Bolesława, zatrzymali się pierwéj (pod jego opieką), w pustyni i dla tém lepszego nawracania i kazania uczyli się pilnie języka słowiańskiego; siódmego zaś roku, gdy już mowę krajową dobrze poznali, do Rzymu wyprawili mnicha, prosząc przezeń najwyższéj głowy kościoła (*Jana* 18*go zwanego* 19*tym*), o wolność nauczania i dodając zarazem, ażeby im z braci Śgo Romualda przyprowadził niektórych, coby reguły życia pustelniczego świadomi, wespół z nimi w krajach słowiańskich zamieszkiwali.

Bolesław zasie chcący koronę od powagi rzymskiéj uzyskać, począł rzeczonych zacnych mężów upornemi prośbami nalegać, ażeby rożne jego podarunki papieżowi zanieśli, a przynieśli mu za nie od stolicy apostolskiéj koronę; lecz oni przyzwolenia prośbom królewskim stanowczo odmawiając, rzekli: Do świętego pocztu należem? niewolno nam wcale zajmować się doczesnemi sprawami; — i tu porzucając króla do cel swych wrócili.

Ale niektórzy z orszaku poznawszy zamiar królewski, a nieznając odmowy mężów świętych, źle rozumieli, jakoby oni zna-

*) Miechowita lib. 2. cap. 9. mówi: „przyzwolono Benedykta i Jana za wstawieniem się Bolesława, z klasztoru Śgo Romualda, ku nauczaniu nowo nawróconych w Polsce.

czną ilość złota, przeznaczonego dla stolicy apostolskiéj, do celi zabrali. *) Umówiwszy się tedy pomiędzy sobą, postanowili napaść potajemnie nocą pustelnię, zabić mnichów i unieść pieniądze. Napad ten zamierzony gdy błogosławieni mężowie usłyszeli, powód jego od razu zmiarkowawszy, spowiedź pomiędzy sobą czynić i znakiem krzyża świętego zbroić się poczęli. Było tam zasie dwóch młodzieniaszków, dodanych im na towarzyszów przez króla, którzy wedle sił bronili świętych przeciw złoczyńcom, lecz po powtórnym napadzie zmogłszy ich rabusie, wszystkich jednakowo dobytemi mieczami pomordowali.

Potém trwożliwie skarbu szukając, a nic nie znalazłszy, usiłowali pustelnię i ciała męczenników popalić, ażeby tym sposobem zbrodnię swą ukryć i przyczynę wypadku ściągnąć na pożar. Lecz podłożony ogień mimo wszelkich usiłowań ludzkich, zająć się nie chciał, jak gdyby owe lepianki nie z drzewa, ale z krzemieni były stawiane. Po daremnych usiłowaniach chcieli się rabusie ucieczką ratować, ale i tego niedozwoliła opatrzność Boska; gdyż przez noc całą po leśnych zaroślach, błotnych moczarach i ponurych kniejach z trwogą drogi szukając, w żaden sposób błędnémi nogi znaleść jéj nie mogli. Co więcéj — nawet puginałów uschłemi rękoma do pochew wsadzić nie zdołali. Gdzie zasie ciała świętych leżały, tam aż do dnia nie przestała błyszczeć światłość wielka i brzmieć słodycz anielskiego śpiewu.

Za nadejściem ranku nie mogło się to, co zaszło, ukryć przed królem; bez zwłoki tedy udał on się z licznym orszakiem na miejsce pustelni, i ażeby złoczyńce nie uszli, otoczył las ludźmi. Złoczyńców zasie znaleziono, karą Bożą przywiązanych aż dotąd do własnych mieczów. Rozważywszy, co z nimi począć, postanowił król ostatecznie, nie karać ich śmiercią, tak jak zasłużyli, lecz żelaznemi łańcuchami do grobu męczenników przykuć ich rozkazał; w którym to stanie albo do końca życia swego pozostać mieli, albo téż, jeśliby się inaczéj świętym męczennikom zdawało, dopóty, dopókiby ich ciż

*) Niektórzy pisarze polscy mówią, że pieniądze dane im przez króla, przeznaczone były nie dla papieża, lecz na ich własny użytek — a zostały mu późniéj zwrócone.

Przyp. Aut.

święci w miłosierdziu swojém z pęt nie uwolnili. A gdy ich wedle rozkazu królewskiego do grobu świętych przykuto, wnet niewysławioną Boga wszechmocnością uwolnieni zostali z pękających się kajdan.

Odtąd, po wystawieniu na grobie świętych kościoła, nieprzeliczone dzieją się tam po dziś dzień cuda.

Cesarz zasie Henryk świadomy zamiarów Bolesława, wszystkie drogi czatami obsadzić kazał, ażeby posłowie Bolesława w jego popadli ręce. Mnich tedy wyprawiony przez świętych męczenników ostatniemi czasy do Rzymu, schwycony nareszcie i w więzieniu osadzony został. W nocy zasię odwiedził go anioł pański i oznajmił mu, że dokonali żywota ci, od których był posłan.

Tyle Damianus; za nim powtarzał tę wiadomość Kosmas pragski, Długosz, Naruszewicz i inni. W roku zaś 1777., wyszła w Poznaniu książeczka nabożna, przedrukowana tamże 1842.: *Pięć filarów*..... czyli nabożeństwo do świętych pięciu męczenników kazimirskich, Jana, Benedykta, Mateusza, Izaaka i Chrystyna, w któréj są godzinki i hymny na cześć tych męczenników po dziś dzień w Kazimierzu śpiewywane. Na tytułowéj karcie nie umieszczono imienia Barnaby, — ale w jednym hymnie znajdują się dwa takie wiersze:

Choć się przez *Barnabasza* wszystko odesłało,
Łakomstwo jednak zbójców was pozabijało.

Opowieść ludu zgadza się po większéj części z treścią tych pieśni.

5. Wskrzeszenie Piotrowina.

Biskup krakowski Szczepanowski kupił był wieś Piotrowin, u Piotrowina, na biskupstwo krakowskie, o którą pozwali biskupa przed króla przyjaciele nieboszczykowi, które król sam na to podwiódł. Stanął biskup przed królem i przed jego radą pod namiotem, między Solcem, a Piotrowinem nad Wisłą, gdzie natenczas sejmował.

Pytano biskupa, którém prawem dzierzy wieś Piotrowin? Stanisław biskup powiadał, iżem ją kupił i zapłacił nieboszczykowi Piotrowi: który jako umarł, jest na cztery lata. Strona powiedziała: czém tego dowiedziesz, albo gdzie masz tego zapis? Biskup wziął sobie na pewny dowód do trzeciego dnia: a w tym czasie kazał pościć wszemu duchowieństwu, i modlitwy czynić, aby mu Pan Bóg świadka ożywił, któryby rzecz sprawiedliwą zeznał przed prawem. Potém wszedł do kościoła Śgo Tomasza w Piotrowinie, kazał odkryć grób Piotrów, tknął go laską biskupią, a rękę mu podał i rzekł: w Imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego, Pietrze wstań, a rzecz sprawiedliwą zeznaj. I wstał Piotr, którego biskup przed sąd królewski przywiódł: tam zeznał Piotr, iż przedał biskupowi wieś Piotrowin i wziął zupełną zapłatę od niego. Tamże karał przed królem przyjaciele słowy, iż się upominają tego, do czego im nic: a iż też temu świętemu mężowi trudności zadawają niewinne. A tak dowiódł swéj rzeczy biskup, który spytał potém Piotra: jeżeli chce być żyw, czyli zasię do grobu iść? Powiedział: iż wolę wieczny żywot mieć, a nigdy już nieumierać; któregom już blisko; jedno proszę, módl się za mną do Pana Boga, aby mię z czyszczu wybawił, boć jeszcze w nim mam być do pewnego czasu, wszakże nie długiego. Także i uczynił; wstąpił zasię w grób, oczy zawarł, przysypan ziemią. Rozjechali się z tego sejmu wszyscy.

Dotąd legenda z kronik wyjęta; daléj, dodaje powieść gminna, iż co rok w rocznicę wskrzeszenia Piotrowina pokazuje się przez Wisłę pod Solcem ścieżka, jakby biczem trzasł po wodzie; jest to na pamiątkę, iż Piotrowin przechodził po wierzchu wody.

6. Męczeństwo Ś. Stanisława na Skałce.

Bolesław Śmiały powróciwszy z wyprawy na Ruś, wylał się na rozpusty i gwałty, czego niemogąc ścierpić biskup krakowski, wyklął go; wszakże król niedbał na klątwy biskupie, choć przed nim zapowiadał mszy mieć, i innych świętości w kościołach sprawować; i sam, gdy miał mszą mieć, tedy aż za Wisłę chodził, przez most na Skałkę, gdzie był kościół Ś. Michała. O którym król dowiedziawszy się tam, jednego czasu szedł za nim wziąwszy z sobą kilku dworzan, i ony, co skarzyli o bliskość wsi Piotrowina. Gdy przyszli na Skałkę, kazał go odemszy przed kościół wywieść; oni, gdy chcieli tak uczynić, padli w znak; chcieli drugi raz, takoż. Przeto on potém sam szedł, zabił biskupa we mszą, na Skałce w kościele. Piszą kronikarze, iż to byli Jastrzębcy, Strzemieniowie, Srzeniawowie i Drużynowie, co pomagali tego królowi *). Działo się to lata 1079. d. 8. Maja. Skoro po odejściu króla, przylecieli orłowie i strzegli ciała Ś. Stanisława przez trzy dni, które w kęsy rozsiekane było, aby psi, albo ptacy go niejedli; a gdy kapłani przyszli, pozbierali one sztuki i złożyli społu; tam się cud okazał, iż się społu zrosły wszystkie sztuki. Tamże na tém miejscu widziano świéce gorejące w nocy.

7. O Piotrze Duńczyku.

Piotr Duńczyk, był to pan wielki i hojny, kochał się był w żonie króla swego gdzieś tam daleko w duń-

*) W niektórych familijach polskich tych herbów utrzymuje się podanie, jakoby zawsze któryś członek familii cierpiał pomięszanie zmysłów.

skim kraju; król zazdrosny, kazał mu miecz rozpalony do oczu przyłożyć i tak go pozbawił wzroku, a potém do Polski wyprawił. Żal mu było oczu i uspokoić się niemógł, że ociemniał. Cóż więc czyni? Oto jedzie do Krakowa po radę do tamecznego biskupa; biskup idzie do kościoła na modlitwy, aby go Bóg oświecił; a pomodliwszy się gorąco, wyszedł i powiedział do pana Piotra: Piotrze! wystaw trzy klasztory i siedm kościołów, a Pan Bóg ci wzrok powróci. A kiedyż to będzie, a długoż to tego czekać? zapytał się Piotr z niecierpliwością, jak to zwyczajnie wielcy panowie, kiedy im się czego zachce. — Czyń, coć mówię — odrzekł biskup; wystaw trzy klasztory i siedm kościołów, a Pan Bóg ci wzrok powróci.

Dopiero to Piotr Duńczyk bierze się do budowli i zewsząd cieśli i mularzy sprowadza; ale cóż potém, oto chciał być mędrszym od biskupa i wystawił trzydzieści klasztorów i siedmdziesiąt kościołów. Na nic się to wszystko nieprzydało i po staremu był ciemny. Powraca więc do Krakowa do biskupa, a ten go ofuknie: Cóż to za pycha człowiecze! co to za nieposłuszeństwo? Wszakżem ci trzy klasztory i siedm kościołów stawiać kazał. Idź i czyń, jak ci rozkazano.

Nieborak tą razą pychę zdjął z serca. Postawił trzy klasztory i siedm kościołów i natychmiast przejrzał.

8. Oblężenie Nakła.

Bolesław Krzywousty rozumiejąc, że jeszcze mało mieli Prusacy i Pomorzanie na onych klęskach, które im zadał, ściągnął wojska pod Kruszwicę. I już obóz ruszyć mieli, gdy oto w dzień jasny na oko wszystkim

prawie żołnierzom, pokaże się na samym wierzchu kościoła kruszwickiego nadobny młodzieniec, białém odzieniem przełyskujący: zkąd potém, gdy się wszyscy zdumiewali, skoczył i przed chorągwie wystąpił. Tam wojsko wszystko z weselem natychmiast tabor ruszywszy, za onym hetmanem, od Boga danym, pospiesza, znamienite zwycięstwo wziąść z nieprzyjaciela pewnie sobie obiecując. A skoro pod Nakło, przedniejsze natenczas u Pomorzan, albo Kaszubów miasto miejscem przyrodzoném obronne i ręką dobrze obwarowane przyciągnęli: młodzieniec on, jabłko złote, które w ręku trzymał, przeciwko miastu rzuciwszy, natychmiast zniknął. A nasi częścią drabiny przyszańcowawszy na mury wpadać, częścią bramy wyłamać, wszystką mocą usiłują; gdzie o mały włos onegoż dnia miasta zaraz nie wzięli: jedno, że ich doskonalsze zwycięztwo z nieprzyjaciela bezwiernego czekało.

9. Pani Kinga.

Niedaleko Krościenka nad Dunajem, siał góral pszenicę pod zimę; właśnie już słonko było zaszło, a on jeszcze nieskończył swéj roboty. W tém drogą posłyszał jakiś szelest — spojrzy, a tu bieży tłum niewiast w czarnych szatach, a poprzedzał je ksiądz, co niósł krzyż pański. Gdy poskoczył ku nim i ciekawie się przyglądał, wysunęła się jedna niewiasta z tego orszaku i rzekła: Dobry wieczór wam człowiecze! a cóż tak późno robicie? — Pszenicę sieję — odrzekł góral. — Szczęść ci Boże — odpowiedziała, ale jeżeliś poczciwy człowiek, tedy zrobisz, coć powiem. Jutro tu będzie gonił srogi nieprzyjaciel za nami i będzie pytać się, czyśmy tędy nie szły;

ty zaś odpowiedz, żeśmy szły właśnie, kiedyś siał pszenicę na tym łanie. — Dobrze! rzekł góral, ale nim zdołał się onéj pani pokłonić, już jéj niebyło Nazajutrz wstawszy do świtu, idzie na pole — patrzy, a tu nowy cud, bo gdzie wczoraj siał, tam dziś bujają pszeniczne kłosy. Niewyszedłszy jeszcze z podziwienia, dolatuje go tentent jazdy — spójrzy na drogę, a tu ćma Tatarów. Jeden przypada doń i pyta: Powiedz mi człeku, a nagrodzęć hojnie, czy niewidziałeś tu wczoraj pani Kingi? — Widziałem, odpowiedział — jak szła tędy z siostrami, a właśnie siałem tę pszenicę. Tatarzyn znowu błaga go, w końcu grozi mieczem; ale góral odpowiada: widziałem ją, szła tędy, kiedy siałem tę pszenicę.... I tak tatarska pogoń wróciła się tym samym szlakiem, którym przyszła.

10. Paweł z Przemankowa.

X. Paweł z Przemankowa, zły był człowiek i wszystko w Rzeczypospolitéj mięszał, przeto téż trzykroć był w więzieniu. Jednego czasu będąc u Dominikanów, mnichów w Krakowie, usłyszał głos z nieba taki: Biada tobie Pawle nieboże, i lepiéj, żebyś się był na świat nigdy nierodził; — co nietylko sam słyszał, ale i ci, co przy nim byli, których było do 70. Téż i mnich jeden jawnie to zeznawał, że widział przed nim wilka, a on się wspiął na przednie nogi, mówiąc do niego człowieczym głosem: Biada tobie biskupie, boś wziął i zabił; co ludzie rozumieli o owéj mniszce ze Skały, co ją był wziął z klasztora: i płodząc z nią niecnotę, duszę jéj zabił. Zaczém dopiéro jął pokutować. I przeto zasie usłyszał taki głos: Odpuszczono tobie będzie Pawle dla

twojéj skruchy, i będzieć się już lepiéj wszystko działo: a będzież żyw jeszcze siedm lat. A Paweł odpowiedział: Dobrzeby mi Miłosierdzie Boże uczyniło, by mi tak długo przedłużyło żywota, żebym wypokutował za swe grzéchy. Ten to biskup był przytém tak myśliwy, iż gdy mszą miewał, tedy psi około niego chodzili i z sokoły przed nim myśliwcy stali. Nawet trafiło się to; że gdy mu kto u sieci zwierza zepsował, tedy go rohatyną z gniewu przebił.

11. Biskup Gamrat.

Gamrat umierając, zapisał na klasztor dwie beczki doskonałego wina, lecz wykonawcy ostatniéj woli przywłaszczyli je sobie, a natomiast gorsze posłali zakonnikom. Jednego razu, kiedy się zahulali przy tém skradzioném winie, dało się słyszeć kołatanie we drzwi, nikogo jednak nie znaleźli i wziąwszy to za przypadek, daléj ciągnęli wesołe krążenie kubka: w tém mocniejsze powtórzyło się kołatanie, co ich tém więcéj przestraszyło, że po otworzeniu drzwi niebyło nikogo: jednak po małéj chwili zaczęli swój przestrach zatapiać w doskonałém winie. Wreście po trzeciém, długiém kołataniu wszedł Gamrat w biskupim stroju i uderzywszy o stół pastorałem, rzekł: Winniście mnie restytucyę, boście testamentu niespełnili. — Chociaż po tém widzeniu wino zostało wrócone do klasztoru, jednak ci nieskrupulatni wykonawcy testamentu w przeciągu roku umrzeć mieli.

12. Czterdziestu dziewięciu męczenników Sandomierskich.

Tatarzy wpadłszy do Polski pod hetmanem Nogajem, przyszli pod Sandomierz i tyle ludzi wyścinali, aż się

krew potokami do Wisły lała. Wtenczas to zdarzyło się, iż w klasztorze Dominikanów Sandomierskich, gdy pięćdziesiąt księży z przeorem swoim Sadochem było na jutrzni, Pan Bóg cudownym sposobem ostrzegł ich o bliskiéj męczeńskiéj koronie; gdy bowiem nowicyusz Martyrologium jutrzejsze czytać zechciał, nadspodziewanie literami zobaczył złotemi pisane te wyrazy: *Sandomiriae quadraginta Novem Martyrum;* co zobaczywszy, sam niewie, czytać czy milczeć? Ośmieliwszy się nakoniec, drżącym głosem dekret przeczytał złoty: *Sandomiriae quadriginta etc.;* na takie czytanie zadumiały przeor i z bracią, za rozkazaniem na podanéj sobie księdze obaczył ów napis złotemi literami, które zaraz po przeczytaniu w ręku ich zniknęły. Zaczém im S. Sadoch rzecze: umrzeć potrzeba braciszkowie, więc wesoło umierajmy. A gdy na klasztor gwałtownym pędem nieprzyjaciel uderzył, braciom na Salve Reginae wynijść kazawszy, wszystkim zadał śmierć męczeńską.

13. Wawrzyniec Powodowski, kawaler maltański.

W kościele katedralnym w Poznaniu znajduje się grobowiec Wawrzyńca Powodowskiego. Piastował on urząd komandora maltańskiego aż do r. 1543., w którym przeniósł się do wieczności. Napis na nagrobku tym mówi: iż po śmierci przez rok cały (dziwny pobożnemi i tajemniczemi zjawieniami) z grobu wychodził i podczas mszy uroczystych śpiewanych u wielkiego ołtarza, z dobytym mieczem podczas ewanielii świętéj, między stallami prałatów i kanoników, a stallami niższego du-

chowieństwa widocznie stawał. Po ukończonéj zaś mszy niknął.

Naradziwszy się przeto prałaci i kanonicy odprawili za niego rozmaite nabożeństwa, przybrawszy postać pokorną, lichtarze wielkie z woskowémi świecami, które według ceremoniału akolici nosić powinni, trzymali w ręku sami prałaci, a w ich nieobecności kanonicy, a tak ustało nakoniec owo okropne zjawisko roku 1544. dnia 26. Kwietnia.

Podanie dodaje jeszcze, iż takowe okazywanie się w kościele zmarłego Powodowskiego karą było za jego naśmiewanie się za życia, z płonnego, jak mniemał, zwyczaju, aby kawaler maltański w czasie nabożeństwa pałasz dobywał i nim w powietrzu przed ołtarzem machał.

14. Processya duchów.

Przed ową okropną wojną z Kozakami i Ukrainą pokazywała się w Barze na Podolu processya umarłych, która od kościoła do kościoła chodząc, jednostajném wołaniem, pomsty do Boga mściciela wołała, takie podnosząc pienie:

Pókiż niebo i ziemię Wiekuisty Panie,
Nie zemścisz się niewinnéj krwie naszéj wylanie.

15. Złotaryńko.

Bóg nieprzepuścił kozakowi Złotaryńce za jego morderstwa, zabit bowiem pod Szkłowem w Litwie, a gdy był w Czechrynie chowan, na katafalku trup jego z trumny

coraz milszy się rozlega; otaczają go morskie panny, i swémi wdzięki do siebie wabić poczną:

O rybaku piękny, młody,
Porzuć pracę, chodz do łodzi:
U nas wieczne tany, gody,
Nasz śpiew troskę twą osłodzi.

My obdarzym boskim stanem,
Skoro z nami mieszkać będziesz:
Śród nas będziesz morza panem,
I naszym kochankiem będziesz.

Słyszy to rybak i ujęty zdradliwą ponętą, już chce się rzucić w objęcia bogini, gdy królowa skinieniem berła każe się uciszyć towarzyszkom i tak do zdumionego rzecze:

Stój niebaczny! zbrodnia twa wielka i godna kary, jednak ci przebaczę pod jednym warunkiem. Podobała mi się twoja uroda; kochaj mię, a będziesz szczęśliwy. Lecz jeźlibyś wzgardził miłością Juraty, wtedy zaśpiewam ci taką piosnkę, iż wnet będziesz w méj mocy, a za dotknięciem mego berła zginiesz na wieki. — Młodzieniec wybrał i zaprzysiągł jéj wieczną miłość. Królowa na to: Teraz już jesteś moim: niezbliżaj się do nas, bobyś zginął. Za to co wieczór będę przypływać do ciebie i na téj górze, która odtąd od twego imienia zwać się będzie Castity, zawsze zobaczę się z tobą. — Poczém zniknęła królowa z całym orszakiem.

Rok już mijał, jak co wieczora królowa Jurata przyjeżdżała na brzeg i na górze widywała się z kochankiem; lecz Perkun dowiedziawszy się o téj schadzce, rozgniewał się mocno, że bogini poważyła się ukochać śmiertelnika. A gdy jednego roku wróciła królowa do swego pałacu, spuścił z nieba piorun, który rozpruszy-

wszy morskie bałwany, uderzył w mieszkanie królowéj, samą zabił i bursztynowy pałac na drobne roztrzaskał cząstki. Rybaka zaś, Praamżimas przykuł na dnie morza do skały i położył przed nim trupa jego kochanki, na który wiecznie patrząc, przymuszony jest opłakiwać swoje nieszczęście. Dla tego to teraz, gdy wicher morski zaburzy fale, słychać jęk z daleka — to jęk biednego rybaka; a woda wyrzuca kawałki bursztynu — to są szczątki pałacu królowéj Baltyku.

17. Witolf.

Był to człowiek nadzwyczajny: przeszłość wiedział, teraźniejszość rozumiał, przyszłość zgadywał. Królowie do jego rady i woli stósowali się. On przebywał na swoim statku morze, od brzegu do brzegu świata, prędzéj, niżeli kto mógł przez Niemen przeprawić się. Rozmawiał z księżycem i znał nieskończenie wiele gwiazd po imieniu. Miał konia nazwanego Jodź, na którym wiatry wyprzedzał. Pałacem jego była głowa owego konia; przez jedno ucho wchodził, przez drugie wychodził. Kiedy u pewnego króla biesiadował, koń Witolfa zszedł się na błoni z klaczą królewską, która miała podobneż przymioty; ale bogowie niechcąc, aby rodzaj takich olbrzymich zwierząt rozmnażał się, przykryli ich dwiema górami, pnącémi się jedna na drugą. Witolf z rozpaczy oddalił się ze dworu tego króla, i kiedy powracał z wojskiem na zawojowanie jego królestwa, trafił pod tąż górą na smoka Pukisa, z którym walcząc, pokonał go i niezmierne skarby zabrał. Wreszcie pojednał się z królem tamecznym, gdyż oba czarownikami byli.

18. Krysztofor. *)

Przed bardzo dawnym, dawnym czasem żył na świecie pewien wielkolud, nazwiskiem Oferusz. Był to człowiek tak ogromnego wzrostu, że w wielkim palcu swéj rękawicy wyprawił siostrze wesele; a kiedy mu matka umarła, on chcąc jéj grób usypać, nabrał w bót swój ziemi i wytrząsnął ją na ciało matczyne, i wzniosła się góra aż pod obłoki. Tam zaś, z kąd owéj ziemi nabrał, powstała przepaść; a była to przepaść tyle mil głęboka w ziemi, ile mil owa góra nad ziemią sterczała. Nad przepaścią usiadł Oferusz i płakał rzewliwie, a wszystkie łzy jego w otchłań kapały i zrobiło się morze. Dla tego to woda morska jest gorzka i słona. Potém wyszedł Oferusz na wędrówkę i szukał pana, któryby ze wszystkich był najmocniejszy i najpotężniejszy; u takiego pana jedynie chciał służyć. Radzono mu tedy, aby się udał na dwór pewnego króla, który nieznał wyższego od siebie i nieznał, co to strach w życiu.

Przybywszy do niego Oferusz, popisywał się ze swoją siłą i został mile przyjęty; nieodstępował odtąd na

---

*) Podanie to, lubo nie jest płodem wyobraźni naszego ludu, wszelako stało się jego własnością wraz z innémi legendami, które w średnich wiekach z Niemiec do nas przybyły. Rozpowszechniło się ono, równie jak często widzieć się dające posągi Krysztofora na domach w Krakowie, Kazimierzu i t. d. Jest téż i pieśń stara o Ś. Krysztoforze, którą Lelewel w księgach bibliograficznych przytacza. Wiara taka panowała w średnich wiekach, iż kto ujrzał wyobrażenie Ś. Krysztofora, miał śmierć szczęśliwą; ztąd przysłowie łacińskie:

Christophorum videas, postea tutus eas.

Godną rzeczą zastanowienia jest herb miasta Wilna Krysztofor święty.

chwilę boku mocarza i był jego najulubieńszym powiernikiem. Podobało się to bez wątpienia Oferuszowi; postanowił więc całe życie na dworze pozostać. Ale zdarzyło się pewnego dnia, że jeden z sług królewskich wymówił w gniewie imię djabła. Słysząc to król bogobojny, przeżegnał się krzyżem świętym.

— Dla czego to zrobiłeś? zapytał się Oferusz, który jeszcze był poganinem i nieznał zwyczajów chrześciańskich.

— Zrobiłem to dla tego — odpowiedział król, że się boję djabła.

— Kiedy ty się djabła boisz, więc jesteś słabszy od niego; pójdę ja zatém służyć u silniejszego pana, zawołał Oferusz i zaraz dwór królewski opuścił i powędrował na puszczę, w któréj dnia pewnego napotkał rotę czarnych rycerzy, z rogami na głowie, z pazurami u rąk, a z widłami w pazurach. W pośrodku siedział najczarniejszy i najokropniejszy na tronie z głów trupich i kości ludzkich, i wrzasnął rykliwym głosem: Oferusie! czego szukasz?

— Szukam djabła — odpowiedział nieulękniony Oferusz, ażeby u niego służyć.

— Ja jestem djabłem, rzekł wódz czartowski i podał rękę Oferuszowi, który odtąd boku jego nigdy nie odstępował; a był mu, jak prawa ręka przydatny.

Pewnego dnia wyruszyła cała owa rota po zdobycz do pobliskiego miasta i przybyła na drogi krzyżowe, kędy stała Boża męka. Postrzegłszy ją dowódzca, zatrąbił co tchu na odwrót.

— Dla czego to zrobiłeś? zapytał się Oferusz.

— Dla tego mój przyjacielu, że się boję Chrystusa! odpowiedział djabeł.

— Ty się boisz Chrystusa, pomyślał sobie Oferusz, więc jesteś słabszy od niego; pójdę więc służyć Chrystusowi.

I znowu djabła opuścił; a wędrując po puszczy, napotkał ubogiego pustelnika i zapytał go: gdzie jest Chrystus?

— Wszędzie! odpowiedział pustelnik; ale poganin nie rozumiał i pytał powtórnie: jak ja mam służyć Chrystusowi?

— Módl się, a pracuj! rzekł zapytany. Modlić się Oferusz nieumiał, lecz umiał pracować. Poszedł tedy za pustelnikiem nad bystry strumień płynący z góry i dowiedział się, że każdy pielgrzym, chcący się przeprawić na drugą stronę, tonie na środku.

— Tobie, mówił pustelnik, dał Bóg silne zdrowie i ciało olbrzymie; przenoś więc podróżnych na swoich barkach. Jeżeli to zrobisz dla miłości Chrystusa, to cię przyjmie za swego sługę.

— Zrobię to dla miłości Chrystusa; zawołał Oferusz i przenosił dniem i nocą wszelkich pielgrzymów, wspierając się na ogromnéj sośnie, którą wyrwał z korzeniem.

Pewnéj nocy zasnął głęboko, znużony pracą dzienną; w tém słyszy głos dziecięcia, wołający go trzy razy po imieniu. Wstał więc bez zwłoki, wsadził dziecię na barki i wkroczył we wodę, która dawniéj zaledwie kolan mu sięgała. Ale dzisiaj, gdy stanął na środku, szum powstał i wicher, woda się wzburzyła; bałwany biły z wściekłością o brzegi, a Oferusz zgiął się pod dziecięciem jak pałąk, i pierwszy raz w życiu uczuł strach i drżenie. Podniósł więc głowę i rzekł: Dziecię! dziecię! dla czegoż ty takie ciężkie? Mnie się zdaje, że świat cały dźwigam na moich ramionach?

— Nietylko świat dźwigasz na swoich ramionach, odpowiedziało dziecię, ale i tego, który świat stworzył. Jestem Chrystus, któremu ty służysz; chrzcę ciebie w imię Ojca, w imię moję i w imię Ducha Świętego. Odtąd nazywać się będziesz Krysztofor, to jest piastun Chrystusa.

Odtąd więc nazywał się ów wielkolud Krysztoforem i chodził wzdłuż i w szérz po świecie, aby nauczać słowa Pana swojego, i został za te nauki od pogan ukamienowany.

19. Anafielas.

Krąży powieść na Żmudzi około Kretyngi, iż jest jakaś góra, stroma i niedostępna, nazywająca się Anafielas, na którą cienie umarłych wdzierać się muszą. Dla tego paznokcie długie, pazury zwierząt, oręże, konie, sługi i t. p. potrzebne są dla prędszego dostania się na nią. Im zaś człowiek był bogatszym, tém trudniejszy mu przystęp; gdyż mienia ziemskie ciążą na duszy: ubogi lekki jak piórko, może się wedrzeć na górę, kiedy Bogów nieobrażał w życiu. Inaczéj grzesznego bogacza smok Wizunas, pod górą mięszkający, pożre i równie jak ubogiego grzesznika złe wiatry uniosą. Bożek, mieszkający na szczycie téj góry, jako jest pełen sprawiedliwości, sądzi umarłych z ich postępków za życia. Każdy według jego sądu odbiera nagrodę lub karę wieczną.

20. Krumine.

Królowa, nazywająca się Krumine, miała córkę jedynaczkę, nadzwyczajnéj piękności; ta, za nadejściem

jednéj wiosny, chciała matce przysłużyć się świeżo rozkwitłémi kwiatami, które z okien zamku królewskiego ujrzała nad brzegiem rzeki Ros; w tym zamiarze wybiegła niepostrzeżona. Kwiat jeden z najśliczniejszych, jakie wiosna wydała, który się zdawał być nad samym brzegiem, ujrzała śród rzéki wyrosły; woda go zwolna kołysząc w swym biegu, podwajała jego piękność błyskaniem świetnych kolorów, jakie drogie kamienie wydawać zwykły. Rzéka była bardzo miałka w tém miejscu, płynęła po żółtym piasku. Królewna znęcona powabem kwiatu, zrzuciwszy szkarłatne obuwie, ośmieliła się wnijść do wody. Zaledwie się zbliżała do zerwania mniemanéj zdobyczy, dno rzéki się rozwarło i została porwaną w otchłań podziemną Pragaras, to jest: do piekła. W tém państwie piekielném panował król, Pokole zwany, który uwielbiał wdzięki młodéj królewny. Nieszczęśliwa matka, któréj obuwie tylko córki przyniesiono, przekonawszy się, że na rzéce Ros porwaną została, domyśliła się, że ktoś z mocarzy panujących nad wodą, czy pod wodą, ten postępek spełnił. Udała się więc dla wyszukania swéj straty na wędrówkę po całym świecie. Lecz próżne były śledzenia. Gdy powróciła do Litwy, nic więcéj, prócz łez nieprzyniosła, z któremi i wyjechała. Atoli nabyła umiętności uprawy roli i zasiewania z korzyścią zbóż rozmaitych, których nasiona przywiozła z sobą. Odtąd zaczęła nauczać lud ubogi, dzikiemi płodami przyrodzenia żywiący się, sztuki rólnictwa.

Gdy wytrzebiono na pole pewny las, pełen niegdyś smoków, Staubunas zwanych, znaleziono w nim kamień, na którym Przeznaczenie, Pramżymas, wyryło palcem swym przed wielą wiekami, od bogów naznaczony los dla córki Krumini. Zaledwie wyczytała ten napis, ze wściekłością pałającą gniewem i zemstą, za-

puszcza się królowa w podziemne państwo Pokola. Ale gniew jéj został rozbrojony czułém spotkaniem: albowiem ujrzała przeciw sobie idącą nieśmiertelną córkę, orszakiem najśliczniejszych wnucząt otoczoną, które upadłszy jéj do nóg, wzywały przebaczenia dla matki swojéj. Królowa nietylko dała się przebłagać, ale zezwoliła na przepędzenie z nimi lat kilku. Kiedy powróciła do swego królestwa, znikły tułactwa, dzikość, rozboje; nędza, głód, nagość przemieniły się w obfitość, dostatki, przepych i miłe rólnicze obyczaje. Lud ubóstwiał swoją królowę i nauczycielkę najpożyteczniejszéj sztuki.

21. Nemon.

Na Żmudzi nadniemeńskiéj krąży takie podanie: Żeglarze przybyli z zamorza, żeglowali w górę Niemnem, doszedłszy do ujścia Dubissy, dowiedzieli się o wyroczni będącéj blisko źródeł téj rzeki; z radości więc, że drogę do téj świątyni znaleźli, śpiewali: Sze radom, tuśmy odkryli, co było przyczyną nazwania miejsca Szeradzia, dziś miasteczko Seradnik. Upłynąwszy Dubissą w górę całą milę, wypoczywali na brzegu z żołnierstwem swojém, gdzie stanąwszy obozem, rzekli: Czekiszkim znoka, utkwijmy chorągwie. To dało powód nazwaniu Czekiszek, dziś mieścina tak zowiąca się. Daléj płynąc, dostali się w puszcze niezmierne, gdzie natrafiając wiele przeszkód do dalszéj podróży, mawiali: E-ira gałas, niema końca; to miejsce nazwane zostało Eiragołłą i tak do dziś się nazywa. Lecz, gdy posunąwszy się wyżéj rzéką, dalsze usilności przekonały, że można dojść do zamierzonego celu, śpiewano śpiew, oznaczający ra-

dość, że jest koniec: Bet ir gałas, ztąd nazwanie miejsca Betygoła. Wódz tych żeglarzy i wędrowników nazywał się Nemon; od niego rzeka, po któréj pierwszy żeglował, wzięła miano Niemna.

22. Rumszys.

Stary Rumszys drwal ubogi, rąbiąc drzewo złamał siekierę, z płaczem więc w nocy powraca do domu; gdy już był blisko domu, usłyszał jęk zgłodniałych dzieci, co go taką rozpaczą przejęło, że postanowił się utopić. Idzie więc do Niemna, rzeka była zamarznięta, a przerębli nigdzie niemógł znaleść; próbował wykuć ją kamieniem, lecz gdy to było próżném, siadł na lodzie i tak gorącemi łzami płakał, że aż lód od nich odtajał. Gdy się miał rzucić w wodę, nadbiega szatan i rzecze: Czego sobie masz życie odbierać, kiedy przeznaczeniem twojém jest być najbogatszym i najszczęśliwszym człowiekiem. Rumszys rozśmiał się gorzko i wskakuje w przerębel, ale szatan go pochwycił i z wody wyciągnął. — Słuchaj Rumszysie, wyratowałem cię od śmierci, rzecze szatan, a teraz dowiedz się, że bylebyś zapragnął, będziesz bogatym — ale musisz dać mi wprzody to, czegoś w domu nie zostawił. Rumszys się namyślił, cały jego dom tak był nędzny, z nikąd zresztą niczego się nie spodziewał, że wnet zezwolił na warunek szatana. W drodze już skutek obietnicy się okazał — piękny rumak z złotym rzędem stanął przed Rumszysem, miał na sobie wór, a w nim futro, szabla i dzwonek. Ubrał się tedy, siadł na konia — lecz go nikt w domu nie poznał; dzieci zaczęły się chować za piec, a żona rzekła: Mój mężu! pókiś był biedny, to cię kochałam, ale teraz widzę cię

w złocie, niemógłeś tego zapracować, musiałeś złupić kogo — to brzydzę się tobą. — Rumszys opowiedział jéj swoję przygodę, ale to żony nie uspokoiło, owszem bardziéj jeszcze płakać poczęła. — Przeklęty! zawołała, a toćeś własne dziecko zaprzedał — dzisiaj porodziłam syna. Tu się zasmucił Rumszys, siedział długo przy ogniu — i postanowił zaraz nazajutrz zawieźć syna Krywekrywejty, aby się w świątyni wychował, żeby niewieściego pokarmu nie zasmakował, a przez to, żeby nabrał mocy i szatana zwojował, gdy przyjdzie czas umowy, w którym szatan ma zabrać młodego Rumszysa — miało to być w 19. roku życia. Gdy to Rumszys uskutecznił, zajął się budową wsi; łatwo mu poszło, bo na co tylko zadzwonił, wszystko szło, gdzie kazał, sosny same z boru przychodziły i kładły się w porządne zręby. Kogo uderzył szablą, zmieniał się, w co chciał, a gdy przywdział futro, mógł wróżyć i widział, co się na drugim końcu świata działo. — Wieś zbudowana nad Niemnem od Rumszysa, Rumszyszkami się nazywa.

Gdy młody Rumszys dorósł, był nadzwyczajnie silny i tak świątobliwych obyczajów, że szatan niemiał do duszy jego żadnego przystępu. Jął więc kusić powtórnie ojca, obiecując mu nieśmiertelność, byle zezwolił na jednę próbę. Zgodził się Rumszys i kazał szatanowi na godzinę przed kurami wylecieć z domu swojego i nim kury zapieją, przynieść olbrzymi kamień z pod Kłajpedy. Djabeł leci, lecz pomimo wszystkich wysileń niemógł z kamieniem zdążyć na czas; kur zapiał, kiedy od Rumszysa mieszkania tysiąc kroków był zaledwie. Szatan zawył z rozpaczy; rzucił kamień w Niemen; długo jeszcze potém nocami przeszkadzał podróżnym, aż nakoniec zniknął zupełnie, a ów kamień stérczy do dziś w poprzecz Niemna i tworzy próg, z którego woda z szumem się wali.

23. Wajdelotka.

Koło Rumszyszek nad Niemnem krąży powieść, iż pannę świętą, czyli wajdelotkę pomówiono o społeczeństwie z nieznajomym rycerzem; za to wykroczenie wieziono ją czarnémi dwoma krowami, i miano zaszyć w worze skórzanym z psem, kotem i żmiją, i utopić w Niemnie. W tém rycerz, który był przyczyną jéj nieszczęścia, ukazał się na koniu w żelaznéj zbroi, uwolnił pannę, i kazał sobie dać z nią ślub nad samym brzegiem rzeki, potém oboje objąwszy się skoczyli do wody i znikli z oczu. Woda na tém miejscu wrzeć i kręcić się poczęła, co i teraz jeszcze się dzieje, jakoby obchodząc gody weselne téj nieszczęśliwéj pary. Ona wychodzi niekiedy przy świetle księżyca w nocy na brzeg, śpiewa piosnkę o swojéj przygodzie i pierś daje niemowlęciu. Czasami w towarzystwie rycerza ukazuje się na brzegu rybakom i słyszą przy nich warczenie psa, miauczenie kota i syk żmii.

24. Mogiły Soroki *), Nepromacha i Praxedy.

Praxeda, władczyni Kalnika, miała wojnę z sąsiednim władzcą Nepromachem; drugi jéj sąsiad Soroka, chcąc ją wspierać swém wojskiem, przyprowadził je pod Kalnik, a Praxeda wziąwszy go za oczekiwanego Nepromacha, stoczyła z nim bitwę, w któréj Sorokę położyła trupem.

*) Mogiła Soroki leżąca przy Kalniku w powiecie lipowieckim, dziś jest roskopaną, lecz z pozostałéj jéj części wnosić można, że mogła być na 200 sążni wysoką.

W ostatniéj chwili błąd swój poznawszy, usypała w pamięć poległego mogiłę, a we dwóch drugich złożyła pobitych w tym boju obu wójsk mężów. Lecz zaledwo robotę tę skończyła, gdy nadciągnął Nepromach. Praxeda nieufając uszczuplonemu przeszłym bojem swojemu wojsku, wyzwała w osobisty bój Nepromacha, w którym wzajemnie siebie pomordowali; a na ich zwłokach wojska ponasypywały mogiłę.

W późniejszych czasach, na szczycie mogiły Soroki miał wyrosnąć dąb ogromnéj wysokości, a na jego wierzchołku położono blachę, dla rospalania na niéj ognia ostrzegającego okolicznych mieszkańców o zbliżaniu się nieprzyjaciela.

25. Mogiła Perepiat i Perepiatycha.

Perepiat i Perepiatycha dwie mogiły koło Chwastowa na Ukrainie, wedle podania usypane są dla męża i żony. Mąż wódz sławny powracał z dalekiéj wyprawy na Połowców, z wojskiem odzianém w zbroje nieprzyjacielskie. Żona w trwodze, uderzyła na niego z domową drużyną; i polegli tam oboje w błędnéj téj bitwie. Przy skonaniu jednak poznali się — niesłychanie czule witając się i żegnając do lepszego świata.

26. Mogiła Mełanki.

Tak się ta mogiła nazywa od pochowanéj w niéj ładnéj dziewczyny tego imienia, uduszonéj od Sotany czyli upiora, w wieczór Ś. Katarzyny, w którym Ukrainki zbiegłszy się na wieczornicę gotują kaszę i wylazłszy na

płot wołają swoich narzeczonych; po takiém zawołaniu, z któréj strony psy zaszczekają, z téj strony narzeczony ma przybyć; właśnie na wołanie Mełanki nieodpowiedziały psy, lecz przybył sam narzeczony, który umarł był przed rokiem ze zgryzoty, gdy mu Mełanka niebyła wierną w dotrzymaniu słowa wyjścia za niego za mąż i pochwyciwszy dziewczę, udusił.

27. Świrydowa mogiła.

W parę godzin drogi od warowni Kilji, w kierunku Benderu jest mogiła w polu, na wierzchołku któréj leży kamień z wykutym krzyżem. Takie o niéj podanie: Na Wołoszczyznie była jedna wielka czarownica, a miała córkę tak ładną, jak gwiazda. Dziewczyna ta bała się i nielubiła Turków; kiedy więc słali się do niéj rozmaici bojary i kniazie, ona powiadała: że za tego pójdzie za mąż, który ze swojém wojskiem trzy razy Turków w boju pokona, bo właśnie była wtenczas wojna z Turkami. Między starającymi się o nią, był jeden bojarzyn dalekiéj ziemi, a nazywał się Świryd;*) on usłyszawszy o tém, radził się czarownicy; a ta mu dała ziela, którego gdy się napił, widział jak na dłoni w przyszłości, że on, choćby z jak małém był wojskiem, pobije trzy razy największe siły tureckie; poszedł więc na wojnę, i po trzykroć nieprzyjaciół pokonał; poczém wrócił, aby pojąć krasawicę za żonę. Było to właśnie wtenczas, kiedy jeden mołdawski bojarzyn, zakochawszy się w onéj pięknéj dziewczynie obsypał ją bo-

*) Pan Izopolski domyśla się, że Świryd mógł być znanym w dziejach hetmanem Janem Świrgowskim. Podług pieśni poległ on niedaleko Kilji r. 1574.

gactwy, lecz chociaż ta była wierna swemu słowu, matka jéj jednak ujęta témi bogactwy, życzyła skrycie za męża swéj córce możnego Bojara; powrót więc Świryda był jéj niepomyśli, tém bardziéj, że on już do jéj córki zupełne miał prawo. Wiedziała stara czarownica, że już Świrydowi z Turkami nie wojować; poi go więc drugi raz zielem, przez które wszystkiego, co w swéj przyszłości widział, zapomniał; a sama potém zaczęła wymawiać Świrydowi: że powrócił z wojny wtenczas właśnie, kiedy Turcy stali się najniebezpieczniejsi; w tymże czasie i ów bogaty Bojar przysłał do niego posły, z uwiadomieniem, że Turcy odejściem Świryda ośmieleni, coraz straszniejszymi się stają. Młodzieniec, z jednéj strony niemęzkim wyrzutem, z drugiéj zręczném pochlebstwem zapalony, porzuca płaczącą swą narzeczoną, a sam w pole wyciąga; znalazł Turków nad Dunajem i zaraz wszedł z nimi w bój; lecz pokonany, stracił wszystko swoje wojsko, i sam został zabitym, kilku z pozostałych jego towarzyszy tę mu usypali mogiłę, i położyli na niéj kamień z krzyżem. Turcy potém ową ładną dziewczynę zabrali, a starą czarownicę djabli w nocy aż dotąd topią w jednéj studni, wykopanéj w polu, w około któréj na milę niema ludzkiego mieszkania.

28. Wał Olgi.

W okolicach Zborowa (na Podolu), Kołtowa, pokazuje lud ciągnący się przerwami wał, nazywany wałem Olgi. Księżniczka ta uciekając przed Batyjem wodzem Tatarów, przemieniała się w mysz i szła pod ziemią, i wszędzie, gdzie nurtowała, wysypywał się taki wał. Bespieczne schronienie znalazła dopiero na Horodyszczu zwaném Pleśnisko, w pobliżu Podhorzec, gdzie zamknąwszy się w grodzie,

dała odpór hordom tatarskim. Na tém miejscu widać dziś kilkaset mogił; a w pobliżu stoi monasterek księży Bazylianów.

29. Wał Żmii.

I.

W niepamiętnych czasach Kozaczyzny Bóg zesłał na kozacki naród sztraszliwą potworę nazwaną Żmiją, która całą krainę spustoszyła najokropniéj. Władzca téj ziemi zapobiegając dalszym nieszczęściom ułożył się z potworą tą codziennie dawać jéj na pożarcie jednego młodzieńca, koleją z każdéj rodziny w kraju. W sto lat potém, przyszła koléj na rodzinę panującą, w któréj był tylko jeden młodzian, ostatni rodu potomek; próżno cały naród ofiarowywał w zamian swych synów, potwór żmija zamiany nieprzyjmował. W ówczas nieszczęśliwy młodzieniec był zawieziony na oznaczone miejsce, aby był pożartym od żmii. Młodzieńcowi temu, gdy się tam został, zjawił się anioł, i nakazał ucieczkę przed żmiją; dla uskutecznienia jakowéj nauczył go modlitwy i Ojcze nasz; jakoż, gdy zbliżanie się żmii uprzedził gwałtowny szum wichru, młodzieniec przedsiewziął ucieczkę, która trwała trzy dni i trzy nocy; skoro zaś młodzieniec choć na chwilę przestał powtarzać nauczoną modlitwę, natychmiast zaczynały go palić wyziewy z paszczy rozsrożonéj i ścigającéj żmii. Czwartego dnia młodzieniec całkowicie z sił wyniszczony, już prawie był dościgany, gdy ujrzał przed sobą kuźnię, gdzie ŚŚ. Hleb i Borys pracowali nad zrobieniem pierwszego pługa dla ludu téj krainy i młodzieniec skrył się do owéj kuźni, a święci przerażeni słyszanym szumem wichru, uprzedzającym o zbliżaniu się żmii, żelazne drzwi ku-

źni zatrzasnęli, i w téjże prawie chwili przybiegła żmija, prośbą i groźbą żądając wydania sobie młodzieńca; czego gdy święci uskutecznić niechcieli; żmija trzy razy zalizała językiem żelazne drzwi kuźni, i za czwartym razem język na wylot przesadziła; w ówczas święci mając na pogotowiu rozpalone kleszcze, schwycili żmiję niémi za język; a tak złapaną wprzęgli do gotowego już pługa, i odrzucili nim skibę, do dziś dnia nazywaną wałem żmijowym.

II.

Drugie o tychże wałach podanie, więcéj rycerskie, tak samo jak poprzedzające się zaczyna, wywodząc tylko pochodzenie żmii, że wyszła z morza i siedm głów miała, i że jéj nie młodzieńce, lecz najpiękniejsze poświęcano dziewice. Wypadła koléj na królewnę, którą mimo ciężki żal rodziców i narodu, odprowadzono na oznaczone miejsce, gdzie gdy nieszczęśliwa płakała, przybył jakiś nieznajomy młodzieniec, od stóp do głowy zbrojny, i o przyczynę płaczu zapytał; w czém objaśniony, przyrzekł królewnie wybawić ją od śmierci, i dla nabrania siły do walki ze żmiją, położył się spać, poleciwszy zbudzić siebie królewnie. Gdy łoskot do gromowego podobny, zwiastował zbliżanie się żmii, strwożona dziewica upadła na kolana przed śpiącym bohatyrem i pod uchylonym hełmem ujrzawszy piękną twarz młodzieńca uczuła w sercu nowe, dotąd obce dla siebie wzruszenie; w tém łza jéj spadła na twarz śpiącego, czém gwałtownie obudzony, zawołał: dla czegoby go tak mocno w twarz upiekła? — odrzekła: iż żmija się zbliża. Młodzieniec uchwycił broń i w pogotowiu czekał na żmiję. Wkrótce nastąpiła walka, która trwała trzy dni i trzy nocy, przerywana, to odpoczynkiem walczących, to mimowolném wykrzyknieniem królewny, gdy któ-

ra z siedmiu głów żmii upadała pod nogi jéj bohatyra; czwartego dnia żmija została pokonana, straciwszy ostatnią siódmą głowę. W ówczas młodzieniec odwiózł królewnę jéj rodzicom, ożenił się z nią i wziął w posagu królestwo; żeby zaś nowa żmija kiedy nieprzyszła od morza, granice swego państwa obwiódł wysokim wałem, którego szczątki do dziś dnia noszą zazwę wałów żmijowych.

III.

W kozaczyznie był hetman Żmija, chrobry i wielki wojak; w jednéj z wypraw swoich poznał bardzo ładną Laszkę i ożenił się z nią; a chcąc odtąd żyć z żoną, postanowił kraj własny obwarować od napadów sąsiedzkich; dla tego podzielił kraj na 10 pułków, a w każdym pułku kazał na granicy zbudować dziesięć zamków; tak, aby wszystkie sto, stanowiły jednę prawie ścianę. Prace te jednak zaledwo w części przyprowadzono do skutku; gdyż żona Żmii niekochając męża swego, dała o wszystkiém wiedzieć swoim braciom, którzy najechawszy królestwo Żmii, ogniem i mieczem je zniszczyli; a samego Żmiję schwytawszy rozsiekali, i wszędzie, gdzie tylko były wały usypane z jego rozkazu, po kawałku trupa powieszono, i odtąd wały te zowią zmijowémi wałami.

30. Góra Koniusza.

Przybysław, rycerz jeden herbu Śrzeniawa mieszkał na górze, którą zowią Koniuszą, pod samemi Proszowicami, a temu się takowy przypadek trafił: Miał konia, którego, że był w biedzie, sprzedał Węgrzynowi do

Węgier, i tenże koń we trzy lata zasię przyszedł do niego i stado mu wielkie koni z sobą przyprowadził. Ztądże tę górę dziś zowią Koniusza: na któréj Przybysław dla tego kościół zbudował.

31. Żupy solne w Wieliczce.

Bolesław Wstydliwy zaręczył sobie przez posłów królewnę Kunegundę w Węgrzech; ta oblubienica niechcąc u ojca brać żadnego posagu w złocie i srebrze, prosiła go tylko na wyjeździe, aby jéj to darował, coby równie bogaczom i ubogim służyć mogło. Zezwolił ojciec, a Kunegunda pojechawszy do żup węgierskich, ślubną tam obrączkę wrzuciła. Stanąwszy potém w Krakowie, kazała się wieść po niejakim czasie do Wieliczki, a gdy za jéj wolą kopać tam zaczęto, znaleziono sól, a w pierwszéj bryle rzuconą w Węgrzech obrączkę.

32. Strukis.

W powiecie Maryjampolskim, w lasach pilwiskich jest jezioro zwane Strakbalis (Strukisowe błoto) nadzwyczajnie głębokie, lecz zupełnie bezrybne. Włościanie mniemają, że to ztąd pochodzi, iż wszystkie ryby w tém jeziorze znajdujące się są pod władzą wielkiego szczupaka Strukisa (kusego), który więzi je na dnie; najdrobniejsza płotka niemoże się ukryć przed bacznem jego okiem. Ten groźny pan raz tylko na rok zasypia w noc Św. Jana; spoczywa bardzo krótko, bo tylko godzinę po północy; ryby wtedy korzystając ze snu swojego ciemięzcy, gromadami wesoło pluskają po całém jeziorze.

Jeden z rybaków odkrył tę tajemnicę i z licznym przyborem czekał na uśpienie Strukisa. Skoro tylko zbliżyła się północ, jezioro zawrzało od mnóstwa ryb; rybacy spiesznie zarzucili niewód, sieci rwały się od niezmiernego połowu; ponapełniali nim czółna; lecz gdy niemogąc chciwości swéj powściągnąć, jeszcze o jednéj toni pomyśleli, minęła godzina, Strukis się obudził, wpadł w wściekłość, olbrzymiemi skrzelami wywrócił łodzie, zatopił łakomych rybaków i uwolnił złapane ryby. Po tém zwycięztwie, aby się od podobnych uchronić napaści, zmienił czas swojego spoczynku i odtąd godzina snu Strukisa stała się zagadką.

33. Krynica Parascewy.

O krynicy téj, oddalonéj o ćwierć mili od Białogrodu (Akermanu) nad Limanem w skałach znajdującéj się, gdzie najeżone bryły urwisko tworzą, takie jest podanie:

Paraska była rodem z Polski. Tatarzy w jednym ze swych napadów na Podole porwawszy ją, dla piękności ofiarowali baszy akermańskiemu. Świeżemu i krasnemu dziecięciu było zaledwie lat szesnaście, ale dusza w niéj nad lata i pobożność wielka. Napróżno zakochany Turek pieścił ją chcąc ułagodzić, w haremie swym trzymał, obsypywał podarkami i obietnicami. Ona była chmurna, ona milczała uporczywie i rozweselić się i rozchmurzyć niedawała. Turek napróżno chciał ją skłonić ku sobie. I prosił i upokarzał się; ona się opierała i modliła. Raz wreszcie rozjątrzony oporem, wszedł nocą do haremu do mieszkania Paraski i porwał się do niéj. Anioł stanął w obronie pobożnéj. Przerażony

muzułman cofnął się, a Paraska korzystając z otwartych drzwi i chwili przerażenia, skoczyła w nie; minęła straże, pobiegła nad Liman wzdłuż brzegu szukając łódki, coby ją przewiozła i ułatwiła ucieczkę. Pogoń przez opamiętałego a gniewnego baszę wysłana napadła Paryskę w skałach, gdzie się kryła, upatrując łódki na wodach Limanu. Już ją mieli porwać, gdy się w czyste rozpłynęła źródło: Krynica ta zowie się Krynicą Paraski Świętéj, lub Świętą Krynicą. Przypisują jéj moc cudownie uzdrawiającą i chorzy przyjeżdżają tu do kąpieli.

34. Lasy Użwarmskie.

W lasach Uzwarmskich na Żmudzi, gdzie są nieprzebyte bagna i topiele, mają czarownice i Laumy swoje siedlisko. W środku tych trzęsawisk mięszka królowa Użwarmska; nikt tam żywy niemógł zbliżyć się bezkarnie; a jeżeli kto ciekawością znęcony odważył się zakazaną przestąpić granicę, i ujrzał cudną twarz królowéj, ten się na zawsze pożegnał z nadzieją na ten świat powrotu, bo wiecznie musiał błądzić po lesie, słysząc ze wszech stron złośliwe uśmiechy i naigrawanie bogiń.

35. Dziwo w jeziorze krakowskiém.

W wigilią Nowego Roku za czasów Bolesława Wstydliwego widziano widowisko straszne w krakowskim powiecie. Jezioro albowiem jedno szerokie czartowska moc opanowawszy, łowienia w niém ryb i używania wszelkiego ludziom usilnie broniła. Do którego, skoro zamarzło, zeszli byli obywatele dla ryb łowienia, kapła-

nów z sobą, chorągwi, krzyżów i światłości rozlicznych nabrawszy, aby orężem świętym moc szatańska mogła być odgromiona. Gdzie, gdy niewód zapuszczono, pierwszym wprawdzie zamiotem trzy rybeczki wyciągnęli rybitwi: wtórym zaś nic, krom sieci pogmatwanéj. Aż gdy trzeci raz zapuszczą, dopiero szkaradnego, straszliwego i wielkiego Dziwa na brzeg wywłóczą z rogami i ze łbem kozim, z którego łba oczy, jak dwa węgle rozpalone, ze źrenic gorejących pałały. Co widząc, gdy nagle wszyscy przestraszeni, różno się rozskoczą, brzydkie ono larwisko pod lód znowu porywa: gdzie po wszystkiém jeziorze trzebiąc, grzmot okropny uczyni, ryk ogromny wypuszcza, a zaraz niektóre ludzie parą smrodliwą zaraziwszy sprosnych wrzodów nabawia.

36. Dżuga.

O pół mili przy drodze idącéj z Telsz na Olsiady przedstawia się oku wyniosła góra ręką ludzką sypana. Lud tameczny nazywa ten usyp górą Dżuga, niejakiegoś w dawnych czasach żmudzkiego rycerza, który za życia jeszcze własnemi rękami usypał ten kurhan i na grób sobie przeznaczył. Ciało Dżuga przez długi czas było strzeżone od djabłów, z którymi żył niegdyś w wielkiéj przyjaźni. Za ich pomocą cudów waleczności dokazywał Dżuga: sam jeden krocie Krzyżaków swoją żelazną maczugą zabijał, odwieczne dęby łamał jak trzciny i niebotyczne wywracał góry. On to Telszewskie wykopał jezioro i przy niém naprzód osadę założył.

37. Szatryja.

Szatryja, jest to wyniosła góra, podobno najwyższa ze wszystkich gór Żmudzi. Lud powiada, że z wierz-

chołka Szatryi tak rozległy odkrywa się widok, iż dwanaście kościołów ujrzeć można. Tutaj ma być grób Jauterity, żony olbrzyma Aleisa; tutaj w wigilią Św. Jana z całego kraju zlatują się czarownice na ucztę.

Pewien śmiały parobczak, chcący wiedzieć, co się na téj górze dzieje, udał się w nocy przed Św. Janem na ucztę czarownic. Znalazł tam wielkie zebranie kobiet i mężczyzn, poubieranych w suknie niemieckie, mających kapelusze na głowie, z których sterczyły ogromne rogi. Grała cudowna muzyka; rozmaitego rodzaju napoje lały się strumieniami i całe zgromadzenie do upadłego tańcowało. Parobczak został bardzo dobrze przyjęty: posadzono go na dyamentowym tronie, ugoszczono wyborném winem ze złotego kielicha, dano kilka garści pieniędzy, które natychmiast schował i proszono jak najusilniéj, aby pił i był wesół. Ta biesiada trwała przez kilka godzin. W tém kur zapiał i wszystko znikło. Parobczak został sam jeden na górze, a kiedy się począł wszystkiemu przypatrywać, postrzegł, iż ów tron dyamentowy, na którym go Niemczyki posadzili, był tylko pniem spróchniałym; ów złoty kielich zgniłą czaszką trupią. Sięgnął do kieszeni — i zamiast pieniędzy znalazł traski!

38. Kiszporg.

Na miejscu, gdzie teraz stoi miasteczko Kiszporg (Christburg), mieli dawni Prusacy zamek. Długo Krzyżacy nadaremnie zamek ten oblęgali. Nakoniec go dobyli i wszystkich tam co do nogi wycięli; a że to w wigilią Bożego Narodzenia się stało, dla tego Krzyżacy ten zamek po niemiecku Christburg nazwali. Przez dwieście lat Krzyżacy ten mocny i ważny zamek posiadali, aż go

lata Pańskiego 1410. z ziemią zrównano. Był tam na ówczas komturem Olbrach Szwarcburg; albo jak inni chcą, Otton z Sangerwic; ten zawsze Krzyżakom nieradził rozpoczynać wojny z Jagiełłem, która tak nieszczęśliwie dla zakonu skończyła się. Ale starszyzna krzyżacka chciała koniecznie wojny; gdy więc komtur wyciągnął w pole i szedł na bitwę pod Tannenbergiem, a starszy go zapytał, komuby zamek powierzył? — odpowiedział zniecierpliwiony, tobie — i tym złym duchom, coście tę wojnę uradzili. Te słowa tak starszego przeraziły, iż wpadł w gorączkę i na drugi dzień umarł. Zaraz dusza jego poczęła się błąkać po zamku; odtąd, jak który ze starszyzny krzyzackiéj umarł, co na wojnę z Jagiełłą namawiał, dusza jego szła do zamku Kiszporskiego na pokutę; zarazem tyle się tu duchów zebrało, iż żaden żyjący człowiek w tym zamku wytrzymać niemógł. To téż tu niesłychane i straszne działy się rzeczy. Nieraz parobcy chcąc iść do stajni, zachodzili do lochu i tam się tak bywało popili, iż żaden o świecie niewiedział. Raz kucharz i pomywacze poszli do kościoła, patrzą: a tu konie stoją; z kościoła zrobiła się stajnia. Idzie piwniczy do lochu, a tam woda płynie. Jeśli Krzyżacy bywało jeść w zamku się zabierają, a tu miski krwią się napełniły. Ale najgorzéj zdarzyło się komturowi, który tu przybył z Frauenburga; raz bowiem znaleziono go w studni zawieszonego za brodę tak, iż z wielką biedą do siebie przyszedł; a drugi raz na najwyższym dachu się znalazł. Raz znowu poczęła mu broda się palić; woda niepomogła, aż póki nie uciekł z zamku.

Wszyscy więc zamek opuścili, który się w gruzy rozsypał. Ten zamek dotąd jeszcze stoi, dotąd jeszcze mieszkają tam dusze Krzyżaków, którzy wojnę z Polską radzili.

We dwa lata po bitwie pod Tannenbergiem i Grunwaldem kowal z Kiszporgu wrócił z pielgrzymki do Rzymu; ten chcąc czegoś o duchach zamkowych dowiedzieć się poszedł raz w południe do zamku i tam zastał brata komtura stojącego na moście, który także na téj bitwie zginął. Kowal, któremu ten Krzyżak niegdyś synka do chrztu trzymał, poznał go od razu, a rozumiejąc, że mówi do żyjącego człowieka, rzekł mu: O panie kumie, cieszy mię, że was w dobrém i czérstwém zdrowiu oglądam; co téż tam się dzieje w tym zamku, o którym takie dziwy opowiadają? — Na co mu duch odrzekł: Chodź zemną, to zobaczysz, jakie to gospodarstwo prowadzimy. Poszedł więc za nim kowal krętemi wschodami. Przyszedłszy do pierwszéj komnaty znaleźli wiele bardzo ludu grającego w kostki i karty, jedni śmiali się, niektórzy klęli. W drugiéj komnacie wszyscy jedli i pili. Ztamtąd przyszli na wielką salę, gdzie znaleźli mężczyzn wiele, niewiast, panienek i chłopców; tam tylko na gitarze grano i śpiewano; nic, tylko taniec i rozpusta. Poszli potém do kościoła, tam stał ksiądz, jakby miał mszą odprawiać, a kanonicy siedzieli w stalach i spali. Potém wyszli z zamku; w tém usłyszano ztamtąd żałosny płacz i wycie, że kowal trochę zaczął się strachać i myślał sobie, że już i w piekle gorzéj być niemoże. Idź i powiedz nowemu wielk. mistrzowi, coś tu widział i słyszał; tak bowiem żyliśmy, jakeś to tam widział; a z tego poszła nędza i płacz, któryś słyszał. To rzekłszy, zniknął.

Przestraszył się bardzo kowal, jednakże chciał dany sobie rozkaz wypełnić; poszedł do w. mistrza i opowiedział wszystko, jak się stało. Ale ten rozgniewał się strasznie, mówiąc, iż tę bajkę zmyślono, aby zakon krzyżacki osławić; kazał więc kowala w worek zaszyć i utopić.

39. Orły Herburtów.

W bliskości Dobromila na wyniosłéj górze widne po dziś dzień rozwaliny dawnego zamku Herburtów. Jest tam podanie gminne, opowiadające przyczynę wygaśnięcia téj sławnéj i możnéj rodziny. Każdy umierający Herburt, jak powiada lud tamtejszy, przemieniał się w siwego orła i obierał na skałach zamkowi przyległych mieszkanie, gdzie gnieżdżąc się, młode wyrodził swe pisklęta. Dopóki orły się gnieździły i dopóki je szanowano, dopóty sprzyjało szczęście Herburtom. Lecz na raz zniszczył wszystką pomyślność jeden niebaczny potomek tego rodu, który niepomny na oddawaną cześć tym orłom, ośmielił się ubić jednego z rusznicy. Powróciwszy z polowania do domu dowiedział się, iż właśnie w chwili zabicia orła, skonał jego mały synek, którego całkiem zdrowego jeszcze w domu był zostawił. Od tego czasu orły przestały się gnieździć w skale; uciekło szczęście i dostatek od Herburtów, a ich rodzina z powodu zabicia orła wygasła na owym osieroconym ojcu.

40. Pileckie.

Córki przemożnego domu Pileckich, a do tego pierworodne, jeżeli zmarły przed zamąż pojściem, zamieniły się w gołębie; zamężne zaś w ćmy nocne i ukąszeniem przepowiadały zgon każdemu z członków téj rodziny.

41. Skała Kmity.

We wsi Zabieżów o milę od Krakowa, w dolinie przerzniętéj pięknym strumieniem Rudawy, stérczy na

przepaścistém wzgórzu Skała Kmity. Do niéj się wiąże smutne podanie o nieszczęśliwym Kmicie, który ze szczytu skały rzucił się w strumień z rozpaczy, że mu rodzice odmówili rękę kochanki. Stary napis w połowie zatarty maluje nam usposobienie młodzieńca:

Kthory z was przyjdzie thu,
Mając męztwo w owym dniu,
To i radość może mieć;
Zasie kthory przyjdzie thu,
Ma strapienie w onym dniu,
Tho i spokój może mieć.

42. Kamienna figura na kollegiacie w Wiślicy.

Na facyacie kollegiaty wiślickiéj po prawéj stronie znajduje się wykuta z kamienia naga postać wiszącego człowieka przepasanego fartuchem. Podanie o tém jest takie: Król Łokietek na podziękowanie Bogu za swoje zwycięztwa postanowił ufundować piękny kościół w Wiślicy; tym końcem kazał zrobić abrys, który mu się bardzo podobał; otóż podług tego abrysu zgodził się z majstrem, aby kościół wystawił. Cóż się dzieje? po pewnym czasie, gdy już były mury wyprowadzone, zjeżdża król Łokietek oglądać budowę i ze zgrozą widzi, jako kościół jest mniejszy od podanego w abrysie. Nieposiadając się w gniewie, natychmiast każe kościół rozwalać, a majstra budowniczego obwiesić. Że zaś mimo téj omyłki, majster ów rzadkim był w swéj sztuce i drugiego niełatwoby znaleziono, przeto niebardzo nastawano na jego życie, z czego i on korzystał, bo natychmiast porwał dłuto i kawał głazu, i wykuł zeń swój wizerunek i powiesić go dał

na facyacie. Gdy tedy Łokietek pytał, czy majster on wisi? odpowiedzieli dworscy, że wisi. W parę dni jednakże żal się zrobiło królowi, że tak popędliwy dał wyrok i raz wyrzekł: Szkoda go! któż mi teraz kościół postawi?! — Aż tu dworzanie widzą króla markotnym, wyjaśnili rzecz całą; czemu był rad wielce, raz, że człeka niezgubił, drugie, że mimo téj chyby piękna stanęła świątynia.

43. Żaby, drzwi i grobla w Wiślicy.

Był sobie jeden ksiądz w Wiślicy, bardzo pobożny i uczony. W skutek zapewne łaski, jaką sobie zasłużył u Pana Boga, mógł rozkazywać złym duchom i zaklinać głupie twarze, to jest zwierzęta. Wiadomo, iż Wiślica stoi, jakby na jakim ostrówku, pośród niezmiernych błót rzeki Nidy; owoż w tych błotach gnieździła się moc niezmierna różnych gadów, a mianowicie żab, które grzechotaniem swojém naprzykrzały się ludziom. Zdarzyło się, iż podczas solennéj mszy, którą ów ksiądz odprawiał, żabska tak przeraźliwie skrzeczeć zaczęły, że ani on siebie niesłyszał, ani jego niesłyszano. Uniesiony więc żarliwością chwały boskiéj, zaklął żaby i ropuchy, i odtąd nigdy ich głos niebył słyszan w Wiślicy.

Pewnego razu tenże sam ksiądz, zwyczajem swoim przechadzał się wieczór po nadworcu plebanii, odmawiając wieczorne pacierze. Na dzwonicy kościelnéj usiadło właśnie kilka kruków, które zaczęły między sobą rozmowę. Ksiądz, że był człowiek uczony, rozumiał również i głos ptaszy; przeto zebrała go chęć podsłuchać, co téż ci ptacy prawią. Z pierwszych wyrazów domyślił się, jakie to ptaszki, więc tém ciekawiéj słuchał. Opowiadali oni sobie różne ze świata nowiny; i tak, jeden

się chwalił: że chłopa pijanego zaprowadził w błota; drugi, że staremu sknérze kark skręcił, a pieniądze zakopał; ale trzeci, który najdłużéj milczał, odezwał się nakoniec: Stareć to rzeczy prawicie, panowie bracia! jać to wiem fortel jednego naszego kolegi, który wszystko zakasuje, co kiedykolwiek bies spłatał na świecie. — Cóż takiego? cóż takiego? pytały rozciekawione kruki. — Oto tak, mówił ów trzeci djabeł (bo to wszystko były djabły), nasz brat, którego tu brakuje właśnie, jest w Rzymie. Dziś rano, kiedy papież mszę odprawiał, on mu się pokazał w kościele, w postaci prześlicznéj panny; musiał dobrze oczarować papieża, kiedy jéj kazał na wieczór być u siebie. — Czy to tylko prawda? zawołały kruki odchodząc od siebie z podziwu. — Nic prawdziwszego na świecie — mówił daléj opowiadający — w téj chwili ona tam jest u papieża i siedzi na łóżku obok niego. Ksiądz usłyszawszy to bluźnierstwo, struchlał, ale się zaraz pomiarkował, a znając wszystkie exorcyzmy, zaklął kruki tak, że, jak przykute, niemogły ruszyć się z miejsca, gdzie siedziały. Djabły widząc, z jakim nieprzyjacielem mają do czynienia, daléj w prośby, ale napróżno! ksiądz, który tylko myśli, jakby ratować duszę ojca świętego, coraz okropniejszemi formułami smaga onych biesów, nakoniec temu, co owę historyę opowiadał, każe się zanieść do Rzymu. Djabeł wszakże szukając sposobu, jakby się wykręcić, zagadł: a na czémże cię zaniosę mości księżę? na moim grzbiecie będzie ci za twardo? — Na tych drzwiach od kościoła! odrzekł ksiądz. Posłuszny djabeł wyrwał drzwi z zawiasami, ksiądz siadł i w mgnieniu stanęli w Rzymie. Przyjechawszy przed pałac, ksiądz prosto walił do sypialni papieża, a djabeł czekał na dworze ze drzwiami na plecach. Na nieszczęście, co szatan wyprorokował, było prawdą:

papież leżał na łożu, a obok niego siedziała prześliczna panna. Nasz proboszcz, niemówiąc ani słówka, sunął śmiało ku onéj pokusie i zaraz od lewicy palnął ją po twarzy; a że to był szatan, więc natychmiast rozlał się smołą. Dopieroż wsiadł na ojca świętego, karcąc go ostremi słowy, czém tak zmiękczył papieża, iż ukląkł i kazał mu się wyspowiadać. Po dopełnieniu chrześcijańskiego obowiązku, ksiądz spieszy się do domu, bo już mało czasu zostaje. Wychodzi na podwórze, djabeł czeka ze drzwiami, ale złośliwy bies niemógł się obejść, żeby figla nie spłatał, bo miasto drzwi onych z Wiślicy, wyjął inne ogromne i na tych zataszczył księdza. Dotąd stoją one bez użytku w kościele wiślickim. — Gdy zalecieli na miejsce, a proboszcz postrzegł, że ma jeszcze czas djabłem się posłużyć, kazał mu budować groblę na błotach Nidy. Stanął kontrakt między stronami, w którym djabeł zastrzegł sobie, że co pierwszego przejdzie przez groblę, będzie jego własnością z duszą i ciałem. Proboszcz bojąc się, aby która z jego owieczek niepadła pastwą szatańskiéj złości, zakazał, aby nikt nieprzechodził przez groblę. Cóż się tedy stało? Djabli wysypawszy, co się nazywa dokładną groblę, zrobili rogatkę, czychając na onę duszyczkę; aż tu coś bieży — oni wskok się rzucą, chcąc porwać, co swoje, gdy przypatrzywszy się bliżéj, poznali, że to była świnia! Djabeł widząc się oszukanym, w największéj furyi porwał ją za ogon, zakręcił i z całéj mocy cisnął w środek grobli, tak, że wybił jamę, któréj dotąd nikt a nikt załatać niemoże.

44. Zamek Ojcowski.

Świetny był zamek Ojcowski, póki Polska była swobodną, póki żyła Pani Starościna; było się tam czego na-

patrzeć: bogate obicia, ogromne zwierciadła, marmurowe posadzki i kolumny; Starościna też strzegła go, jak oka w głowie, sama proszki i pyłki zbierała po pokojach. Lecz kiedy Kościuszko zginął pod Maciejowicami, wtenczas i pani Starościna rozchorzała niebożątko! powlekli ją tam gdzieś do wód węgierskich, umarła w drodze, leży na Kalwaryi. — Odtąd się tu wszystko zmieniło. Zamek zajęli Niemcy; obicia, lustra, marmury, posadzki poniszczyli i wtenczas to poczęło coś straszyć. Co nocy zamek o saméj północy gorzał od świateł, jak niegdyś za życia nieboszczki, a ona sama, wyniosła i poważna, cała w bieli przechadzała się po pokojach. Widziano na żywe oczy, jak nieboszczka po za okna przesuwała się strasząc Niemców; ale oni niewierzyli i ustąpić niechcieli.... Było tego przez długi czas; aż jednego razu pani Starościna, niemogąc się tych nieproszonych gości pozbyć, sprowadza burzę, piorunem dach zapala, w ogniu staje zamek cały! Wtenczas już obcy wynieśli się z zamku i duch przestał się pokazywać.

45. Głowa w izbie senatorskiéj w Krakowie.

W obszernéj izbie senatorskiéj na zamku krakowskim jest pułap z belek, które misternie są złocone i malowane, między niemi zaś wyrabiane sztuką snycerską ozdoby, zwykle w czworoboki; otóż w téj sali było sto takich czworoboków, a z ich środka wychylało się sto głów męzkich i niewieścich w kolorach naturalnych i właściwych ubiorach. Pewnego razu, gdy któryś sędzia niesprawiedliwy wyrok dla strony pokrzywdzonéj ogłaszał, jedna z tych głów cudownym sposobem przemówiła i wyrok zmienionym został.

46. Stół marmurowy w Olesku.

W czasie przyjścia Jana IIIgo na świat, który się urodził dnia wtórego Czerwca 1624. r. w wigilią Przenajświętszéj Trójcy, zdarzyła się dziwna przygoda, zrządzeniem niepojętéj w swych cudach Opatrzności. Skoro bowiem odebrano niemowlę, a po obmyciu położono na stole marrowym, *) który w téj chwili jak gdyby zrysowany piorunem, na dwoje przepękł się. Rzecz dziwna przytomnych zasępiła, a wielebny ojciec Sierniaszko z monastérku Byliańskiego, znajdujący się przy tém milczeniu, rozerwał je témi słowy: Snać, że niemowlę to z poręki wszechmocności chwałę odebrało, która w całém chrześciaństwie walor mieć będzie; świetna ta jednak chwała w czasie dalszym przepęknie się i polskiemu narodowi szkodliwą się stanie.

47. Król Sobek.

Za panowania króla Sobka tyle w koronie polskiéj namnożyło się luda, iż była obawa, aby głód nie nastał, a z głodu pomorek. Jednego razu, kiedy o tém król Sobek rozprawiał z swoją żoną królową, radząc się, coby na to robić; rzekła, pomyślawszy królowa: Najlepszy sposób: wyprzedajmy lud Tatarom, a wtedy i zboża będzie obfitość, kiedy się połowa gąb ujmie. — Król zrazu kiwał głową, ale w końcu usłuchał rady niewieściéj; napisał list do krymskiego chana, i Tatarzy trzema szlakami wpadli na ziemie polskie. Pograsowawszy, popaliwszy, kiedy ty-

*) Stół ten jest czarny; długości najmniéj trzech łokci; wzdłuż idzie rysa; późniéj niewiadomo, dla czego kazano go przeciąć na dwoje i teraz tworzy dwa mniejsze stoły znajdujące się w Podhorcach.

siące tysiącami pobrali mężczyzn i kobiet, chan się uradował, ujrzawszy taką ćmę chrześciańskich jeńców. Dano znać królowi Sobkowi, aby porachowawszy głowy, odebrał zapłatę. Król na oznaczone miejsce, gdzie stał kosz tatarski, zjechał z swoimi pany; było to gdzieś na stepach podolskich, nad brzegiem wielkiego jeziora. Kiedy swego króla ujrzeli jeńce, ucieszyli się, myśląc, że ich od Tatar wykupi. On zaś słysząc ich jęki i wołanie, żal mu się zrobiło, że usłuchał żony i już zaczął z chanem targować o wykupno jeńców, dając w dwunasób tyle, ile stało w umowie. Ale chan ani rusz, wyliczył tylko za głowę po czerwieńcu i Tatary pognali lud w Jassyr. Wonczas to taki powstał płacz i zawodzenie między ludem, że król Sobek niemógł wytrzymać i z rozpaczy wskoczył, jak stał na koniu, w bliskie jezioro i utonął. Za to co nocy, zwłaszcza kiedy księżyc świéci, wyjeżdża na koniu z toni jeziora, hasa po okolicznych błoniach, a kiedy kur zapieje, wraca na dno odbywać długą pokutę.

48. Wąsy króla Jana.

Żak jakiś zwiedzając groby królów polskich uskubnął był kilka włosów z wąsów tego bohatéra; ale gdy spać kilka nocy niemógł, bo o każdéj północy widmo zmarłego króla upominało się groźnie o swoję własność, musiał do grobu odnieść tę pamiątkę, którą chciał sobie zachować.

49. Pan Przyjemski w Koźminie.

W kościele farnym w Koźminie, w kaplicy tak zwanéj fundatorskiéj leży pan Alexander Przyjemski, zmarły w r. 1694. Zwłoki jego niepodległy żadnemu zepsuciu,

a oblicze wygląda, jakby żywe. Opowiadają, iż gdy jakiś niemiecki feldmarszałek kupił dobra koźmińskie, odwiedził grób ś. p. Alexandra Przyjemskiego, kazał sobie otworzyć trumnę, a postrzegłszy nienaruszone ciało, złapał za wąsy, chcąc doświadczyć, czy mocno siedzą w skórze. Tymczasem gdy pociągnął, otworzyły się oba oczy leżącego ciała, czém tak został przerażony, że najspieszniéj wybiegł ze sklepu kościoła, a nawet we własnym pałacu niemając spokojności, bo ciągle widział groźny wzrok pana Przyjemskiego, wyjechał za granicę i już nigdy do dóbr swoich niewrócił.

50. Wieża czarnéj księżniczki w Szamotułach.

W zamku szamotulskim stoi na dziedzińcu baszta, zwana wieżą czarnéj księżniczki. Dwa są o niéj podania. Jedni mówią, że ta księżniczka była córką dziedzica okolicznych włości, a skłoniwszy serce do młodzieńca ubogiego stanu uszła z rodzicielskiego domu. Opuszczona od wszystkich, w niedostatku i nędzy długo się w pobliższych wsiach tułała, aż nakoniec pojmana, za karę występnéj w oczach ojca miłości, w czarnéj maszce w téj baszcie zamkniętą została. Miejsce to od długiego jéj tułania Samotuła, czyli Szamotuły nazwaném zostało. Drudzy twierdzą, iż możny niegdyś dziedzic Szamotuł miał córkę, która z czarnym na twarzy kolorem, niby murzynka, na świat przyszła. Ojciec, wstydząc się pokazać światu upośledzonéj od natury córki, na całe życie zamknął ją w téj wieży. *)

*) Współczesny Świstosław Orzelski powiada, że w Szamotułach długo była więzioną Halszka, córka x. Ostrogskiego. Szamotuły były wówczas własnością Łukasza Górki.

Jest jeszcze figurka wypukłéj roboty w wielkim ołtarzu w kościele umieszczona; w mniemaniu gminu jest ona obrazem czarnéj księżniczki.

51. Zaklęty zamek w Lubaszu.

Na wysokich wzgórzach Lubasza stał niegdyś zamek, ale gniew nieba za jakąś zbrodnię dziedzica zagrzebał zamek w przepaści, która się rozstąpiła pod nim; na tém miejscu został się tylko kopiec, a z niego wyrósł dąb ogromny, który ponurym cieniem osłania tę pamiątkę. Razem z zamkiem zapadł się i należący do niego ogród, a z nim i szpaler, którego kierunek wskazuje dziś kanał głęboki. Ponura cichość panuje w téj części zaklętego zamczyska; lecz po drugiéj stronie na drodze, która się wije między wzgórkami, dostrzegają częstokroć mieszkańcy okropne widma i słyszą niezrozumiałe głosy.

Tegoż losu, co zamek, doznał i kościół w bliskości stojący; zapadł się on wraz z wieżą i dzwonami, których ponure głosy częstokroć z śród ziemi się dobywają i pewną są wróżbą jakiegoś nieszczęścia.

Przy pogrążonym w ziemi kościele i zaklęty równie jak kościół, mieszka pustelnik, który w nocnych godzinach często się w tém miejscu pokazuje i w zakonnym stroju, z kapturem na oczy spuszczonym, całą okolicę spiesznym przebiega krokiem; lecz gdy północ uderzy, niknie zjawisko, widać tylko migające się światełka, bądź to ogniki, jakie na błotach się pokazują, bądź świece grobowe palące się nad ciałem zaklętego właściciela. Wtenczas podziemne przytłumione głosy chorałem odśpiewują jutrznię.

52. Widmo w zamku Rydzyńskim.

W zamku Rydzyńskim jest kaplica, przed kaplicą pokój, a w tym pokoju obraz kobiety wyższego stanu; kto jest ta kobieta, kto ją malował, zawiesił, z kąd się wzięła w tym zamku, nikt tego nigdy niewiedział, nikt wiedzieć niebędzie. Obraz ten niema nic uderzającego w sobie, oprócz surowego nieco spojrzenia i ręki jednéj, nienaturalnie jakoś położonéj. Palce téj ręki zdają się jakby przesilone, skościałe, po jakimeś czynie gwałtownym, może zbrodniczym. O nic łatwiéj wprawdzie, jak o domysł podobny, w którym zapewne i cienia prawdy niema; tu przecież prędzéj wypatrzyćby go można; stara bowiem i głucha wieść krążyła tu kiedyś, jakoby przed niepamiętnémi czasy w miejscu tém jakaś zbrodnia spełnioną być miała. Mówiono nawet i o dwóch sierotach, ale z taką niepewnością i ciemnotą rzeczy, że nikt prawie wiary temu niedawał. Rzadko więc i bardzo rzadko o tém mówili ludzie, byliby nawet wiecznie zamilkli, gdyby widmo ukazującéj się niekiedy w zamku kobiety niewywoływało czasami z pamięci téj bolesnéj powiastki.

Widmo to niekłóci tak nielitościwie spokojności, jak się to gdzie indziéj dzieje. Spotykają je tylko niekiedy klęczące na korytarzu i zatopione w modłach; gościom nawet nocującym w przykaplicznym pokoju, cichém tylko o północy przypomina się stąpaniem; niewiast jednakże i drobnych dziatek snu nigdy nieprzerywa, jakby na wrodzoną ich lękliwość względne.

Jest przecież w każdym roku jedna noc straszliwa, okropna, któréj nikt w zamku przespać niemoże; tych nawet, co nic niewidzą, niesłyszą, o niczém niewiedzą, porywa jakaś gorączka niespokojności; zdaje się, że coś nadzwyczajnego przeczuwają w naturze. Przez całą tę

noc, choć niebo w koło jest jasne i pogodne, zawsze się waży nad zamkiem jakiś obłok czarny, a pobliższe drzewa ogrodu, choć żadnym niewzruszone wiatrem, dziwnie szeleszczą. Już od jedenastéj godziny słychać jakiś szum i łoskot w kaplicy, jakieś wyraźne chodzenie i ustawianie sprzętów. Kryje się służba zamkowa, śmielsi tylko bliżéj przystępują, słuchają, zaglądają; twarze ich przecież bledną, wznoszą się włosy, całe powietrze zda się jakąś nasiąkłe okropnością.

Uderza północ. Roztwierają się same przez się drzwi kaplicy, zapalają się świéce na ołtarzu, lecz jakimeś dziwném, bladém, błękitném światłem; widmo kobiety w białéj i długiéj szacie, z rozpuszczonémi włosy, wywiędłém boleścią obliczem, klęczy przed ołtarzem. Nagle zimno grobowe uderza w koło; ukazuje się kapłan w ornacie ze mszą świętą idący. Okropny widok!... kapłan ten jest kościotrupem... głowa jego trupią, ręce kielich niosące kościami tylko; poprzedzają go dwa małe szkielety w komżach, jeden z nich niesie ampułki, drugi mszał ogromny. Zaczyna się msza święta, kapłan składa i rozkłada ręce, obraca się, przyklęka, czyta w mszale, gorąco się modli; dwa małe szkielety zdają się modłom jego odpowiadać, żaden przecież głos, żadno westchnienie dosłyszeć się niedaje. W chwili tylko podniesienia ciała i krwi pańskiéj, głuchy odgłos kościanego dzwonka głębokie przerywa milczenie. Kończy się obrzęd; kapłan zasiada w krześle — widmo przystępuje do spowiedzi. O jakże gorąco modli się wprzody; jakiż to ciężar piersi jego rozpiera! Spowiada się, kapłan słucha i długo, długo słucha. Ileż to łez i westchnień przerywa tę spowiedź! Wielki Boże! jakżeż straszliwém musi być wyznanie tego widma, jaka zbrodnia jego. Patrz! patrz! po trupiéj czaszce kapłana zimny pot zlewa się strumieniem, w wy-

drążonych oczach błyska promień oburzenia, wiszący obraz kobiety cały czernieje, jakiś głuchy grzmot daje się słyszeć nad zamkiem!... Drobne dwa szkielety klęcząc i modląc się, zdają się błagać za winną. Wyznała już wszystko i schyla głowę i bije się w piersi na znak żalu i skruchy. Bije silnie — płacze i czeka. Czeka chwil kilka, wreszcie podnosi na kapłana wzrok błagalny i mówi: przebaczenia! A kapłan jéj grobowym odpowiada głosem: nie w tym roku jeszcze!... I kiedyż, kiedyż?... odzywa się widmo; kapłan milczy. Wskazuje jéj na dwa klęczące szkielety — znika — gasną świece, zamykają się drzwi kaplicy — jęk tylko długi słychać za niémi i na raz wszystko cicho i ani śladu tego, co przed chwilą było.

53. Skarbiec w Zbąszyniu.

W Zbąszyniu po dziś dzień stoi zamek, niegdyś warowny wielkiém jeziorem. Jeden z panów tego zamku prowadziwszy w młodości życie rozwiązłe, przepędzał na pokucie i rozmyślaniu późniejsze swoje lata. Obracał starzec znaczne swe dochody na miłosierne uczynki, a powiernikiem jego w rozdawaniu jałmużn był doświadczony długoletni sługa. Obaj częstokroć do podziemnego schodzili skarbcu, gdzie po kilka godzin sam na sam przebywali. Skromny sposób życia właściciela Zbąszynia niepodobał się synowi jego. Młodzieniec ten zepsutych obyczajów, obłudą nazywał postępowanie ojcowskie; słudze zaś zemstą swoją na przyszłość odgrażał. W tém nagła niemoc naprzód mowę, a wkrótce potém i życie starcowi odjęła; a gdy zwłoki jego do grobu zniesione zostały, wezwał nowy dziedzic starego sługę i do skarbcu zaprowadzić się kazał. Czy tu składał mój ojciec pieniądze swoje?

rzekł, widząc wielką skrzynię w żelazo okutą, którą skwapliwie otworzył, lecz w któréj księgi pobożne tylko i włosienicę ujrzał.

— Gdzie są skarby mego ojca? rzekł dziko młodzieniec; a kiedy ich niema, gdzież są kwity z roztrwonionych jego dochodów?

— Rozdawał pan mój dochody swoje między nieszczęśliwych, a kwitów od nich nieżądał — odrzekł sługa.

— Ty więc je przystaw niecnoto; niewyjdziesz ztąd, dopóki ich mieć niebędę. — To powiedziawszy nowy pan, zatrzasnął za sobą żelazne podwoje i starego sługę samego w piwnicy zostawił. Dzikie śmiechy towarzyszów rozpusty młodego pana rozlegały się po zamku. Dwa dni przepędził w więzieniu nieszczęśliwy sługa bez pokarmu i napoju, cały ten czas swawolna rzesza na rozpuście strawiła. Trzeciego dnia na wieczerzy jeden z gości mocno podchmielony, z urąganiem spełnił zdrowie więźnia, mówiąc: niech go pasie stary, niech go uwolni, jeśli potrafi. W téjże chwili otworzyły się nagle ciężkie okowane drzwi, prowadzące do podziemnego skarbcu. Wchodzi umarły ojciec w śnieżną przybrany suknię i wiernego sługę za rękę prowadzi. — Tak jest — rzeknie — nakarmiłem go, wywiódłem z więzienia, teraz niewinność jego zaświadczam. Starzec zniknął, a syn upadł bez zmysłów. Następne życie jego dowiodło, że napomnienie ojca pożądany odniosło skutek.

54. Krzywoprzysiężna pani.

W stronie północnéj za Tarnopolem na Podolu jest gaj nazwany: Szlachcinieckim; w nim schodzą się granice kilku włości przyległych; w gęstwinie tego lasu, gdzie się granice rozchodzą, znajduje się wysoki kopiec, a na nim

figura z ciosanego kamienia w kształcie czworokątnego ostrosłupa. Od strony zwróconéj ku miastu wykuta jest niby kapliczka, od zachodniéj półtrzecia krzyża, czyli herb Pilawa, pod herbem zatarte ślady napisu; na wschodniéj zaś stronie wykuty jest trzewik białogłowski. Podanie o tym pomniku takie krąży między gminem: Bardzo dawno temu, jak między mieszczanami tarnopolskimi, a włościanami Szlachciniec był spór o grunta. Proces miał się rozstrzygnąć na miejscu, więc sama dziedziczka Szlachciniec wyjechała, mówiąc, że i ona i mieszczanie muszą przysięgać; choć dobrze wiedziała, że to nie jéj były grunta. Jakoż nabrawszy z swoich gruntów ziemi w trzewiki, stanęła na roli, o którą spór się toczył i wyrzekła: Przysięgam Panu Bogu wszechmogącemu etc., iż ta ziemia, na któréj stoję, jest moją własną! — Ale zaledwo wykonała krzywoprzysięztwo, w tém samém miejscu padła i nałożyła hołowkoju (umarła). Po pogrzebie téj pani długo bardzo jakaś mara błąkała się po lesie; w czahary zapraszała przechodzących wieczorem, zbłąkawszy ich z drogi; rozpędzała pasące się tam bydło i dusiła owce; a nawet kilkoletnie dzieci pasące trzódę.

55. Zamek w Wyszynie.

Wieś Wyszyna, położona o milę od Warty, ma zamek leżący śród lasów. Jest podanie, że król Batory polował w tych borach; pokazują bowiem kamień, zwany grobowiskiem misia (niedźwiedzia) przez króla ubitego. W czasie tych wspaniałych łowów, córka Melchiora z Górowa, ówczesnego dziedzica Wyszyna, wystrzałem, przez nieostrożność polujących, życie postradała. — Cień jéj błąka się po rozwalinach ojczystego zamku i otaczających

go zaroślach; cień smętny, ale nieszkodliwy; bo, jak mówią włościanie: nie zwodzi, nie topi, nie przeszkadza; tylko żałośnym jękiem przeszłość wzywa i wspomina.

56. Lubrański.

Lubrański, dziedzic Gosławic, był za życia swego człowiekiem bardzo okrutnym: dzieci końmi po drogach rozjeżdżał, palił domy, kiedy mu widok zasłaniały, a sługi Boże prześladował zapamiętale. Za to też po śmierci pokutuje w Gosławicach; widywano go otoczonego orszakiem złych duchów, które prowadząc ognistego rumaka, kazały nań wsiadać Lubrańskiemu, co on też z wielkim płaczem i narzekaniem czynił, mówiąc, że te męki czyscowe przeszło od lat sto cierpi, a to za wydarcie pewnych funduszów kościelnych.

57. Zamek Jazłowiecki.

Rozwaliny spaniałego niegdyś grodu Jazłowieckich na Podolu świadczą o karze niebios, jaka dotknęła ród Jazłowieckich za to, iż jeden z nich nielitościwie wypędził osiadłych tamże Ormian; z ustąpieniem tych pracowitych i przemyślnych ludzi wszystkie nieszczęścia zwaliły się i na miasto i na onego dziedziców. Rodzina Jazłowieckich zgasła, a gród przeszedł na własność Koniecpolskich. I téj rodziny nielepszy był koniec; gdy bowiem razu pewnego z chłopięciem jedynym tego imienia dziedzicem, piastunka przyszła igrać nad brzeg studni zamkowéj, nastraszona przez kogoś, upuściła dziecię, z którego śmiercią miała się zacząć koléj nieszczęść Polski. — Dzisiaj okoli-

czni wieśniacy, w chwilach, gdy słońce zachodzi, widują, jak promień jego tworzy niekiedy w obłokach złotą przepaskę, potém złotowłose dziecię na głowie mające wianek, w prawéj ręce krzyż, a w lewéj kwiaty. Zjawisko to dopóty ma się pojawiać, póki świetniejsze losy dla kraju niewrócą.

58. Skrzynno, jezioro pod Mosiną.

Za Mosiną między wzgórkami, które to miasteczko otaczają, znajduje się jezioro Skrzynką, czyli Skrzynną zwane, bardzo głębokie, w którém niezmierne skarby leżą. Podanie jest, że w czasie szwedzkiéj wojny, właścicielka pobliższych włości namiętną miłość wzbudziła w oficerze szwedzkim na załodze w miasteczku stojącym; gdy mu jednak wzajemną niebyła i bezpieczeństwa dla siebie w domu nieupatrywała, postanowiła oddalić się z téj okolicy i zabrać z sobą klejnoty swoje, droższe sprzęty i srebra stołowe. Wyśledzili ją niebawnie Szwedzi, w pogoń za nią poszli i już ją dopędzili, gdy ona kazała zwrócić sanie swoje na jezioro, które dopiero co było stanęło. Pospieszył za nią ów szwedzki oficer, lecz gdy się do niéj zbliżał, lód się pod niemi załamał i oboje utonęli w jeziorze. Przez wiele lat widywano cień kobiety unoszący się nad wodą, widywano oraz mężczyznę, który się za nią uganiał. Nigdy jéj przecież doścignąć niemógł; postać niewieścia znikała w przezroczu właśnie w tém miejscu, gdzie leżeć mają wspomnione skarby.

59. Myśliwy pan.

W Czerwonéj wsi mieszkał dziedzic téj włości, człowiek bezbożny i okrótny, ktury myśliwstwo tak dalece

lubił, że nieuważał na największe święta i najczęściéj w czasie wielkiego nabożeństwa uganiał po kniejach ze zgrają psów i obławników, zmuszonych gwałtem do téj posługi. Zwyczajem jego było za powrotem z polowania rzucać ze wzgórka, na którym stał zamek, chleb psom i ludziom, którzy z nim byli polowali. Ale i tu okazywała się dzikość tego człowieka, kazał albowiem bić ludzi, jeżeli się dali psom do chleba uprzedzić; kazał bić psy, jeżeli ludzie przed niemi chléb schwytali. Próżne były napomnienia miejscowego plebana, aby tak nieludzkiéj zaniechał zabawy. Po raz ostatni ostrzegł go pastérz i rychłą zagroził śmiercią, gdyby się niepoprawił. Lecz słowa jego były daremne. Zagorzały myśliwy w następną zaraz polował niedzielę; ale wróciwszy z łowów, ciężko na zdrowie zapadł i w kilka dni umarł. Wkrótce potém upadł zamek tameczny, znikły ślady dawnéj wspaniałości właściciela, lecz pozostała dotąd pamiątka jego kary. Dziś jeszcze bowiem po błotach okolicznych słychać tentent koni, krzyki obławników, wycie psów i huk wystrzałów; lecz, gdy kur zapieje, nikną mary, a bór przyległy grobową przybiera posępność. Na górze tylko, tam, gdzie stał zamek, pokazuje się, jakby wielka łuna pożaru, która mieszkańców trwogą napełnia. Dotąd śród gęstego boru, należącego do Czerwonéj wsi, pokazują otwarty grób okrutnego owego pana, jako pamiątkę jego przewinienia i kary.

60. Pająk w Pajęcznie.

Pajęczno leży w ziemi Wieluńskiéj. Jest tam podanie o niezmiernie wielkim pająku, którego całe miasto żywić musiało, z niemałym ciężarem dla mieszkańców.

Długo cierpiano tę potworę, aż znalazł się jeden z odważniejszych mieszczan, który ją zabił. Skórą tego pająka miały być obite drzwi dawnego parafialnego kościoła, i od niego to miasto przybrało nazwę Pajęczna.

61. Kościół Bożogrobców w Gnieźnie.

Gmin gnieźnieński pokazuje na zewnętrznych murach tego kościoła maleńkie wydrążenia, które w znacznéj liczbie upatrzyć można; twierdzi on, że to są ślady dusz pokutujących, które raz w rok z grobów wstają i usiłują wejść do kościoła; znajdując zaś drzwi zawarte, starają dobyć się przez mur i suchemi palcami kościotrupów wiercą ściany; lecz pracy téj dokonać niemogą, bo kur zapieje i znowu wracają na rok ciężkiéj w grobie pokuty. Widują ludzie z miasta krzątające się duchy na górze około kościoła; wszyscy wiedzą o ich ciężkiéj pokucie i w modłach nieraz westchną za nimi.

62. Skarb w Luboni.

W starym zamku, z którego dziś pokazują tylko kopiec, znajdowały się ogromne skarby; każdy nowy dziedzic Luboni mógł je widzieć we śnie pierwszéj nocy swego pobytu w zamku. Skarby te przecież tylko niewinnémi rękami i bez pomocy żelaza dobyte być mogły. Zabierał się niejeden do wykopywania ich, lecz wstręt jakiś niepojęty przeszkadzał każdemu do wykonania tego zamiaru. I tak wciąż i wciąż było, aż nową ugodą Lubonia przeszła w ręce pani Zborowskiéj dziedziczki ośmdziesięciu wsi okolicznych.

Po nabyciu Lubowni wprowadziła się do zamku nowa dziedziczka i zaraz pierwszéj nocy widziała we śnie owe skarby. Co więcéj, widziała je noc po nocy ciągle przez cały rok, i przez ten czas równie jak jéj poprzednicy wstrętem przejęta, nieodważyła się ich poszukiwać. Przemogła wreście chciwość i po upłynionym roku postanowiła pani Zborowska przywieść swój zamiar do skutku. W tym celu powołała dzieci włościan swoich niewięcéj od trzech lat mające i rozkazała im rękami rozrzucać ogromny kopiec. Ziemia w Luboni urodzajna, lecz twarda, niesłychane trudności stawiała słabym pracownikom. Groźbą więc zmuszono dziatki, a nawet karano, gdy upadające na siłach pracować niemogły. Tym sposobem spiesznie szła robota, skrapiana krwią niewinnych dziatek. Po długiém kopaniu już rozumieją wszyscy, że skarby są blisko, pokazują się albowiem w ziemi obrabiane głazy, daléj ciągły mur, daléj sklepienie, nakoniec drzwi żelazem okute. Niełatwo było je odbić; odbito przecież, ale za temi drzwiami pokazują się drugie, za drugiemi i trzecie, a coraz cięższe i coraz mocniejszém żelazem okute. Wszystkie jednak wywalono; a za odbiciem ostatnich pani Zborowska postrzega kupy złota tak gęste jedne przy drugich, tak wysokie, jak kupy plew lub zgonin w spichlerzu. Łakomie rzuca się na złoto pani Zborowska, gdy niespodzianie okropny jakiś ryk daje się słyszeć ze dworu; wybiegają wszyscy i na pagórku blisko wsi leżącym, a zwanym łysą górą, spostrzegają jeźdzca na koniu, koń był maści szaréj; tegoż koloru był i jeździec i ubiór jego. — Szatan mi na imie — ryknął ów jeździec — i skarby te są moje. Biada temu, kto się ich dotknie, ogniem karać będę zuchwalca. Rzekł i zniknął. Wszyscy srodze się przelękli. Pani Zborowska jedna się niezlękła, bo

zaraz wraca do sklepu, ręce ku skarbom wyciąga i garść złota bierze. W téjże chwili dochodzą ją głosy domowników: Gore! gore w Pawłowicach! — Odbiegają wszyscy swéj pani i biegą na ratunek wsi; lecz na próżno! cała się do szczętu spaliła.

Nazajutrz pani Zborowska głucha na prośby i zaklęcia swych dworskich, sama jedna powraca do okropnego sklepu i rękę ku skarbom wyciąga i garść złota bierze, i w téjże chwili dolatują ją strwożone głosy ze dworu: Gore! gore w Zdzitowiecku! — Odbiegają swéj pani i spieszą na ratunek rzeczonéj wsi; lecz na próżno, bo i ta całkiem spłonęła. I tym sposobem dwanaście wsi spaliło się, a pani Zborowska nieugięta i niepohamowana w łakomstwie, garnęła do siebie złoto, własność szatana.

Spełniła się przecież miarka jéj występnéj obojętności na nieszczęście bliźnich. Poddani jéj zbuntowawszy się, zamordowali ją i ziemią zarzucili zaklęte skarby.

63. Stare zamczysko w Korniku.

O pół mili od miasteczka Kornika, śród gęstych zarośli widać gruzy starego zamku. W zwaliskach jego ukryte są wielkie skarby, które czyszczą się, to jest palą, tyle razy, ile było złych uczynków popełnionych przy nabywaniu ich, i tyleż razy cierpieć ma dusza dawnego ich właściciela okropne czyscowe męki. I tak w oném zamczysku pilnuje ich djabeł w postaci czarnego koguta z jednéj, a jakaś panna z drugiéj strony, i nieraz było słychać, gdy panna chciała te pieniądze w jezioro wrzucić, jak od strony jeziora siedzący czarny kogut, natychmiast je łopatą z brzękiem i hałasem napowrót odgarniał. Przed laty wchodzono z szatanem w układy

o te pieniądze i doprowadzono już rzecz do tego, iż skłaniał się do wydania skarbu, atoli pod następnym warunkiem. Proboszcz Kornicki miał przyjść w uroczystéj processyi; gdyby najmniejszego narzędzia do processyi potrzebnego do trzeciego razu zapomniano, układ stawał się nieważnym. Po trzykroć więc wychodziła w tym celu processya; ale cóż potém! kiedy za każdą razą psotny szatan sprawił, iż zapomniano zabrać, to kociełka ze święconą wodą, to szczypców do świéc, to chorągwi lub t. p. rzeczy. Po spełzłéj na niczém trzeciéj processyi, skarby z wielkim trzaskiem tak głęboko w ziemię się zapadły, iż gmin kornicki stracił już wszelką nadzieję wydobycia ich kiedykolwiek.

64. Gnieźninek.

W pobliżu Gniezna są dwa szańce, czyli okopy; jeden z nich zowie się Gnieźninkiem i takie krąży o nim podanie: Pasali na tym okopie wiejskie pastuchy swoje bydło; jeden z nich, sierota, upuścił raz czapkę aż w samę głębię rozpadliny znajdującéj się na Gnieźninku; postradawszy czapkę, zaczął niezmiernie płakać, tak, że skruszył samego biésa, co w téj rozpadlinie zazwyczaj przesiadywał, aby módz jakie psoty ludziom wyrządzać. Biés uniosłszy się hojnością, napełnił czapkę chłopca tynfami i wyrzucił mu ją na wierzch. Nuż sierota opowiadać o dobroci biésa; nuż pastuchy zbiegać się i rzucać czapki swoje, tak, iżby prawie byli całą zarzucili jamę. Ale biés rozgniewany zaczął im wyrzucać czapki jedne po drugiéj, napełnione kamyczkami, suchém liściem, lub czém gorszém jeszcze.

65. Wieś Ruda.

Za dawnych czasów przez wieś Rudę leżącą w Kaliskiém, przechodził Ś. Wojciech, wędrując do Prus, gdzie miał pogan nawracać. Zdarzyło się, iż święty on mąż szedł sobie gościńcem i modlił się na brewiarzu; aż tu leci, jakby umyślnie nad nim sroka, i trznie mu na brewiarz. Rozgniewał się mąż pobożny za tę zniewagę i wygnał sroki, tak, iż nigdy niczyje oko niewidziało tego ptaka we wsi Rudzie.

66. Milczący dzwonek.

W kościele w miasteczku Turku jest dzwonek, który, acz niema najmniejszéj skazy, ani znaku uszkodzenia, przecież żadnego niewydaje głosu. Powiadają, iż przed laty przewodniczył z tym dzwonkiem księdzu, idącemu z Panem Bogiem do chorego, chłopiec jakiś bardzo rozpustny i zepsuty. On to spostrzegłszy na ulicy psa leżącego, który pomimo zbliżenia się księdza z miejsca nie powstał, trącił go dzwonkiem, który w téjże chwili przestał dzwonić i już nigdy głosu niewydaje.

67. Piwo grodziskie.

Dnia jednego błogosławiony ks. Bernard z klasztoru benedyktyńskiego w Lubiniu, udał się do Grodziska i ujrzał tamecznych mieszczan mocno strapionych z powodu, że studnia, z któréj oni wodę do miejskiego browaru czerpali, wyschła była zupełnie, browar zaś ten jedyném był źródłem dochodu miasta i szpitalu. Użalił

się nad nieszczęśliwymi zakonnik i głęboko do Boga westchnąwszy pobłogosławił studnię. Aż w téj chwili trysnęło źródło podziemne i napełniło cembrzyny. Piwowarzy biorą się niebawem do roboty; lecz jakież ich podziwienie i radość, gdy skostowawszy zrobionego piwa znaleźli smak jego lepszym nierównie, niż był kiedykolwiek. Na tę pamiątkę mieszkańcy Grodziska, co rok w processyi do Lubinia chodzili i tam na grobie błogosławionego Bernarda klasztorowi beczkę piwa w darze składali.

68. Brzoza gryżyńska.

W bliskości rzeki Obry leży wieś Gryżyna; o kilka staj za nią stoi kościół Św. Marcina zupełnie zrujnowany, a przy nim wznosi się niezmiernéj wielkości brzoza. Przed wielu laty zmarło tu dziecię i pochowano je na cmentarzu pod kościołem, aż pewnego dnia grabarz, co grób kopał, przybiegł do plebana dając mu znać, że to dziecię, co przed tygodniem zmarło, wciąż rączkę białą wysuwa z pod mogiłki. Pleban wziął natychmiast krzyż i stułę, i pobiegł zażegnać to dziwo, ale co ziemi przyrzucał, co się namodlił, nic niepomogło, zawsze na wierzch wychodziła rączka. Niewiedząc innéj rady, kazał w dzwony uderzyć, aby się gromada zbiegła; a gdy go otoczyła kołem, odezwał się do matki zmarłego dziecięcia, aby wyjawiła tajemnicę, bo musi być tajemnica, dla któréj to niebożątko niema spokoju w grobie. Na to wezwanie matka zanosząc się od płaczu, zeznała, iż jedynego synaczka psuła swemi pieszczotami, za co jéj źle się odpłacił, bo raz w gniewie odważył się ją uderzyć. — Bierz więc tę rózgę — rzekł pleban, i bij rękę syna, która domaga się spełnienia ziemskiéj kary. Posłuszna

rozkazowi uderzyła rószczką po rączce, i oto natychmiast schowała się pod ziemię. Na tę pamiątkę ks. pleban zatknął onę rószczkę na grobie i wyrosła z niéj ogromna brzoza, którą pokazują na przestrogę niedobréj dziatwie.

69. Wiąz Św. Stanisława.

We wsi Dojazdowie w bliskości Krakowa rośnie wiąz w ogrodzie, mający przeszło jedenaście łokci obwodu przy podstawie. Podanie ludu utrzymuje, iż Św. Stanisław Szczepanowski, biskup krakowski, będąc téj wsi dziedzicem i szczególnym miłośnikiem drzew miał ten wiąz zasadzić i to korzeniami do góry.

70. Obraz na księżycu.

Pewien chłop miał dwóch synów, tym ze śmiercią swą zostawił nie wielkie gospodarstwo, które nie dzielone mogło się jakkolwiek utrzymać, lecz po rozdzieleniu znikłoby w małości; bracia postanowili razem gospodarzyć i szło im dobrze; lecz młodszy zawsze myślał w duchu, że, gdyby starszego brata niebyło, onby sam mógł posiadać cały majątek, przytém się ożenić i być zamożnym; myśl ta w nim się wzmogła i nakoniec jedną razą postanowił zabić swego brata. Zamiar ten wykonał w polu, gdy oba przyjechali po snopy, uderzył więc widłami brata starszego i zabił go. — Bóg wnet zniszczył całe zbrodniarza gospodarstwo; a samego wtrącił żywcem do piekła. Aby zaś ludziom widok téj wielkiéj zbrodni ciągle się przypominał i odwodził ich od podobnéj, sam swoją ręką na księżycu obraz pomieniony nakreślił.

71. Chléb kamienny w Oliwie.

Jest klasztor nad morzem od Gdańska o milę, zakonu Cisterskiego Oliwa rzeczony; w tym to kościele między wielu ozdobami znajduje się na stronie prawéj za szkłem bułka chleba w kamień obrócona, a to z téj przyczyny: Roku pańskiego 1217., gdy około Gdańska wielki głód ludzi trapił, pobożny opat oliwski kazał ustawicznie piéc chléb i zgłodniałym ludziom rozdawać. Trafiło się, że jeden z ubogich wziął bułkę chleba i wyszedłszy z klasztoru, wrócił się potém i skłamawszy, że dopiero pierwszy raz przyszedł, dostał drugą.

Aż gdy powraca do Gdańska, zaszła mu poważna bardzo matrona, piastująca na ręku śliczne dzieciątko, która go prosiła, aby jéj na posiłek użyczył chleba. Rzekł ów: ja sam niemam chleba! — Rzecze mu owa matrona: a to masz za pazuchą bułkę; — on na to: to kamień, nie chléb; — a to mówiąc palcem go tykał. Więc ona rzekła: Niechże będzie kamień. I natychmiast zniknęła. Postąpiwszy ów kłamca i nieużyty człowiek o staj kilka, wyjął owę bułkę, aż obaczy, że kamień, a w nim znak palca jego, zaczém struchlały i skruszony, a oświécony od Boga, co to była za matrona, wrócił się do klasztoru oliwskiego, winę kłamstwa swego wyznał i rzecz całą opowiedział; na któréj pamiątkę chléb ten chowają.

72. Sosna brata Piotra.

Świątobliwy brat Piotr Chytkowicz, Ś. O. Franciszka w reformie naszéj polskiéj, gdy mieszkał w klasztorze Zakliczyńskim, zasadził w ogrodzie małą sosenkę, a spy-

tany na co? odpowiedział: Tak długo ściślejsza nasza obserwancya trwać będzie, jak długo to drzewo kwitnąć i trwać będzie. Gdy zaś zacznie usychać, będzie to znakiem upadającéj obserwancyi. I dziwna to jest rzecz, że, choć ta sosna więcéj, niż od sta lat zasadzona, jednak ani do zbytniéj wysokości wyrosła, ani dotąd nieusycha, choć w tymże ogrodzie przez srogie mrozy, już nieraz wszystkie inne drzewa poschły. Dla czego ta sosna zawsze kwitnąca zowie się Sosną brata Piotra.

73. Wizerunek Zbawiciela w trybunale lubelskim.

W sali sądowéj w Lublinie stał krzyż kamienny z wizerunkiem Zbawiciela, a nad nim był napis wielkiemi złotemi literami: *Justitias vestras judicabo.* Osobliwość tego wizerunku ta była, iż Chrystus Pan miał twarz odwróconą i rysów jéj niemożna było widzieć; jednakże snycerz niebył go tak wystawił, ale pewien wypadek stał się przyczyną téj zmiany. Była wdowa szczupłego miana, uciśniona procederem przez jakiegoś magnata. Jéj sprawa była, jak bursztyn czysta, ale magnat zobowiązawszy wszystkich członków trybunału, zyskał dekret wbrew prawu i sumieniu. Gdy go ogłoszono, nieszczęśliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie: żeby mię sądzili djabli, sprawiedliwszy byłby dekret. A że sumienie kłuło nieco deputatów, na roki jéj niepozwano i wszyscy udali, jakoby jéj niesłyszeli, z czém się odezwała; i że to było pod koniec sessyi, porozjeżdżali się marszałek i deputaci tak duchowni, jako i świeccy; została się tylko kancellarya i pisarze trybunalscy. Aż tu zajeżdża

przed trybunał mnóstwo karet, wysiadają jacyś panowie, jedni w kontuszach, drudzy w rokietach, z rogami na głowie i ogonami, które się z pod sukien dobywały. I zaczynają iść po wschodach, a przyszedłszy do sali trybunalskiéj zajmują krzesła, jeden marszałka, drugi prezydenta, inni deputatów. Pomiarkowali się pisarze i kancellarya, że to byli djabli i w wielkim strachu przy stołach swoich siedząc, czekali, co z tego będzie. W tém djabeł, co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę téjże wdowy. Przystąpiło do kratek dwóch djabłów jurystów: jeden pro, drugi contra stawał, ale z dziwnym dowcipem i z wielką praw naszych znajomością. Po krótkim ustępie djabeł marszałek przywołał pisarza województwa wołyńskiego (bo ten interes był z Wołynia), ale prawdziwego pisarza, nie djabła i kazał mu siąść za stołem i wziąść pióro. Zbliżył się pisarz w pół umarły z bojaźni i przymrużając oczy, zaczął dekret pisać, jaki mu dyktowano. Dekret był zupełnie na stronę uciśnionéj wdowy, a Pan Jezus na taką zgrozę, że djabli byli sprawiedliwsi, niż trybunał, przenajświętszą krwią jego wykupiony, i w którym tylu kapłanów zasiadało, zasmuconą twarz odwrócił i oblicza swego niepokaże, (jako miał o tém objawienie świątobliwy jeden Bazylian lubelski) aż naród się pozbędzie zaprzedajności w sądach, łakomstwa w księżach i pijaństwa w szlachcie. Ów dekret djabli podpisali, a zamiast podpisów, były wypalone łapki różnego kształtu i położywszy go na kobiercu, który pokrywał stół trybunalski, zniknęli. Następnéj sessyi trybunał znalazł djabelski dekret, gdzie był położony; bo rozumie się, że nikt z kancellaryi ruszyć go nieśmiał. Złożono go na wieczną pamięć w archiwach.

74. Św. Bronisława.

Św. Bronisława, panna zakonna w klasztorze Św. Norberta Zwierzynieckim, na modlitwie będąca, widziała od kościoła Św. Trójcy, w którym leżało ciało Św. Jacka Odrowąża, brata jéj rodzonego, drogę jasno świetną ku niebu, po któréj Najświętsza Panna w poczecie wielu innych świętych, wziąwszy Św. Jacka za rękę, prowadziła do nieba, śpiewając owe słowa z pisma: Pójdę na górę Mirry i na wzgórki Libanu. O czém, gdy Św. Bronisława opowiadała siostrom zakonnym i wskazywała im palcem na niebo, wszystkie uwierzyły i poupadały na kolana, jedna tylko z sióstr znalazła się, co ze szyderstwem rzekła: nic ja niewidzę, siostro Bronisławo, wam się pomięszało w głowie! Ledwie te słowa wyrzekła, sama wpadła w wielkie pomięszanie zmysłów; i odtąd, jak chce mieć podanie, zawsze jedna z sióstr Norbertanek dotknięta jest tém nieszczęściem.

75. Założenie Kijowa.

Był pan jeden na Rusi, który niezmiernie uciskał swoich poddanych; nietylko bowiem musieli nań pracować, ale jeszcze wydzierał im wszelki dobytek; tak, że nic niebyło w chacie od krówki do jaja, coby mogli nazwać swoją własnością. Długo cierpiał biédny lud to znęcanie się i łakomstwo swego pana, iż téż niemogąc dłużéj wytrzymać, starsi uradzili zrobić czerniawę. Pan ze swojéj strony widząc, na co się zanosi, zebrał duże wojsko. Aż tu lud mnogi powstał ze wszystkich włości; starce, baby, dzieci nawet, wyszli z czém kto miał: z łopatami, cepami, kijmi. Ćma biednego ludu była

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA POZNAŃ

niezmierna; pan się bronił zajadle, a oni wciąż go pędzili przez góry i rzeki, wszędzie zabijając i niedając odpoczynku, dopiero gdy przyszli na miejsce, gdzie dziś Kijów stoi, a postrzegli, że ani jednego wroga niezostało przy życiu, zrzucili swoje kije na jednę kupę, która tak była wielka, że aż miasto zaczęto budować, które, że z kijów zbudowane, Kijowem nazwano.

76. Przepowiednie Znachora Wernyhory.

Wernyhor, wojak mężny i śpiewak nad śpiewaków, którego pamięć tak żywo utrzymuje się w gminie ukraińskim, zostawił po sobie przepowiednie, których objawienie miało nastąpić w ten sposób: Wernyhor był zamarł, a ubiegła z ciała jego dusza, trzy dni błądziła w krainach wieczności, gdzie miała widzieć całą przyszłość świata, w końcu trzeciego dnia przybył do niéj aniół, i dawszy jéj niektóre rozkazy, a mianowicie zaleciwszy milczenie w wielu rzeczach, przyprowadził ją nad okropną przepaść, z któréj wychodził nieznośny smród trupa; aniół pokazawszy jéj, iż to jest jéj doczesna cząstka, to jest: ciało, potrącił ją w tęż przepaść i w tém Wernyhor odzyskał życie. W téj chwili zerwała się ogromna burza; wiatr wył po stepach straszliwie i ziemia się zatrzęsła; przelękniony naród szukał uchrony w polu przyległém mogile Soroki, gdy w tém z jéj wierzchołka dał się słyszeć głos przeraźliwy, jak oddźwięk szumiącego wiatru i chrzypiący, jak krakanie kruka, zaczynający się od słów: Posłuchajte lude szczo Wernyhor skaże i tak daléj opowiedział swoje zmartwychwstanie, i pocie-

szył lud wróżbami*): Że Pan Bóg ma w szczególnéj swéj opiece Ukrainę, chociaż za niechowanie przykazań jego lud dotknięty został niewolą panów, głodem, morem i wojną; lecz, że to wkrótce przeminie i Ukraina będzie szczęśliwą.

Że nadejście téj dobréj chwili dla Ukrainy uprzedzi krwawa bitwa, mająca się stoczyć między jéj obrońcami i nieprzyjaciółmi na polach przyległych mogile Soroce.**)

Że w znacznéj części świata nabożeństwo weźmie inną formę. Królestwa dawne zniszczeją, a nowe powstaną. Lecz daléj co ma być i nastanie, mówić mi się niegodzi, boby Dniepr wystąpił z koryta.

77. Wąż.

Niektóry człowiek, religii katolickiéj prawdziwy wyznawca, u jednego z wężochwalców na Litwie kupił kilka ulów miodu, a potém za długiém zaprzyjaźnieniem się i samego na wiarę chrystusową, acz z wielką pracą i staraniem nawrócił i namówił, aby obrzydliwego węża, którego za Boga chwalił, zabił. To gdy ten gospodarz uczynił, po małym czasie przyszedł do ogrodu, pasiekę swoją przeglądać, w tém ujrzał w ulu jednym próżnym siedzącą osobę, jakąś czarną, straszliwą, na podobień-

*) Te przytoczone tu wróżby krążą w podaniu ustném u gminu; daleko obszerniejsze znajdują się przechowane w rękopismach polskich.

**) Do tego proroctwa odnosi się i ta pieśń gminna:

Preczystaja Diwo Maty,
Pomóż wrahiw prohnaty.
Wid dołyny Hanczarychy,
Za mohyły Perepiat y Perepiatychy.

stwo człowieka, z gębą aż po uszy szkaradnie rozdartą, z oczyma krzywo wywróconémi, zgoła, jakieś piekielne straszydło tam było. Zapomni się od strachu gospodarz; potém nieco do siebie przyszedłszy, ktoby był i coby tam robił? spyta. Poczwara odpowiedziała: Jam jest ten, który tak długo tu będę, aż się tego nad tobą zemszczę, żeś Boga swego domowego zabił i jeszcze większe prześladowanie będziesz miał, jeżeli się do ofiar jemu należących niewrócisz. Gospodarz niedbał o to, i jako chrześcianin, krzyżem świętym przepędził poczwarę, że natychmiast znikła, i niewiedzieć, gdzie się podziała. Kiedy jednak na to miejsce przychodził, przez czas długi szum jakiś i ksykanie nakształt wężów w ogrodzie słychać było.

78. Dzwon worniеński w jeziorze Łukście.

Na Żmudzi, w czasie przewozu nowo odlanych dzwonów do Worń zimową porą, z przyczyny słabego lodu, jeden większy utonął w jeziorze Łukście. Ztąd więc, gdy teraz drugim dzwonią, tamten żałośnie co wieczór się odzywa: brołau! brołau! (bracie! bracie!) W ogóle gmin przyznaje wiele mocy nadprzyrodzonéj dzwonom: nim jest poświęcony i niema imienia, żadnym sposobem z miejsca ruszać się niedaje. Dzwony zaklęte można równie, jak dusze pokutujące lub chrztu żądające, modlitwą lub krzyżem św. odkupić.

79. Krzysztofory w Krakowie.

W środku rynku starożytnego grodu stoi staroświecka kamienica Krzysztofory, należąca niegdyś do Krzy-

sztofora zwolennika magii, a w ostatnich czasach do starosty kluczewskiego. Pod nią rozciągać się mają obszerne piwnice wzdłuż całego rynku, aż do kościoła Panny Maryi. Niewiadomo, w jakim czasie to się działo; dosyć, że młoda kucharka miała zarznąć koguta, ale ten jéj uciekł do pomienionych piwnic. Dziewczyna chcąc go koniecznie doścignąć, zapędzała się za nim coraz daléj, niezważając, że już przebiegła kilkanaście coraz głębszych piwnic. W końcu nieznalazłszy zguby, chce powracać, gdy w tém zastępuje jéj drogę cieniuchny Niemczyk w trójgraniastym kapeluszu, na kurzych stopach: byłto przemieniony kogut w djabła, który uspokaja przelękłą kucharkę, a pokazując beczki napełnione złotem, każe jéj nadstawić fartuszka. Dziewczyna napełnia złotem swój fartuch i odbiera napomnienie, żeby się nieobejrzała po za siebie, bo wszystko straci. Ale kucharka, mając ostatni stopień przestąpić, z ciekawości zwraca oczy po za siebie: drzwi się z łoskotem zatrzasły i choć skarby zatrzymała, utraciła piętę.

Zaraz znalazła wielu zalotników, poszła za mąż, a na pamiątkę swego zdarzenia miała ufundować kaplicę przy kościele Panny Maryi, gdzie jeszcze przed niewielą laty miano pokazywać obraz, wypadek ten przedstawiający.

80. Kamień w Podkamieniu.

Przed samym kościołem xx. Dominikanów w Podkamieniu, miesteczku obwodu Złoczowskiego, stoi na pochyłości góry ogromny głaz. Podanie miejscowe niesie, iż gdy ten kościół zbudowano, djabeł gniewny, że w nim się będzie odprawiać nabożeństwo z wielką

chwałą boską, porwał ze szczytu Karpat ogromny kawał skały i leciał z nią pewnéj nocy w zamiarze rzucenia na szczyt kościoła; lecz szczęściem kur wtedy zapiał i głaz runął w to miejsce, gdzie dzisiaj leży.

81. Zaklęta dziewczyna pod Strzelnem.

Niedaleko klasztoru Norbertanek w Strzelnie (pod Inowrocławiem) we wsi zwanéj Młyny, znajduje się głaz ogromny, wyobrażający w oddaleniu dość dobrze postać człowieka, niosącego wodę w wiadrach. Jest podanie, że w głaz ten przemieniła się przed laty pewna służebna dziewczyna. Miała ona być niezmiernie leniwą i gdziekolwiek ją gospodyni wysłała, lubiła się długo zabawić. Jednego razu poszła z wiadrami do pobliskiego źródła czerpać wodę i zwyczajem swoim niewracała długo do domu. Gospodyni zniecierpliwiona rzekła w uniesieniu: bodaj taka dziewczyna skamieniała! Poczém upływa jedna i druga godzina, a dziewczyna nie wraca. Nareszcie gospodyni wychodzi z domu szukać jéj z obawy, czy w wodę niewpadła. Lecz jakież było zdziwienie gospodyni i przestrach, gdy nad źródłem zastaje dziewczynę, w skutek jéj przeklonu, wraz z wiadrami w kamień przemienioną!

82. Droga Serpiahy. *)

W jedném państwie, w dalekiéj krainie, król miał bardzo ładną królewnę, a wielką czarownicę, z którą

*) Droga ta około Kaniowa uważaną jest od ludu za złowieszczą i służy za przekleństwo: A szczobyś popaw na

niemógł sobie dać rady; robiła mu tysiąc przykrości: oczarowywała jego radnych, wojsko i cały naród. Nieszczęśliwy król poszedł do jednéj wróżki pytać, coby trzeba robić, aby jego córka niebyła taka zła, taka wymyślna? Wróżka mu odpowiedziała: że potrzeba ją wydać za mąż, a choć i wtenczas ona będzie jednakową, mniéj wszakże dokuczy narodowi i ojcu; bo mąż za nich będzie odbywać pokutę. Król wrócił z tą odpowiedzią do domu i znalazłszy porę, przełożył córce potrzebę pójścia za mąż; na usilne nalegania ojcowskie odpowiedziała, że pójdzie wreszcie za mąż, lecz tylko za takiego rycerza, który przyjechałby do niéj na koniu nie większym, jak na dwa łokcie od ziemi, a podniósł siérp, który ona królewna dla swego narzeczonego umyślnie każe zrobić; jakoż i rzeczywiście kazała zebrać wszystko w kraju żelazo i ukuła z niego taki siérp, że, aby go dźwignąć, potrzeba było stu ludzi, a dwa razy tyle siły, aby nim żąć można. Zapłakał stary król i wysłał swoich posłów w rozmaite świata strony, szukać dla córki męża, jakiego ona mieć chciała. Posłowie chodzili długo po świecie daremnie. Nakoniec zachodzą do pewnéj karczmy, gdzie zastali kilku ludzi; tam napiwszy się i podjadłszy, wzięli kwartę wódki i zaczęli przytomnych częstować, rozpytując: czy niewidzieli, czy niesłyszeli gdzie takiego siłacza, coby podniósł i żął siérpem, którego sto ludzi zaledwo dźwignie. Jeden z obecnych, człowiek

---

Serpiażyn szlach (bodajeś poszedł drogą Sierpiahi). Pan Izopolski mniema, że ta droga nosi nazwę od Sierpiahi, het. kozackiego zwanego Podkową. Koniec tego podania zgadza się z okolicznościami śmierci tego hetmana, ścięty on był we Lwowie jako przeniewierczy hospodar wołoski, nie jako hetman kozacki. Ciało jego odprowadzili kozacy do Kaniowa.

bez ręki, powiada: Oj jest — ja znam jednego chłopa, co ma syna; już teraz rosły kozak, bo już to temu ze dwadzieścia lat, jak on jeszcze łażąc na czworakach po ziemi, gdy już ja byłem spory wyrostek i chciałem mu jakieś wziąść cacko, złapał mię za rękę i jakby muchę zdusił, tak mi ją oderwał; potém gdy on wyrastał, to dziwem dziwne rzeczy wyrabiał: pomyślcie no tylko sobie, co to za siła; raz wszedł do karczmy i kazał sobie dać wódki. Żyd zapytał go, czy ma pieniądze? a gdy siłacz na to nieodpowiedział i żyd wódki niedał, on wziął jednę kufę wódki pod lewą rękę, drugą pod prawą i wychodził z karczmy, a gdy go arendarz zatrzymał, jednym zamachem nogi tak trącił żyda, że ten uderzywszy się o karczmę, zawalił ją i umarł. Usłyszawszy o tém posłowie, nieszczędzili już żadnych wydatków; kupowali wódkę, piwo, miód, rybę i wszystko, co było w karczmie, aby się dowiedzieć, gdzie mieszka ów siłacz; z razu ów chłop bez ręki drożył się ze swoją tajemnicą; a potém powiedział, że ojciec siłacza mieszka w Kaniowie, a sam siłacz „na kaniowskim rynku, hrajetsia w swynku.“ Posłowie natychmiast udali się do Kaniowa; poszli wprzód do chłopa, a złożywszy mu bogate dary, prosili go, aby im dał syna swego na męża ich królewnie. Ojciec się na to zgadzał. Posłano więc za siłaczem, który wręcz powiedział, że téj królewnéj znać niechce. Zaczęto go więc prosić, a najbardziéj ojciec, na którego nalegania prośbą i groźbą siłacz dał posłom swoję kowenkę, powiadając, żeby jechali do domu, a za trzy dni on się wybierze w drogę; lecz gdyby go długo niebyło, to niech podniosą w górę daną im kowenkę, wtenczas jeśli się ukaże siwy obłoczek na niebie, znaczyć to będzie, że on już jedzie; a gdy pokaże się czarna chmura, znaczyć to będzie, że jeszcze z domu

się niewybrał i niech przyszlą dowiedzieć się o przyczynie. Odjechali posłowie. Minęło trzy dni, siłacz niemyślał wyjeżdżać mimo nalegania ojca. Za drugie trzy dni przybyli znów posłowie; siłacz im odpowiedział, że nie wprzód do nich pojedzie, aż mu przywiozą portret królewny; gdy i to przywieźli, siłacz znów niepojechał, a przybyłym posłom powiedział, że niewie, jaki ciężar jest siérpa, więc aby mu go na pokaz przywieźli. Gdy i to spełnili, wówczas siłacz kazał, aby siérp ten wlekli z Kaniowa do domu po ziemi, coby mu zrobiło drogę w jego podróży; posłowie i na to się zgodzili; i odtąd zrobiła się na Ukrainie Sierpiahowa droga (Sierpiażyn szlach), tak nazwana od tego, że ją zrobił Sierpiaha, to jest: ogromny siérp.

Siłacz po tém wszystkiém musiał się wybrać w drogę; chodziło tylko o konia; najsilniejszy z tych niemógł go udźwignąć; przypędzono więc cały tabun do wyboru, siłacz wybrał w nim jednego najmniejszego i najbrzydszego, bo niebył roślejszy nad dwa łokcie od ziemi; i na nim puścił się w drogę. Po powrocie posłów podniesiono kowenkę do góry i już nie czarna chmura, lecz płowy pokazał się obłoczek. Radość w całém królestwie była największa, zaczęto przygotowywać się do wesela; przybył wreszcie i siłacz na swym koniu; a wziąwszy ów siérp zżął nim łan żyta; lecz w końcu powiedział, że niechce ani królestwa, ani królewnéj. Próżno go prosili, król i naród; daremnie królewna robiła co mogła, aby go sobie zjednać; on jéj niechciał i niechciał. Wówczas król rozgniewany, kazał mu uciąć głowę, a ciało odesłać do Kaniowa na większy żal ojcu, co miał syna, który niechciał królewnéj za żonę i królestwa w posagu.

83. Ludzie obróceni w kamień.

I.

Niedaleko Brześcia kujawskiego nad jeziorem pokazują wieśniacy kamień duży, mający podobieństwo do dziewczyny z grabiami. Powiadają, że będąc nieposłuszną matce, gdy siano grabiła w dzień świąteczny, przez nią w kamień zaklętą została.

II.

W bliskości wsi Koronat na Podlasiu są dwa głazy, o których podanie niesie, iż pewien gospodarz orząc w niedzielę, został przeklęty od pobożnego człowieka i skamieniał.

III.

O ćwierć mili od wsi Żabokruki na Podolu jest przy drodze kamień, jak słup jaki, grubości do czterech łokci, a wysokości może do 10 mający. Jest podanie, jakoby przed wiekami matka z córką pracowały na téj łące, i kiedy matka najpilniéj robi, córka często sobie folgując, napomnienia matki niesłuchała, matka rozgniewana, przeklina ją, ażeby się w kamień obróciła i oto taż sama nieposłuszna córka w kamień się zaraz obróciła i stoi przy drodze.

IV.

Między Jeziorzanami a Buczaczem jest kamień mający postać człowieka z podniesioną ręką. Rzecz się tak miała: Pracującéj matce w polu przyniosła córka jedzenie, lecz gdy ją matka łajała, że się i zbyt spóźniła i jadło ladaco przyniosła, niegodna córka podniosła rękę,

chcąc ją w twarz uderzyć. Niedopuściło niebo tak szkaradnego czynu, bo zaraz obróciła się w kamień z podniesioném ramieniem. Obok tego głazu pokazują stojący na ziemi mniejszy głaz, mający podobieństwo do bliźniaków, w których zwykle wieśniacy strawę noszą pracującym w polu.

84. Dusza towarzysza chorągwi Radziwiłłowskiéj.

Albrecht Radziwiłł mąż wielce pobożny wysłał był swoję chorągiew do obozu przeciw nieprzyjaciołom ojczyzny; ta mężnie się ucierając w pień była wycięta. Nie wiedział jeszcze o tém książę Albrecht, aż gdy się modli niedaleko kominka, stawa przy nim jeden z pobitych towarzyszy, a nieśmiejąc mu przeszkadzać do modlitwy, drewka tylko na ogień przykładał. Obejrzy się książę i poznawszy go, pyta, coby tu robił? Odpowiedział on: żeśmy wszyscy na placu legli, to nasze szczęście, że wszyscy do nieba należymy; atoli jeszcze sprawiedliwości boskiéj wypłacić się musimy; ty, byleś chciał, możesz nam dać pomoc: będziesz zaś miał ten znak pewny, że potrzebujemy jeszcze twego ratunku, gdy zapuściwszy sieć w staw pobliższy pałacowi, tak lgnąć będzie, że aż z trudnością wyciągną; — i zniknął. Wylał się zatém na dobre uczynki Albrycht za ich dusze, osobliwie na msze i jałmużny, i gdy w staw zapuścić kazał niewód, a więznął; znowu i po drugi raz czynił za nich dobrze; dopiero za trzecią razą, gdy sieć wolno przeszła, zrozumiał, że i oni przeszli na wolność synów boskich.

85. Brzezicki.

W rocie pana Skuminowéj służył jakiś Brzezicki z Lublina, był on straszny hulaka, pił gorzałkę z każdym, z kim się spotkał, nigdy się niewychmielił, niewiedział, kiedy noc, kiedy dzień, niezmieniał nawet bielizny i w jednéj tylko opończy hulał po ulicy chodząc. Razu jednego przyszli do niego djabli. Spał on jak zwyczajnie w sali; tamże był jakiś Rzepnicki jego krewny, który służył w chorągwi na swoim koniu i sługa; ostatni jako młody chłopczyk spał tęgo i nie wszystko słyszał, tylko koniec, a Rzepnicki z uwagi nic nie stracił i zgodnie z Brzezickim opowiadał rzecz następną: o saméj północy słyszą oni obadwa, jakoby wóz jechał na ulicy; podjeżdża pod dom, wchodzi ktoś po wschodach prosto do sali i zatrzymuje się przy łóżku Brzezickiego. W wozie były cztery konie, ktoś z niego złazi i mówi do naszego hulaki:

— Przysłany jestem po ciebie, siadaj.

— Nie djable — odpowiada przebiegły Brzezicki, nietracąc męztwa — ja nie jeżdżę czwórką.

— Otóż masz i sześć koni. Patrzaj!

Aż tu istotnie w wozie sześć koni przedziwnych. Chcąc z biedy się wyplątać, Brzezicki znów odpowiada:

— Powóz brzydki, niemasz azyatyckich dywanów.

I wszystko było za machnięciem chustki od djabła.

Tu już niemiał czém się wymówić. Djabeł nalega koniecznie, a on niechce. Tymczasem przywięzuje do nóg łóżka postronek i ciągnie je razem z Brzezickim. Przestrach go opanował, krzyczy z całéj mocy: Chłopcze! chłopcze! A w głowie chłopca ktoś stoi w bieli, niepuszcza go i mówi:

— Rzuć tego człowieka, on do piekła jedzic.

— Jakie ty życie prowadzisz? mówił djabeł do Brze-

zickiego, patrzaj, oto są wszystkie twoje grzechy od samego urodzenia; oto wszystkie twoje ulubione zabawy. Teraz na sługę swego wołasz, a wczoraj czyż nie za toś go bił, że poszedł na nieszpory?

Tak przypomniawszy mu wszystkie jego nieprawości, bierze z powozu wędzonego karpia i dając Brzezickiemu, mówi:

— Jedz z swymi półkownikami, (to jest: z Poniatowskim, Umichowskim i Kresą).

Ci ichmościowie, Bóg wie, jakiéj wiary byli, każdy swoję miał. Tymczasem kur zapiał i wszystko zniknęło; nasz junak ni żywy, ni martwy, dnia się doczekał, i jak tylko rozedniało, poszedł do księży Bernardynów i niewychodził z klasztoru dwa tygodnie; spowiadał się, przyjął komunią i wszystko było próżno, dokąd się uda, zawsze mu djabeł przed oczyma w rozmaitych postaciach, to psem się przerzuci, to kotem; nigdzie niemiał pokoju. Exorcyzmy czytali nad nim kapłani i zarzekał się pić wódkę, nic niepomagało; nakoniec zaledwie upamiętał się w pół roku.

86. Duchy familijne.

Kiedy Rej był posłem do Szwecyi, zachorował mu stangret jego kochany, którego zachorzałego zostawił u pewnego szlachcica, mając go odebrać powracając nazad do Polski. Chory ten leżał w jednéj izbie pustéj, a kiedy go gorączka ominęła, usłyszał muzykę jakąś pięknie grającą; rozumiejąc, że to tam w inszych pokojach grają, leży, aż tu z myszéj jamy wyskoczy jeden chłopek maleńki, po niemiecku ubrany, a za nim drugi i trzeci, a potém i damulki; muzykę też coraz to lepiéj słychać i poczną tańczyć po izbie. Ów stangret w okrutnym był

strachu. Poczém zaczną parami wychodzić za drzwi; wyszła także muzyka, wyprowadzono i pannę, zwyczajnie tak, jak do ślubu ubraną; nareszcie wyszli wszyscy z izby, jemu żadnego nieczyniąc gwałtu. Biedny stangret ledwie od strachu nieumarł. Wychodząc, zostawili jednego malca, który mu rzekł: Nie turbuj się tém, co widzisz, bo tu tobie i włos z głowy niespadnie; my jesteśmy panowie duchowie; mamy téż tu wesele swoje; żeni się nasz brat, idziemy do ślubu i nazad tędy powracać będziemy, a ciebie także aktu weselnego uczęstnikiem uczynimy.

Ów, nieżycząc sobie więcéj patrzyć na owo widowisko, wstał i założył drzwi na haczyk, żeby oni tamtędy nazad powrócić niemogli. Skoro tam już po onym ślubie, powracają; aż tu drzwi zamknięte, muzykę znowu słychać; tymczasem ruszą drzwiami — zamknięte; wlazł jeden maleńki szparą podedrzwiami, a uczyniwszy się w oczach jego dużym mężczyzną, pogroził mu tylko palcem i zdjąwszy haczyk otworzył drzwi; i tym się znowu, co pierwéj, prowadzili traktem, a potém w ową myszą jamę powłazili. W godzinę, lub téż więcéj, wyszedł znowu jeden z owéj dziury i przyniósł mu na talerzu kołacza, suto konfiturami i rodzenkami przeplatanego, mówiąc ten maleńki oddawca: weź i skosztuj tych weselnych wetów. Odebrał stangret te wety z wielkim strachem; a podziękowawszy, postawił wedle siebie. Przyszli potém do niego ci, co go doglądali w jego chorobie i ten lekarz, co koło jego zdrowia chodził. Pytają: któż to dał? Opowiedział im całą awanturę. Pytają: czemuż niejesz? Odpowiada: bo się tego jeść boję. Owi mówią mu: niebądź prostakiem, niebój się, jedz, dobre to rzeczy, nasi to są domownicy, nasi przyjaciele; jedz. — On po staremu niechce. Wziąwszy owi kołacz, przed

oczami jego zjedli i nic im nieszkodził. Zażywają oni tam tych malców do roboty i do różnych posług. *)

87. Pielgrzym.

Szedł ubogi pielgrzym i zaszedł między takie skały, że z nich wyjścia niebyło. Przesiedział lato, nadeszła zima; a zima tak sroga, że ptastwo zmarzłe ze złotém pierzem upadało z powietrza. Przeziębnięty pielgrzym czekał pewnéj śmierci, gdy ujrzał sobola, jak szparą w ogromnéj skale przebiegał. Spojrzy i zobaczył uradowany, że tędy jest droga: Tu więc droga! zawołał; ale słowa jego zamarzły, a on sam z wielkiego mrozu w kamień się obrócił.

Nadszedł w to samo miejsce drugi pielgrzym i równie jak pierwszy niemógł znaleść wyjścia z pośród skał wysokich. Już począł rozpaczać i płakać rzewliwie, kiedy wiosenne skwarem dopiekając słońce, zmarznięte słowa pierwszego pielgrzyma odtajało. Spojrzy — widzi, że leżą słowa, które lód ze śniegiem czarnym zatrzymał, a teraz się świeżą murawką okryły. Przyszedł bliżéj i przeczytał: Tu więc droga! Poszedł więc za tym przewodnikiem, znalazł nieświadome przejście i już prosto ztamtąd do grobu Jezusa zaszedł.

88. Upior i Dżuma.

Okropna dżuma panowała na Ukrainie; tysiące ludzi wymierało, a tysiące rozbiegło się po lasach, szukając

*) Powiastka ta aczkolwiek przeniesiona do Szwecyi, przecież krąży między nami; wziąłem ją dla trafnego opowiadania z Pamiętników Paska.

schronienia przed tą klęską. W jednéj wsi pozostał wszakże jakiś kniaź moskiewski, (było to przed pierwszym zaborem kraju), który się mocno obwarował od tego powietrza. Miał on przy sobie dworzana, szlachcica polskiego, ten pewnego razu wyjechał konno do pobliskiego miasteczka; droga wypadała przez las, a gdy się właśnie zciemniło, w największym boru koń nagle mu stanął, zaczął parskać i kopytami bić w ziemię. Szlachcic zdziwiony, a niewidząc, zkądby powód narowu, zeskoczył z siodła, wziął za cugle, a idąc przodem, ciągnął za sobą stępaka. Zrobiwszy kilka kroków, zobaczył tylko wielką spruchniałą kłodę leżącą w poprzek drogi, i już miał ją ominąć, gdy nagle z wielkim swoim przestrachem ujrzał, jak z téj kłody wylazł człowiek. Pomimo tęgiego mrozu, był on lekko ubrany i coś wyglądał na włóczącego się Niemczyka. Postać ta zbliżywszy się doń, powitała go grzecznie i rzekła: Jestem upiór — moja siostra upiorzyca, mimo moich zabiegów przyniosła do was dżumę, a z nią głód i nędzę. Lecz muszę ją ztąd wypędzić; chciéj mi tylko dopomódz, a nic ci się złego niestanie; bo nawet śród największéj dżumy, kiedy wszyscy będą umierać, ty nieumrzesz. Słuchaj tylko, jaki ci podam sposób: oto jutro o téj saméj porze co i dziś, przyjedź tu znowu i przyprowadź całego białego konia, który ani włoska niema na sobie innéj maści; potém przyniesiesz mi 12 worów, na które przez 24 godzin mają być uprzędzone nici i wyrobione płótno; daléj przywieziesz mi 12 zielonych, baranich, całkiem nowych czapek, które także w tych 24. godzinach nowo uszyte być mają; a za témi czapkami mają być zatkane dopiero ukute noże, trzonkami do góry, a ostrzem we futro, jak pióra; to wszystko przywieziesz i oddasz mi, a ręczę, że ci włos z głowy niespadnie. — To rzekłszy,

poszedł znowu do swojéj kłody; a szlachcic dosiadłszy konia, kopnął się do domu i opowiedział wszystko kniaziowi, który przerażony tym wypadkiem, natychmiast zwołuje tkaczy, kuśnierzy, kowali i każe pomienione rzeczy w 24 godzinach wygotować. Gdy noc nadeszła, kniaź i szlachcic dosiadłszy koni i zabrawszy one rzeczy, ruszyli w wiadome miejsce. Ledwie się zbliżyli do kłody, gdy wyszedł na ich spotkanie upiór, a zabrawszy czapki i wory, wskoczył na białego konia i pędem poleciał, nierzekłszy ani słowa. Powróciwszy do siebie, wszyscy byli weseli, a mianowicie kniaź, że się dżumie wykupił; lecz nazajutrz cały dom wymarł, oprócz tego szlachcica, któremu upior życie ocalić obiecał.

89. Rozmowa bydląt.

Wedle mniemania ludu ruskiego zwierzęta domowe, jako to: konie, woły i krowy w niektóre nocy następujące po pewnych dniach świątecznych, prowadzą ze sobą rozmowę ludzkim językiem; rozmów tych podsłuchiwać się niegodzi pod utratą życia, co potwierdza niniejsze podanie: Pewien bogaty gospodarz wyszedł tajemnie na swą oborę, w nocy przed Nowym Rokiem, aby podsłuchać rozmowy swego dobytku; po pewnéj chwili oczekiwania, para najładniejszych siwych wołów naprzód się położyła, inne woły pytały ich: dla czego tak wcześnie się kładą i czemuby były smutne? Pytane odpowiedziały: Jak nam się nie smucić, jak nam nieodpoczywać, kiedy jutro, nim się dzień skończy, będziemy wprzężone do najcięższéj roboty. — A to jakiéj? pytały inne woły. — Ach! odpowiedziały pierwsze: Nasz gospodarz dobry i łaskawy, miał Bóg wie, jak długo żyć; a tymczasem wyszedł naszéj podsłuchiwać

rozmowy i za to téj jeszcze umrze nocy, a my będziemy go wieźli jutro do grobu.

Nazajutrz odbył się pogrzéb gospodarza i para siwych, najładniejszych wołów odwiozły go na smętarz.

90. Niedźwiedź.

Kiedy jeszcze Chrystus ze Św. Piotrem po ziemi chodzili, jeden młynarz chcąc się przekonać, czy Chrystus był prawdziwym Bogiem, ukrywszy się pod mostem, na przechodzących wyskoczył, w chęci nastraszenia. Chrystus rzekł wtedy: „Ty, co chcesz straszyć, bądź straszydłem dla ludzi“ — i zamienił go w niedźwiedzia. Taki więc jest początek tego dzikiego zwierza, który raz pierwszy pokazał się na ziemi, zachowując w łapach przednich kształt ręki człowieka.

91. Król wężów.

Opowiadają wiele o jego nadzwyczajnéj piękności, o mieniących się barwach i o grzebyku diamentowym na głowie. Napastowany, wydaje gwizd donośny i wnet ze wszystkich stron zlatują mu tłumy wężów na pomoc. Zdarzyło się, iż pewien pastuszek widując czasami tego króla wężów i dziwiąc się diamentowéj jego koronie, umyślił zdobyć takową. Jakiegoż więc używa fortelu? Oto ukręcił sobie potężny bicz, osadził na gibkiém biczysku i wysmarował smołą; tak przygotowany czatuje na króla wężów. Niedługo widzi, jak ku niemu sunie; kitka diamentowa trzęsie się do słońca, pastuch poskoczył, zaciął biczem i zerwał kitę, która przylepiła

się do smoły. Ale tu, jakiż strach go ogarnął! król wężów gwizdnął, aż się liście zatrzęsły i oto zewsząd zlatują się gromady wężów. Niebyło innego sposobu, jak wziąć nogi za pas i zmykać; pastuszek tak też i zrobił. Uciekał, uciekał, a węże wciąż za nim; i pewnie byłyby go na mak rozniosły, gdyby niebył dopadł klasztoru panien na Zwierzyńcu pod Krakowem i bramy za sobą niezatrzasł.

92. Zazula.

Za dawnych czasów żyła wielka i bogata kniahini, która koniecznie chciała wydać swoję córkę młodą za starego pana. Młoda kniahińka opierała się długo rozkazom matki, lecz gdy ją ani przekonać, ani ubłagać żadnym sposobem niemogła, zezwoliła na wszystko i dzień ślubu naznaczony został. Zaledwie słonko zajaśniało, przygotowania się rozpoczęły na wielkim dworze i młodą kniahińkę przystrojono do ślubu; lecz jeszcze wianka nie miała, jeszcze druchny nie zanuciły pieśni, kładąc go na głowę dziewicy.

Już wszyscy w cerkwi czekają, a niewidać panny młodéj; posełają, niemasz jéj w komnatach starego dworca. Biega sama po ogrodach księżna i przy zmroku wieczora szuka, woła, prosi, błaga nadaremnie; głos tylko jakiś śmiejący rozlega się w około.

— Kryj się więc na wieki! zawołała rozgniewana matka — i na wieki się odzywaj!

Niezadługo usłyszano dziwne chichotanie, a wkrótce kuku głos nowo utworzonego ptaka. Tak kniahińka przemieniła się w kukułkę. Pamiętna wszelako na ród, z którego pochodziła, zbyt dumna, aby miała sama robić gniazdo, a tém więcéj nudzić się dni kilkanaście na ja-

jach; łapie przeto małego ptaka i na jajach siedzieć mu każe. Sama doziera, ażeby starannie dopełniał włożonego nań obowiązku; a jeżeli w nim dostrzeże zuchwałą chęć ucieczki, przywiązuje go włosiem za nogę do gniazda.

I z tak wysokiego rodu pochodząc kukułka, nietylko w wysiadywaniu jaj i usłaniu gniazda cudzą wyręcza się pracą, w podróży nawet ma przy sobie małego ptaka, który jak wierny giermek żywność swéj pani niesie.

93. Kania.

Kania, jest to dziewica nadzwyczajnie pięknéj i ujmującéj postaci. Przybywa ona otoczona obłokiem od wsi do wsi pod wieczór, i tam samotnie spotkane dzieci różnemi sposobami i łakotkami stara się do siebie przywabić tak, iż lgną do niéj, jak do matki. Ująwszy je zaś, odziewa się gęstym obłokiem i uniesiona na nim ulatuje na dzikie lasy i stepy, z kąd porwane dzieci nigdy już niewracają. Lud gminny z téj powieści tłumaczy sobie to przysłowie, które dzieciom na przestrogę używa: Dzieci! kania leci.

94. Wił.

Gmin wystawia sobie to straszydło wysokie, kształtem podobne do piły. Głowę atoli ma zupełnie ludzką; twarz, starca zgrzybiałego z długą, żółtą brodą. Stawa pospolicie przed człowiekiem zasypiać mającym, w kierunku, w którym patrzy. Okropnością postaci swojéj przeraża tak, iż snu pozbawia. Zresztą, nic szkodliwego nie czyni. Na próżno odwraca się człowiek zbie-

dzony; gdziekolwiek okiem rzuci, wił mu naprzeciwko stawa. Były doświadczenia, iż uniesieni gniewem niektórzy, których to widmo co noc odwiedzało, rwali się do szabli, chcąc je porąbać, lub od siebie odpędzić. Wił przecież w mgnieniu oka usuwa się na każdy zamach i zawsze zostaje w jednéj odległości od człowieka i zawsze w kierunku, gdzie patrzy. We dnie widzi go także ten, którego przychodzi dręczyć, rozciągnionego za belką, zkąd żadne sposoby wypędzić go niemogą. Wiadome mu są wszystkie domowe tajemnice.

95. Bazyliszek.

Ma kształt koguta, białe plamy jak koronę noszący, lub też podobny do jędyka. Ogon ma węża, zakręcony do góry, na dwóch chodzi nogach, pod skrzydłami żółty. Mniemają, że się rodzi z jaja koguciego, które kogut dziewięć lat mając zniesie i ze wstydu w koński gnój zakopuje. *)

*) Dołączam tu ciekawy szczegół wiary średniowiekowéj o bazyliszkach, wzięty z dzieła: *Theophili presbyteri et monachi libri III. seu diversarum artium schedula*, które to dzieło odnoszą do X. lub XI. wieku. Powiada on, że poganie w ten sposób tworzą sobie bazyliszków: mają oni piwnicę w ziemi wyłożoną całkiem płytami kamiennemi i dwa tylko maleńkie zostawione są okienka. W taki loch sadzają dwa koguty dwónastoletnie, karmiąc je, aż się utuczą; wtenczas te koguty przez gorąco pochodzące z tłustości parzą się między sobą i znoszą jaja. Poczém zabierają koguty, a jaja dają wysiadać ropuchom, z których po czasie wyłażą małe kogutki; po dniach dziesięciu wyrastają im wężowe ogony, i gdyby owa piwnica niebyła całkiem kamienną, natenczas niechybnie zaryłyby się w ziemię. — W podaniach ludu smoki także się z takich jaj kogucich tworzą.

Takie są o bazyliszku dwa podania:

Za Zygmunta Augusta w Warszawie na pogorzelisku, gdzie kamienica na trzynaście lat przedtém zgorzała, była głęboka, jak jaskinia jaka, piwnica, w téj miał jamę bazyliszek, o czém nikt niewiedział. Do téj piwnicy dziewczynka mała z chłopczykiem także małym, na swywolę czy igraszkę weszli oboje tak, że nikt niewiedział, gdzie się podzieli. Kiedy ich długo niewidać, szuka matka córki, posyła wszędzie, nigdzie znaleść niemoże; domyśli się naostatek, kiedy ich wieczorem do wieczerzy niewidać, szukać ich w owéj piwnicy. Kazano tam wejść dziewce, weszła; aż znajduje oboje dzieci bez duszy; ledwie krzyknęła, wkrótce i sama padła i umarła. Kiedy długo dziewki niewidać, poszedłszy ku drzwiom pani, woła po imieniu dziewki i dziecięcia; gdy się nikt nieodzywa, zlękła się, krzyczeć i lamentować poczęła, aż się sąsiedzi pozbiegali. Doszło to wprędce do urzędu; więc spostrzegłszy z daleka, że ci pomarli, powyciągać osękami długiémi trupy kazano. Strach było widzieć, jak się strasznie, jak bębny, powydymały, posiniały z gruntu i oczy na wierzch były wysadzone. Na tak straszne widowisko całe miasto się zbiegło; przyszedł téż i wojewoda jeden i architekt z nim bardzo stary. Ten tedy architekt zaraz powiedział, że tam musi być koniecznie bazyliszek, którego inaczéj zgubić niepodobna, tylko trzeba jakiego odważnego człowieka w same zewsząd zwierciadła ubrać; twierdząc, że tenże bazyliszek, jak sam siebie obaczy w zwierciedle, zaraz zdechnie. A że wtenczas dwóch złoczyńców na gardło skazanych w więzieniu siedziało, jeden Polak, drugi Szlązak, Jan Taurer, tym kazano jedno z dwojga obierać, albo ginąć od miecza według dekretu, albo któryby się z nich odważył iść na zgubienie bazyliszka

tego, deklarowano życiem go darować. Odważył się Szlązak. Więc gdy wszystkiego z gruntu zwierciadłami okryto i oczy nawet szkłem zasłoniono; poszedł do owéj piwnicy, gdzie kiedy przez całą godzinę różnie szukał, niemogąc znaleść, już mu i świécy niestało; więc prosił o inszą świécę, żeby mógł w ciemnych, między rumem, lochach obaczyć. Jakoż znalazł straszną bestyję już nieżywą, bo się sam wzrokiem swoim ów bazyliszek zabił. Więc zawołał, że już nieżyje; kazał tedy ów architekt królewski wynieść owego bazyliszka na górę, dopiero go każdy oglądał. Bestya była tak wielka jak kura, z głową i szyją indyczą, oczy miała żabie.

W Wilnie także za Zygmunta Augusta w pustéj także piwnicy, ulągł się bazyliszek, który wyglądając oknem zawaloném, wiele ludzi przechodzących wzrokiem swoim zabijał. Tego chcąc zgubić, taki wynaleziono sposób: Cztery snopy ruty po jednemu w piwnicę wpuszczano i znowu, ale nie zaraz, wyciągano. Pierwszy snopek zbielał i usechł, drugi i trzeci, już nie tak był zwiądł; czwarty już zdrowy i świéży wyciągnięto; potém zrozumiano, że już musiał zdechnąć; więc tam spuszczono jednego człeka, który go znalazł nieżywego.

96. Żaba.

Nad Prutem mieszkała niewiasta, na którą czarownica z gór nasłała żabę. Żaba ta skakała w jéj ślady, skrzecząc ustawicznie. Niewiasta prześladowana, a w ciemię niebita i znająca się na tém, wiedziała, że zabijając żabę, śmierć na siebie, poprzedzoną długą chorobą, sprowadzi. Pochwyciła więc żabę, uwiązała w weretę, co piec zatykają i zawiesiła w kominie, podkurzając

skrzeczącą wiorami, uzbieranemi z dziewięciu podwórzy, z siedmiu grobów i dróg rozstajnych. Zaledwie naniecila dymny ogień po północy, przyszła czarownica, prosząc, aby ją wpuściła do izby, pod pozorem, że chce pożyczyć garczek kapusty: ale odpędzona, razem z żabą usychała i wkrótce po swojém nasłańcu umarła.

97. Lipa.

Głupi jeden parobek przywiązał krowę do lipy, a sam poszedł do karczmy; gdy powrócił, niezastał już krowy; on zaś niepytając, czy mu ją kto ukradł, czy się sama urwała, ciągle się tylko upominał u lipy, wołając: oddaj mi krowę. Na całą odpowiedź lipa zaczęła skrzypieć: łypa skryp, łypa skryp; on zaś głos lipy tłumacząc sobie inaczéj, rzekł: Oho! widdasz moji horoszi na Fyłyp (oddasz mi pieniądze na Śty Filip) i poszedł sobie. Pamiętając to przyszedł na Śty Filip do owéj lipy, a niewidząc pieniędzy ściął ją, aż w tém ze ściętego pnia posypały się pieniądze.

98. Czajka.

Był sobie kozak Jasiuk i miał matkę czarownicę; a był u niéj jeden tylko syn Jasiuk, jak każdy jedynak bardzo wielki zabijaka i pijanica, nietrzymał się domu, chodził po wieczornicach, przeto w całéj okolicy skarzono się na niego. Matka tylko jedna widziała w nim wszystko dobre; aby jednak wyrwać go złośliwym mowom, zamyślała syna swego ożenić: powiedziała mu to: on ku wielkiéj radości matki zgadzał się ożenić, ale tylko z wybraną przez siebie najpiękniejszą w okolicy

dziewczyną. Posłano swaty, lecz dziewczyna odpowiedziała, że niepierwéj wyjdzie za Jasiuka, aż pójdzie na wojnę z Tatarami i przyniesie jéj z wojny siedm głów tatarskich i siedmiu żywych przyprowadzi Tatarów. Jasiuk skoro o tém posłyszał, bardzo się rozradował; a chociaż matka płakała wyprawiając jedynaka syna na wojnę, Jasiuk jednak niezważał na to, zebrał sobie drużynę i poszedł w Krym po dary dla swéj lubéj. Z początku dobrze poszło Jasiukowi, już siedmiu żywych Tatarów posłał do usług swéj panny, już sześć głów miał w sakwach, gdy król tatarski posłyszawszy o rycerzu Jasiuku, który z ogniem i mieczem w kraju jego gości, wyjechał ze swém wojskiem przeciw niemu. Król obaczywszy małą garstkę kozaków, posłał tylko jednę część swojego wojska, aby złapać Jasiuka, lecz oddział ten już niewrócił: posłał drugi i ten niewrócił; poszedł nakoniec sam z wojskiem i Jasiuka złapał. Kazał go potém związać w worek i w morze wrzucić. Gdy się matka Jasiuka o tém dowiedziała, zmieniła kochankę swego syna w czajkę i kazała jéj latać po nad morzem i krzyczeć: kyhyk, aby tym sposobem za siebie i za matkę opłakała śmierć dzielnego kozaka Jasiuka.

99. Jaskinia pod Czerczą.

Niedaleko Smotrycza jest miasteczko Czercza; pod Czerczą jar skalisty, w głębi jaru w połowie skały jaskinia. Wchód do niéj z kapliczki w skale wykutéj, ale tak niski, tak ciasny, że na rękach i nogach trzeba się do jaskini wczołgać. Jaskinia nie wielka, nie wysoka, jednak osób dwadzieścia stojących w niéj pomieścić się może; w kilku miejscach po ścianach otwory do nowych jaskiń prowadzą; wszystkie do siebie podobne, wszy-

stkie kościami ludzkiemi wysłane! A lud okoliczny takie o nich zachował podanie:

Tatarzy byli niedaleko; zwiastowała ich złowieszcza łuna pożarów; mieszkańcy uciekali z wiosek, kryli się, gdzie komu łatwiéj przyszło. Jedna gromada cała schroniła się do téj jaskini, aby kilka dni trwogi przeczekać, póki nieprzejdą Tatarzy. Byli tam starce i dzieci, młodzi i kobiety, było ludzi dwoje... młodzieniec i dziewczyna... Kochali się czule; już po dziewosłębach było; kapłan miał ręce ich stułą powiązać, gdy Tatarzy nadeszli i wszystkich za życia jeden grób pożarł.

„O mój Hryciu, powtarzała czuła Hanka, czemu nas ziemia niepołknęła przed ślubem; dla czego nieweszłam do tego grobu z nazwiskiem mołodycy i twojéj żony! Zła myśl serce mi gryzie; już niebędziesz moim mężem! Może w innéj zakochasz się dziewczynie!“... I Hanka rzewnemi łzami płakała, i targała ciemne warkocze włosów, splecione taśmą czerwoną.

A Hryćko smutną narzeczoną pocieszał i łzy jéj gorącym pocałunkiem osuszał. „Nie płacz Hanko, nie płacz, czarnobrewa dziewczyno; nadto dobrze przebiłaś mię czarnemi oczkami, nadto dobrze związałaś mię czarnemi warkoczami, abym mógł o tobie zapomnieć, czarownico, a zalecać się do innéj. Ale mnie także serce źle szepce; może nie tak prędko z tego grobu wyjdziemy. Słuchaj Hanko, w nocy, kiedy część mołodźców za żywnością wychodzi, pójdę z nimi i księdza Cyryla przyprowadzę. Wiém, gdzie jego kryjówka, on wszystko dla mnie zrobi, i jutro Hanka moją mołodycą będzie.“

I tak się stało, jak obiecał Hryćko; przed rankiem kapłan był w jaskini. Ale Hanka jeszcze smutna siedzi; daremnie wybrane drużki wesoło krzątają się koło niéj i chcą jéj ciemne warkocze rozplatać. Hanka je odpy-

cha. „Jakimże wiankiem pokryjecie rozpuszczone włosy mołodycy? gdzie mój barwinek weselny? Zmięszały się drużki i niewiedzą, co począć. Daremnie ją Hryćko pociesza, daremnie do ślubu wzywa; Hanka nie pójdzie do ślubu bez wieńca z barwinku. I nikogo niesłucha i wymyka się z pomiędzy tłumu i ciasnym otworem, jak jaszczurka, już wyśliznęła się z jaskini. Pędem leci ze wschodów kamiennych i po jarze, po nad rzeczułką biegnie; i schyliła się nagle i zerwała duży pęk barwinku, i co tchu pobiegła nazad, i na wschody, i tam dopiero obejrzała się lękliwie, czy jéj kto niewidział... Tuż na dole Tatarzyn smagławy jedną ręką kiwał na nią, aby do niego zeszła, w drugiéj trzymał łuk napięty z strzałą na cięciwie. Biedna dziewczyna krzyknęła z rozpaczy; strzała świsnęła tuż koło niéj i gdzieś w szczelinie skał utknęła. Hanka rzuciła się do kaplicy i wpełzła do jaskini, i wbiegła z barwinkiem w ręku pośród drużek i bez przytomności na ziemię upadła.

W przeciągu dwóch godzin cały hufiec tatarski stanął w jarze i drapał się po wschodach kamiennych i kapliczkę napełniał. Przez otwór do jaskini słychać było gwar wielki; czasem dochodziły dźwięki wyraźne, płacz i narzekanie. A Tatarzyn ten sam, którego strzała biedną Hankę chybiła, kazał przynieść słomy i napchał całą kapliczkę i zapalił.

I śmiech głośny, śmiech szatański rozległ się po jarze, a z jaskini odpowiedział jeden wielki okrzyk rozpaczy. Dym zjadliwy napełniał jaskinię; Hanka jeszcze bez przytomności leżała, a Hryćko uwieńczył jéj głowę uplecionym z barwinku wieńcem. W tém po raz ostatni otworzyła oczy i po raz ostatni uściskała kochanka... i jęki ustawały powoli i umilkły zupełnie. — Dotąd ich kości w czerczeńskiéj jaskini bieleją.

100. Pieczary pod Straczem.

W obwodzie Lwowskim we wsi Stracz, w połowie góry lasem sosnowym okrytéj jest ciasne wnijście do pieczary, o któréj lud głosi, że ma związek z pieczarami kijowskiemi. Powiadają także, że, gdy Preświata Diwa (Najśw. Panna) uciekała przed Tatarami, ziemia sama się jéj rozstąpiwszy, tę jaskinię utworzyła.

Jest także podanie o dziewce, która wszedłszy do jednéj z tych pieczar po wielkanocnéj komunii, błąkała się w niéj aż do drugiéj bez żadnego pożywienia; a gdy na drugą wielkanoc wyszła, skoro ją tylko ksiądz pobłogosławił, w proch się rozsypała.

101. Pieczary w Czarnéj górze.

W bliskości pieczar Czarnéj góry, gdy słońce zajdzie, pokazują się przy miesiącu widma rozbójników, którzy tu mieli swoję niegdyś siedzibę. W milczącym i poważnym orszaku wychodzi dwanaście postaci w bieli, które niosą na barkach otwartą trumnę; a wyszedłszy z nią na szczyt góry znikają. Są to duchy tych samych zbójców, którzy długi czas rozbijali podróżnych i łupili cerkwie; niezmierne skarby przechowali oni w tych pieczarach, gdzie są do dziś ukryte; albowiem rzadko kto może namacać drzwi do nich prowadzące, chociaż się często zawarty wchód pokazuje; a widma w postaci pustelników wchodzą do pieczar.

Razu pewnego widział biedny wieśniak, ukryty za złomem skały, jak zwolna przez las przechodził pustelnik, a potém zniknął w ścianie opoki. Wieśniak, który go śledził, dostrzegł, jak się zatrzymał przy małych drzwiczkach, jak zakołatał z cicha i wyrzekł: Otwórzcie się drzwiczki! a drzwi się rozwarły. Na drugi rozkaz:

Zamknijcie się drzwiczki! znowu się zamknęły. Drżał góral ze strachu, lecz wchód naznaczył gałęźmi.

Od tego czasu niemiał spokoju, tak pragnął wiedzieć, co się w tych pieczarach znajduje. Pościł więc w sobotę, a w niedzielę poszedł z krzyżem w ręku do naznaczonego miejsca. Stanąwszy przed drzwiczkami, długo trząsł się ze strachu i długo przysłuchiwał się; aż wreszcie odwaga mu przyszła i zakołatał mocno, mówiąc: Otwórzcie się drzwiczki!

Na to zaklęcie otwarła się pieczara; wszedł głębiéj i zobaczył obszerną, jasną izbę: Zamknijcie się drzwiczki! rzekł mimowolnie i drzwi się zamknęły.

W około niego leżała w skrzyniach i w beczkach niezmierna moc złota i srebra, drogich pereł i kamieni. Żegnał się z podziwienia wieśniak, jednak niemógł się wstrzymać, aby cokolwiek niewziął, wspomniawszy na żonę i dzieci.

Kiedy tak ładował sobie kieszenie i zabierał się do wyjścia, odezwał się głos gruby z głębi pieczary: przyjdź znowu! — Zakręciło mu się w głowie i ledwie miał siłę powiedzieć: Otwórzcie się drzwiczki! Otwarły się i wybiegł na dwór uradowany. W domu nic niepowiedział o swojéj przygodzie, tylko poszedł do cerkwi i dał część z tych pieniędzy na kościół i ubogich. Za resztę nakupił różnych ubiorów dla dzieci i żony.

Następnéj niedzieli poszedł znowu do pieczary, ale śmielszym krokiem. Zrobił to samo, co pierwéj, a głos gruby zawołał: przyjdź znowu! I wieśniak przyszedł na trzecią niedzielę i nabrał pieniędzy.

Teraz już sobie był bogatym gospodarzem; lecz cóż miał robić z tak wielkiém bogactwem? Już był oddał na cerkiew dwie dziesięciny z tego, co posiadał; a co zostało, chciał zachować w ziemi, aby na każdy przypadek

mógł się zapomódz w gospodarstwie. Jednakże przed zakopaniem pieniędzy umyślił je wprzód przemierzyć, poszedł więc pożyczyć ćwierci od sąsiada, wielkiego bogacza, a razem lichwiarza, który robotników krzywdził, sługom niepłacił, a pieniądze na lichwę pożyczał. W onéj ćwierci były wielkie szpary, otoż zaroniło się w nie przy mierzeniu kilka małych pieniędzy, których wieśniak niewytrząsł, a które nieutaiły się przed okiem łakomcy. Szukał więc kmiecia w lesie; a gdy go znalazł, zapytał, coby ćwiercią pożyczaną mierzył? — Leśne nasienie i mysiarki (orzechy) — odpowiedział z zająknieniem. Wstrząsając głową, pokazał mu lichwiarz srebrne pieniądze, to znowu wszystko obiecywał i tak powoli wyłudził tajemnicę o skarbach,

Cały tydzień przemyśliwał skąpiec nad tém, jakby cały skarb wyprowadzić z pieczary i jak zostać wielkim panem.

Pierwszemu wieśniakowi niebyło po myśli, że się zawistny jego sąsiad dowiedział o pieczarach, ale już niebyło rady, bo groźbami zniewolony dał się namówić, aby z nim do drzwi pieczar poszedł, gdzie miał odbierać wory, które lichwiarz skarbami napełni. Skąpiec obiecywał podzielić się z nim na połowę i także dać na kościół dziesięcinę, lecz w duchu zamierzał poczciwego wieśniaka zgładzić ze świata.

Następnéj więc niedzieli wybrali się przed wschodem słońca do pieczar w Czarnéj górze. Dźwigał skąpiec na plecach łopatę, siekierę i mnóstwo worów. Wieśniak napominał go, aby poprzestał téj chciwości; ale on niedał sobie nic mówić. Już doszli do pieczar, a lichwiarz krzyknął grubym głosem: Otwórzcie się drzwiczki! — Drzwi się otwarły. — Zamknijcie się drzwi! i drzwi się za nim zamknęły. Zaledwie wszedł, a ujrzał beczki i skrzynie z pieniędzmi, zaczął je łakomie i skwapliwie przesy-

pywać w wory. W tém wyszedł z głębi pieczary wielki chart czarny z błyszczącemi oczyma i położył się na skarbach. Wystraszonemu lichwiarzowi wypadły z rąk worki, a czarny chart pokazał mu zęby i zawył:

— Po coś tu przyszedł lichwiarzu?

Trwogą śmiertelną przejęty padł na ziemię i rakiem pełzał ku drzwiom, lecz w strachu zapomniał wymówić: Otwórzcie się drzwiczki! i tylko raz wraz powtarzał: Zawrzyjcie się drzwiczki! i drzwi były zamknięte.

Drugi wieśniak, co stał na dworze, czekał nań długo pełen niespokojności; wreście przystąpił bliżéj ku drzwiom. Tu usłyszał głuchy krzyk i jęk pomięszany z wyciem psa; aż wkrótce wszystko ucichło. Właśnie zaczęto dzwonić na służbę bożą do cerkwi, zmówił: Ojczenasz! i zlekka zapukał do drzwi, przemówiwszy zwykłe wyrazy, a drzwi się otwarły. Jakaż tam okropność! Złego sąsiada ciało leżało krwią zbroczone, a beczki i skrzynie ze złotem i srebrem zapadały się powoli w ziemię przed jego oczyma.

102. Pieczara w Bruśniku.

O mil trzy na wschód Lusławic leży wieś Bruśnik; na jéj gruntach znajduje się znacznéj długości pieczara. Słynie ona jako skład niezmiernych skarbów, których szatani pilnują. Taka jest z tego powodu powieść o pewnym ślusarzu. Śmiały ten człowiek, a bardzo ubogi doszedł, że w pewne święta djabli się rozchodzą i zostawiają pieczarę bez żadnéj straży. Korzystał więc z pory i udał się do strasznego miejsca: niezastał w saméj rzeczy nikogo z duchów, nabrał więc pieniędzy, ile mu się spodobało, i wrócił szczęśliwie do domu. Pierwsza ta wyprawa zachęciła go do podobnych częstszych i zawsze pomyślnych. Pewnego razu zdarzyło się, iż zabawił na rabunku dłużéj

niż wypadało; djabli nadchodzą, łapią go na gorącym uczynku: nieborak znalazł przynajmniéj dość czasu wymknąć się rozgniewanym złym duchom; ale uciekając, tak pospiesznie drzwi za sobą zatrzasnął, że mu piętę ucięły, i z téj przyczyny chromał aż do śmierci.

103. Jamy zbójeckie.

W dolinie Skoruszyny jest skała zwana Czarną Turnią, z dziurą, w któréj dwunastu zbójników mają zostawione zupełne ubranie; jest tam i świńskie koryto pełne pieniędzy; ale wszystko teraz zażegnane, zaklęte i ci ludzie nawet teraz dziury znaleść niemogą, którzy widywali, jak zbójnicy po rzemiennéj drabinie do niéj włazili. Toż samo opowiadają o innéj jamie w dolinie Kościeliskiéj. Zbójnicy do niéj się spuszczali zawsze; mieli tam wszelkie sprzęty i w niéj podczas zimy mieszkali; teraz jeszcze są tam zupełne mundury na dwunastu ludzi i niezmierne skarby, które można wziąść, kto owę jamę wynajdzie, ale do munduru niech się nikt niezbliża, gdyż na środku leży broń nabita i za dotknięciem sukien zabije.

104. Zbójeckie pieniądze.

W dolinie Kościeliskiéj najpiękniejszéj i upoetyzowanéj podaniami, zaraz na wstępie przy piecu wapiennym napotkało dwóch zbójców chłopa: każdy niósł po pół centa (cetnara) pieniędzy i mówili do niego: Bóg ci poszczęścił (i oddawali mu swe pieniądze), uszczęśliwisz siebie, a nas zbawisz. — Chłop jednakże bał się przyjmować skarbu, mówiąc: Boję się, bobyście mię wydali — i odszedł. Zbójnicy poszli na górę, pieniądze wzięli i djabłu je oddali i ten ich wartuje. Chłop jednakże pilnie patrzał,

gdzie się podzieli zbójnicy; a gdy odeszli, poszedł za nimi w miejsce, gdzie się skryli do góry, jednakże ani jamy, ani skarbów nieznalazł.

105. Jama nad Morskiem okiem.

W skale nad Morskiém okiem pod gęstemi zaroślami kozodrzewia jest pieczara, do któréj, jeśli kto ma odwagę wejść, wielkie może znaleść skarby; prowadzą tam kręte i ciasne chodniki; na każdym zakręcie trzeba palić światełko, aż się przyjdzie do obszernego miejsca. Tam ukażą się światełka bardzo błyszczące, lecz ich dotknąć niemożna, i da się słyszeć głos, który zabrania ruszać skarbów leżących na około; aż dopiero daléj, na środku, klęczą trzej mnisi, każdemu z nich należy pokłonić się z osobna, a potém brać ze skarbów tyle, co naraz urąbnie siekiera; ktoby w czém przekroczył, zginie natychmiast.

106. Księgi czarnoksięzkie.

Jest między Góralami wiara w księgi czarnoksięzkie, mające się znajdować gdzieś na dolinach, za pomocą których można skarby odkrywać. Powiadają, że Janoszczyk sławny rozbójnik zostawił takie księgi. W górach pokazują skałę, z któréj na przeczytane zaklęcie z księgi wychodzi smok, daje się kulbaczyć i jeździć na sobie. Jakiemuś Niemcowi udało się jeździć na tym smoku, ale go zabił jeden baca, czyli gospodarz.

107. Czechy wędrowne.

Wyżéj pięciu stawów w górach tatrzańskich leży jezioro zwane Zabiniec, mało dostępne dla skał nadzwy-

czajnie przykrych i niebezpiecznéj po nich drogi. Górale powiadają, że co rok przychodzi do Zabińca 7miu Czechów, im tylko wiadomemi ścieszkami, że tam dobywają z gór złote rudy i narobiwszy złota wracają do siebie. Nieraz dają się znajdować w tém miejscu pozostałe po nich piecyki i żużle z wytopionego kruszcu.

108. Morskie oko.

Jezioro to, podług podania górali tatrzańskich, ma być nie do zgłębienia i łączyć się z morzem Adryatyckiém. Pan jakiś płynąc morzem rozbił się w czasie okropnéj burzy: życie jednak uratował, straciwszy wszystkie swoje kosztowności. Długo w smutku pogrążony szukał po nad morskim brzegiem swojéj szkatułki, pełnéj drogich kamieni, ale nadaremnie. Podróżując po świecie, odwiedzał także Tatry i głośne po wszystkich karpackich krajach Morskie oko. Płynąc pełcią (tratwą) po tém tajemniczém jeziorze, postrzega nagle owę szkatułkę i kawały drzewa okrętowego. Wydobywają to johasy; była zamknięta, nienaruszona jak przy rozbiciu i kosztowności wszystkie zawierała.

109. Skarbnik.

Sandomierscy górnicy mówią, iż Skarbnik jest opiekunem wszystkich kruszców w ziemi polskiéj. Nieraz w górniczéj kurcie przychodzi on do szybu, ażeby znużonych robotników wyręczyć; wtedy najbliżéj stojący podaje mu świécę zapaloną na kilofie; trzeba bowiem wiedzieć, że górnik bez światła, to niby żeglarz bez gwiazd. Skarbnik dobrze przyjęty łupie za trzech i za trzech szlepuje, odkrywa najobfitsze żyły i najprostszą

drogę z szybu do szybu wycina; w przeciwnym razie mści się na winowajcy. Raz go jakiś górnik nieprzyjął na nocleg do szałasu; za to go Skarbnik nazajutrz w szybie obłąkał; a wodząc po wszystkich górach polskich najszczérsze pokazywał mu kruszce; — tam karń srebra leżała obłazgiem, a tam czyste złoto strumieniem się lało. Górnik na samém oglądaniu tych skarbów strawił lat 50, ale mu ten długi czas minął jak jeden dzień. Powrócił wreszcie na ziemię i cuda o téj wędrówce podziemnéj opowiadał; chciał nawet przewodników naprowadzić na owe kruszce, nikogo jednakże z dawnych znajomych nieznalazł; wszyscy już byli wymarli; żyjący zaś niechcieli mu wierzyć, więc dostał pomięszania zmysłów. Ówże Skarbnik zalał Olkusz za karę, że górnicy olkuscy chcieli Jasną-Górę podkopać. Najmilszém mieszkaniem Skarbnika są góry jakieś na Szląsku.

110. Zbójcy.

Bardzo już dawno temu zbójcy byli napadli na dwór szlachecki; bojąc się zaś, żeby niedoznali oporu, wzięli rękę trupa, nasmarowali tłuszczem i zapalili cztery palce, także nachuchali w cztéry szklanki i przewrócili dnem do góry. Te czary sprawiły, iż czterech szlachty usnęło snem twardym; piąty palec, co niegorzał, niedał spać żonie gospodarza. Widziała więc, jak zbójcy weszli, zabierali sprzęty, a żadnego dobudzić się niemogła. Kiedy wymordowali wszystkich, biednéj téj niewieście, ubroczywszy ją we krwi męża i braci, siekierę morderczą w ręku zostawili: a tak schwytana z narzędziem zbrodni niewinnie śmierć od kata poniosła.

111. Janoszczyk.

Najgłośniejszym ze zbójeckich dzieł w Tatrach, jest Janoszczyk. Tysiące krąży o nim podań. Jego siła, jego zręczność, jego władza nad istotami nadprzyrodzonemi i ciągły stósunek z niémi przechodzi wszystko, co o jakimkolwiek innym zbóju opowiadają. Obok tego miał być nadzwyczajnie nabożnym. Podanie niesie, iż spotkał pewnego razu jakiegoś studenta z Podolańca i zaprosił go do swego szałasu. Student ów, w zmowie ze zwierzchnością, podjął się go zabić. Wybrał do tego porę o wschodzie słońca, kiedy zwykle Janoszczyk klęczał i modlił się; zaszedł więc z tyłu klęczącemu i strzelił do niego, ale kula cudownym sposobem w bok poszła. Janoszczyk, jakby nieuważał, nieprzestawał się modlić. Student poprawił i chybił, jak pierwszą razą; Janoszczyk ciągle się modlił; dopiero kiedy zdrajca po trzecim strzale począł uciekać, Janoszczyk, który właśnie co skończył modlitwę, dognał go i zabił. Siekiera Janoszczyka cudowne miała przymioty. Ciśniona silną prawicą wracała na powrót do niego na jedno gwizdnienie. Kochanka Janoszczyka zdradzając go, a wiedząc o osobliwych przymiotach jego siekierki, zamknęła ją w dziewięciu skrzyniach dziewięcią zamkami. Kiedy pojmano Janoszczyka gwizdnął na siekierkę i zaczęła się wyrąbywać; już zrąbała ośm skrzyń i ośm zamków, ale dziewiątéj skrzyni i dziewiątego zamku niemogła przerąbać, gdyż dziewięć jest liczbą tajemniczą.

112. Kowal z Charklowéj.

Raz w nocy zajechał przed kowala z Charklowéj jakiś powóz, sześcią dzikiémi końmi zaprzężony, w któ-

rym pan, ubrany po niemiecku, sam się powoził; widziano, jak ten powóz wyjechał z Dunajca. Ten pan zawoławszy tedy na kowala, kazał jednemu z koni przybić podkowę, która była ze złota; za co mu darował strzelbę, a sam popędził gościńcem. Odtąd z tego kowala stał się zawołany strzelec, bo nietylko każdego zwierza zabije, ale nadto strzela zwierzęta i ptaki, jakich nawet i w kraju niema.

113. Parobek z Łopuszny.

Żył w Łopuszny parobek bardzo przystojny, ale o ile przystojny, o tyle zimny dla dziewcząt. Idąc raz do Charklowéj na mszę, ujrzał w potoku łososia; schylił się więc po niego, a schylając się, przebił się nożemj który miał za pasem. Rana była tak głęboka, że z nié, umarł. Pochowano go, a nóż wrzucono w potok łopuszański. W tém tedy miejscu, gdzie nóż wrzucono, duch parobka ciągle się pokazywał. Obrały się śmiałe jakieś dziewczęta, dotrzymały mu placu i dowiedziały się z własnych ust jego, że wtedy uwolniony będzie od pokuty straszenia ludzi, kiedy dziewczęta mszę za jego duszę kupią. Na świadectwo przed innymi ludźmi dał im rutę od własnego kapelusza. Dziewczęta mszę kupiły, a duch niepokazał się więcéj.

114. Mnich.

Na polanie zwanéj: Centyrz (cmentarz, podobno z czasów wielkiéj jakiéj wojny, lub powietrza), jest pniak wielkiéj grubości, z pod którego różnémi czasy wychodził mnich, z razu maleńki, ale zaledwie stanął, wzrostem przeniósł najroślejszego chłopa. Ukazywał się w ró-

żnych postaciach, najczęściéj w bieli lub kapturze mnisim. Jeżeli o nim mówiono, wnet go i obaczyć można było. Ginął we wodzie; wszedłszy w nią rozpostarł kaptur i płaszcz mniszy nad falą i powoli malał, aż zniknął z oczu. Był to jakiś pokutujący mnich, który uciekłszy z klasztoru, przez zbójców zabity został. Widywano go przebranego za kobietę w szlacheckim stroju; nic niemówił, nic złego nikomu niewyrządził. Ostatni człowiek, który go widział, krzyknął przelękniony: Wszelki duch chwali Pana Boga! na co mnich odpowiedział: — i ja chwalę. — To wymówiwszy zniknął i odtąd niewidziano go więcéj. Kiedy się jeszcze pokazywał, gdy go kto o co zapytał, nie odpowiadał, tylko kiwnął głową, lub ręką.

115. Głowa błąkająca się.

Na polanie zwanéj: Kamieniska Jaworzyna, zabił watażka zbójców jednego ze swoich podwładnych, a to przez zazdrość za jego zręczność w skakaniu, strzelaniu, szybkości, urodzie i odciął mu głowę; od tego czasu głowa ta, z niezmiernie długiemi włosami ukazuje się na téj polanie i chociaż ją wezmą i rzucą gdzie daleko w parowy, zawsze napowrót wraca.

116. Djabeł cechujący jawory.

W bukowinie łopuszańskiéj pod Kluczkami widziano w dzień ŚŚ. Piotra i Pawła, jak się pokazał djabeł ubrany po niemiecku, jak przeszedł pomiędzy statek i rąbał jawor; późniéj, ktokolwiek chciał to drzewo zrąbać, niezawodnie okaleczył się i musiał pracę zaniechać. Nie jeden tak napiętnowany jawor znajduje się w górach, dla tego górale bardzo się strzegą, zwłaszcza pierwszych dni po ŚŚ. Piotrze i Pawle rąbać takie drzewa.

117. Djabeł we wichrze.

Pewien wieśniak widząc, jak nań nachodzi djabli taniec, czyli kręcący się wicher, cisnął weń nowym poświęconym nożem; i ujrzał, jak djabeł stał w pokornéj postawie, przybity do ziemi nożem, co mu przeszył stopę; i zapytał łagodnie, czego chce od niego? — Chłopek zażądał baryłkę wódki, kilka połciów słoniny i ćwierć talarów.

— Dam ci wszystko, ale wyjmij nóż z nogi.

— Nie, krzyknął gniewny wieśniak, dopóki niedasz co chcę.

— Idź do domu, odrzekł djabeł, a znajdziesz wszystko. Chłop zajrzał do chaty; patrzy, stoi baryłka wódki, wiszą na całéj ścianie połcie słoniny, a talarami w ćwierci bawią się dzieci. Wrócił i uwolnił djabła przybitego do ziemi. Nie na dobre mu to wyszło, bo gdy umierał, stary chrzestny widział w głowach stojącego tegoż djabła, co czatował na duszę wieśniaka, aby ją porwać.

118. Djabeł i piorun.

Jest u Litwinów mniemanie, iż piorun w to miejsce bije, gdzie jest djabeł. Jeżeli burza zaskoczy go na polu, wtenczas, gdzie może szuka schronienia, leci czém prędzéj schować się albo w dziuplu spróchniałego drzewa, a nawet w domu mieszkalnym. Powiadają na Żmudzi, jakoby raz w czasie nawalnego deszczu z grzmotami do pewnego domu wbiegł w kusym fraczku młody Niemczyk. Gospodyni siedząca u ognia podała mu stołek i prosiła, aby raczył się ogrzać. Gość ujęty grzecznością téj niewiasty, odpocząwszy chwilkę, skłonił się układnie i pędem wyleciał z sieni, kazawszy wyrzucić na dziedziniec

podany mu stołek, który po wyniesieniu, piorun natychmiast na drobne kawałki zdruzgotał. Niemczyk zaś zaśmiał się głośno i zniknął.

119. Czerwony chłopczyk.

Utrzymuje się podanie na Litwie, iż pieniądze w postaci różnego koloru osób chodzą po świecie. I tak: pieniądze złote mają postać człowieka koloru czerwonego; srebrne, białego; miedziane, brunatnego. Ci ludzie, jeśli kogo na drodze spotkają, proszą i usilnie nalegają, aby ich uderzyć w policzek. Lecz nikt nie jest tak śmiałym, by się odważył ich życzeniu dogodzić. Szczęśliwy ten, który nabrawszy męstwa przystąpił do pieniężnego chłopczyka i dotknął się, choć lekko, jego twarzy; gdyż najmniejsze uderzenie czyni ten skutek, iż natychmiast zwierzchnia powłoka postaci pęka i pieniądze się rozsypują. Z tego to powstało i przysłowie: czerwony chłopczyk; co znaczy bogatego.

120. Dar ogniowi.

W jedném obejściu mieszkało dwóch gospodarzy, żona jednego ściśle przestrzegała oddawania ogniowi podarku, to jest: stawienia na noc w piecu małego garnuszka z wodą; gdy druga zaniedbując to czynić, z przesądu pierwszéj naśmiewała się: jedną razą żona pierwszego wyszła na podwórze i podsłuchała takiéj rozmowy dwóch ogniów:

Pierwszy. — No Bracie! ostatnią noc z sobą jesteśmy; na tamtą bowiem ja swoje obejście zniszczę i gdzie indziéj pójdę gospodarzyć; gdyż tu dłużéj niemogę wytrzymać, zeschłem na szczyptę, nigdy ani kropli wody.

Drugi. — Jak sobie zechcesz! tylko mego obejścia niezaczepiaj, bo ja mam dobrą gospodynię.

Tu nastąpiło krótkie milczenie; przerwał je ogień drugi: ale, ale, tam na górze twojego obejścia jest złókto (naczynie drewniane do odparzania bielizny) mojéj gospodyni, żebyś mi go niespalił.

I znowu nastąpiło milczenie niczém nieprzerwane; a na drugą noc, gdy przestrzegana gospodyni rozgniewanego ognia podarku mu nie postawiła, wszczął się pożar, który całe jéj obejście zniszczył; zostało tylko na zgliszczu złókto zupełnie nietknięte, do pierwszéj gospodyni należące.

121. Wiatr.

Gospodarz na połoninie pokrywał kolibę. A co pokryje, to silny wiatr powieje i łat zerwie. Trwała ta mitręga jakiś czas; aż pobudzony do gniewu gospodarz cisnął nóż przeciw wiatru, złorzecząc mu; niebawem téż wiatr ucichł i gospodarz mógł zaczętą pracę dokończyć. Zbywszy się roboty, rozniecił dobry ogień i zaczął wieczerzę warzyć; właśnie było po zachodzie słońca, kiedy wziął się do jadła, aż tu idzie człowiek jakiś niezmiernie pokaleczony, że mu ani oczu, ani twarzy niewidać i rzecze do gospodarza: Dobry wieczór. — Gospodarz odrzekł: Daj Boże zdrowie! Siadajcie, jeśli łaska do wieczerzy. Nieznajomy zaś odpowiedział: Wieczerzaj zdrów; — a po niejakiém milczeniu popatrzywszy na gospodarza, dodał: Masz szczęście; gdybyś mię był uczciwie nieprzyjął, byłbym cię nauczył, jak nożem przeciw wiatru ciskać; widzisz, jakeś mię pokaleczył; na drugi raz strzeż się rzucać nóż przeciw wiatru. To rzekłszy, przepadł.

122. Grad.

Gospodarz znachor (czarownik) ze swoją czeladzią gromadził siano. Była pogoda, w południe zaczęły się chmury zbierać; wiatr pociągnął gwałtowny, grzmiało i łyskało się straszliwie. Gospodarz znachor woła na czeladź, aby się żwawo zwijała i sam już składa w stogi; a tu chmury się zbiły, i ciągle nad nimi grzmi i szumi, krzyżują się błyskawice, a deszczu ani krty niepada. W tém nadjeżdża jakiś pan na białym koniu i prosto jedzie na gospodarza znachora, a kiedy już był blisko, niepodnosząc oczu, rzecze doń: puszczaj ludzi, bo mi się pomordowali. — Gospodarz znachor odpowiedział: czemuś nieprzyszedł do mnie w goście na kupałę? — Ot i za tém słowem znachor odszedł w leszczynę, a za nim pojechał ów pan; oba coś z sobą pogadali, lecz niemożna było słyszeć. Po niejakim czasie znachor wrócił z gałązką leszczyny w ręku: wkrótce silniejszy wichr zawył, chmury lunęły rzęsistym gradem; a kiedy po chwilce powróciła pogoda: sąsiednia łąka (nieprzyjaciela znachora) była usłana na dwa palce gradem, gdy tymczasem sianożęć znachora pokropił tylko drobny deszczyk.

123. Latawiec.

I.

Parobek mając latawca, ożenił się i młodą pojął żonę. Żona kochała go, niebędąc kochaną nawzajem; bolała na to, lecz smutek swój sama w sobie kryła. Pewnego razu poszła ze zbożem do młyna, ale we młynie było zawoźno, musiała czekać długo; nakoniec młynarz ujęty grzecznémi słowy hożéj mołodycy pospieszył z mlé-

wem i mołodyca, choć późno w noc, wróciła do domu. Wchodzi do izby, a mąż na łóżku, a przy nim latawiec cudnéj urody; oboje całują i pieszczą się, chociaż mąż spał widocznie. Żona, nic niemówiąc, pocichu zdjęła prześcieradło i nakryła oboje, a sama legła na przypiecku. W tém się schwyci latawiec i rzecze: Gospodaruj już sama, ja niebędę już ci więcéj męża bałamucić. Pocałowawszy kochanka, odeszła i niewróciła nigdy więcéj.

II.

Jechał sobie po sprawunki wdowiec jakiś w góry, aż pod jedną wsią spotkał góralkę, co się podkasała wyżéj kolan; ucieszony podróżny rzecze: Czy nieposzłabyś do mnie na służbę? — Dziewka odpowiedziała: Ja tam przyjdę do was. — Woźnica zaciął konia, a podróżny na śmierć zapomniał o przyrzeczeniu góralki. Porobiwszy swoje sprawunki późno w noc wraca do domu; wchodzi do izby; każe zapalić świécę i widzi góralkę na pościeli leżącą obok jego parobka; rozgniewany więc, krzyknął: ty bezwstydniku! co obok ciebie robi dziewka? — Parobek na to: Co się wam dzieje? przy mnie niema nikogo. — Pan idzie do świetlicy, dziewka za nim; kładnie się na łóżku, ona koło niego; żegna się, modli — widziadło nie znika i ścigało go ciągle tak dalece, że w dzień nikogo niewidział, za to wieczór, gdzie tylko się ruszył, ona za nim. W takim ciężkim razie zasięgnął rady bab, kadzono go różnemi ziołami, myto, smarowano, dopiero, kiedy się okadził świńskim gnojem, widziadło znikło na zawsze.

124. Łełeki.

Jeden bogaty żyd puścił się w podróż daleką po różne towary; w drodze zajechał w bardzo gęsty bór; a że

kłoda na kłodzie leżała i zawalała drogę, poszedł sam naprzód, a za nim jego bryka. Idzie i uszedł jakiś kawał, patrzy, aż tu pod korzeniskami wywróconego świérku coś sieje, a przytém szmer i śmiechy słychać. Podchodzi bliżéj i widzi złoto i srebro, które przesypują śpiewając Didki-Łeleki. Kiedy go ujrzeli, rzekł jeden z pomiędzy nich: Powiedz tam twemu słudze, niech sobie przyjdzie po pieniądze, bo się nam już uprzykrzyło jego oczekiwać. Kupiec wkrótce powrócił do domu; woła swego sługę i powiada mu: Ja ciebie wybrałem za zięcia i wydaję za ciebie swoję córkę jedynaczkę.

— Niegodzi się żartować z ubogiego pachołka — odpowiedział sługa.

Na to kupiec: — To, co mówię, szczerą jest prawdą; nielubię żartować z bliźnich. Jakoż niebawem odbyło się sute wesele, uczta; a po uczcie woła kupiec swego zięcia i rzecze:

— Zbieraj się, pojedziem za twojémi pieniędzmi.

Zięć wpatrzył się zdziwiony w kupca.

— Tylko prędko! tylko prędko! naglił kupiec.

Jadą, jadą — zajechali w gęsty bór. Powysiadawszy z wozu, zaszli do korzeniska wywróconego świerku; i, Didki-Łeleki wieli złoto i srebro jak pierwéj. A kiedy obu ujrzeli, jeden z pomiędzy nich rzekł: — Tak długo musieliśmy na ciebie czekać! — I Didki Łeleki znikli; kupiec z swoim zięciem napakowali brykę pieniędzmi i jeszcze dwa kupili wozy pod cały ten skarb. Otóż tak ubogi żydek został najbogatszym kupcem w mieście.

125. Dziwożony.

Są to kobiety nadprzyrodzone, złośliwe, mają włos bardzo długi rozpuszczony i prosty; piersi ich są tak wielkie, że je

zamiast pralników używają, piorąc swoję bieliznę. Na głowie dla stroju noszą czerwoną czapeczkę; za pożywienie im służy ziele tak zwane: słodyczka. Najwięcéj cierpią od nich położnice. Dziwożony szpiegują takie kobiety, a upatrzywszy porę, kradną nowonarodzone dziecię, a swoje na miejscu skradzionego zostawują, które są zwykle szpetne, garbate i koszlawe. Mają wszakże i one macierzyńskie uczucie, jak się to pokazuje ze sposobu odbierania im ukradzionych niemowląt. Podrzucone dziecię wynoszą zwykle na śmietnik, gdzie smagają je rózgą, napawają wodą ze skorupki jaja i wołają: Odbierz swoje, oddaj moje. — Dziwożona litując się nad cierpieniem swego dziecka oddaje ukradzione, a swoje zabiera. Porywają niekiedy i dorosłe dziewczęta. Następujące o tém krąży podanie:

Zniknęła w Łopusznéj młoda i ładna dziewczyna, gdzie i jakim sposobem? — nikt niewiedział. Długo o niéj nic słychać niebyło. Pewnego razu góral zaprowadzony jakąś potrzebą w głębie gór łopuszańskich ujrzał w największéj gęstwi dziewczynę piorącą. Zbliżył się do niéj i poznał, że to była ta sama, o którą się cała wieś troszczyła. Ta poznała go wzajemnie i opowiedziała, że ją dziwożony porwały, zaklinając go, aby ją od nich uwolnił. Naradzono się względem sposobu i stanęło na tém, że w dzień umówiony, kiedy ona znowu prać przyjdzie, góral wyjedzie konno i porwie dziewczynę. Góral dotrzymał słowa; wyjechał, uchwycił dziewkę, i co koń wyskoczył, uwoził do domu. Postrzegły to dziwożony i puściły się takim pędem, że już już go dognać miały, kiedy góral szczęściem wypadł na łąkę, gdzie obficie rosły kwiatki dzwonkami zwane; dziewczyna krzyknęła: trzymaj się dzwonków! — Góral ciągle kierował konia pomiędzy dzwonkami, których dziwożony,

przez jakąś tajemniczą własność tych kwiatków przebywać niemogły; a on tymczasem, gdy dziwożony kołowały, prostą drogą do wsi dostał się.

Jeszcze inna krąży o nich powiastka:

Góral złapał dziwożonę w swojéj rzepie, ale ta mu uciekła, czapeczkę tylko swoję w jego rękach zostawiwszy. Nieboga co wieczór przybiegała pod jego okno i śpiewała żałośnie:

Chłopeczku, chłopeczku, wróć moję czapeczkę,
Niebędę ja chodzić na twoją rzepeczkę.

I póty narzekała, aż on zlitowawszy się oddał jéj czerwoną czapeczkę.

W jaskini leżącéj nad rzeką łopuszańską pod Małą górą jest główne siedlisko dziwożon.

126. Topielec.

Macocha wypędziła z domu piękną i dobrą Marysię, ale sierotę Bóg nieopuścił, bo niebawem znalazła bardzo poczciwego i bogatego pana i poszła za niego. Niepamiętając wyrządzonéj sobie krzywdy, zaprosiła swoją macochę wraz z jéj córką na chrzciny. Ale cóż się robi? Oto złośnice te widząc, w jakiém szczęściu Marysia, i jak ją mąż kocha szalenie, z zazdrości utopiły ją w jeziorze; macocha zaś posiadając czarnoksięzkie sztuki przemieniła własną swą córkę w żonę tego pana; mąż jéj niepoznał, ale poznało nowonarodzone dziecię i żadną miarą niechciało przyjmować piersi. Trzeba więc było chodzić z niém po nad wodą i śpiewać:

Marysiu! rysiu!
Śliwon płacze,
Piersi chacze.

Wtenczas wychodziła matka i łzami zalewając się karmi to dziecię. Dostrzeżono to i występną matkę wraz z córką wskazano na rozszarpanie bronami. Pożałujecie tego! zawołała czarownica prowadzona na męczarnie. Jakoż, lubo sługa codzień nad wodę przynosił dziecię, mimo wszelkie przyzywania i płacze, nieokazywała się matka; albowiem czarownica poniosła z sobą do grobu tajemnicę zaklęcia utopionéj. Ojciec stroskany sam rzucił syna w wodę; a odtąd każdéj nocy słychać nad jeziorem płacz dziecinny i tkliwy śpiéw matki.

127. Dobrochoczy.

Przemieszkuje na Białorusi bożek leśny, zwany Dobrochoczy. Wzrost jego zależy od wysokości drzew, koło których przechodzi; widziano go bowiem zawsze równego z drzewem, przy którém stawał. Nie za złego ducha, ale raczéj za sprawiedliwego sędziego jest poczytywany. Opiekun poczciwych surowo karze występnych. Na wykraczających zsyła najdotkliwsze choroby; wszakże go zawsze przebłagać można; dość na to chleba okrajca i szczypty soli, w czystą szmatkę zawiniętéj. Kto się tego podejmuje, idzie do lasu z osobą cierpiącą, odprawiwszy modły nad owym podarkiem zostawia to w borze wraz z chorobą i słaby zdrowym powraca do domu.

Wiedzieć jeszcze należy, iż kto pierwszy wstąpi w ślad Dobrochoczego, zaraz się obłąka w lesie i wieczorem zaledwie powrócić może do domu.

128. Miawki.

Bogińki te przykrząc sobie w górnych przestworzach, zamieszkanych przez dawnych bogów, każdorocznie zbie-

gają na ziemię, w porze, kiedy zboża zaczynają wysypywać kłosy, a tém samém bezpieczne im zapewniają schronienie; są to dziewice zachwycającéj urody, żywe, wesołe, mimo to jednak okrutne. Na osoby młode, zabłąkane pośród łanów kłosistych, napadają, pochwyconą ofiarę przez różne sztuki wprowadzają w dobry humor, a potém łaskotaniem zmuszają do najgwałtowniejszego śmiechu, póki życia nieskończy. Krwią takiéj ofiary karmią się i różne złości czynią ludziom. Podług podania miały one główne siedlisko na górze Ihrowiszczu; był tam staw przeczystéj wody, w którym lubiły się kąpać, były i ogrody pełne pięknych kwiatów i owoców. Zdarzyło się, iż na swéj górze spotkały pasterza, grającego sobie na skrzypeczkach; oskoczyły go, zawiodły korowód i niechciały go więcéj z swego koła wypuścić. Długo, bardzo długo szukał go brat stroskany, aż wreszcie ujrzawszy stojącego w kole Miawek, napiął łuk i strzałę na nie wypuścił. Tym sposobem uwolnił brata od zaklętego tańca, ale rozgniewane Miawki przeniosły się na Czarną górę w Tureczczyznie, a z nimi błogość i urodzaj gór ruskich.

129. Wodnice (Wandinini).

Gmin litewski utrzymuje, że gdy słońce zajdzie, przy blasku księżyca Wodnice wypływają z topieli, wychodzą na brzegi, śpiéwają i skaczą po łąkach; wtedy ich oczy błyszczą jak gwiazdy, a rozwiane po ramionach włosy brzęczą i dzwonią, jakby daleka muzyka; tym szelestem Wodnice usypiają ludzi, aby ich pląsów i zabaw dostrzedz niemogli. Ktoby jednakże wówczas miał przy sobie kwiat paproci, muzyka duchów niewywarłaby na niego swojego skutku, a Wodnice stałyby się jego niewolnicami i musia-

łyby łowić ryby, polować ptastwa wodne i w susze skrapiać pola swojego pana.

Często także w postaci pięknych dziewic Wodnice bawią nad krynicami i strumieniami i nieświadomych myśliwców zwabiwszy pięknem obliczem, porywają ze sobą w głuche lasy na dno jezior i stawów.

130. Dżuma.

Kiedy dżuma grasuje, całe wsie stoją pustkami, koguty wszystkie ochrypią i żaden niezapieje; psy nawet zaszczekać niemogą; lecz czują z daleka zbliżające się widmo, wtedy warczą na nie, a dżuma drażnić je najbardziéj lubi.

Spał parobek na wysokim brogu siana, a przy nim stała drabina. Noc była widna: nagle, jakby niesiona wiatrem, powstaje wrzawa, w któréj wyraźnie odróżnić można warczenie psów i skowyczenie.

Powstał parobek na nogi i widzi z przestrachem, jak pędzi prosto wysoka niewieścia postać cała w bieli z rozczochranym włosem, a psy za nią. Ale na jéj drodze stał długi płot i wysoki; niewiasta jednym go skokiem przesadza, na drabinę wskakuje, a bezpieczna tém schronieniem, ciągle psom nadstawia nogę, a drażniąc zajadłą gromadę, ustawnie woła: Na goga, noga! Na goga, noga!

Parobek poznał do razu straszliwą dżumę; podchodzi z cicha i obala drabinę. Wysoka niewiasta spada, psy ją porywają: pogroziła mu zemstą i znikła. Młody wieśniak nieumarł, ale przez całe życie nadstawiał nogę i nic innego przemówić niemógł, jeno wyrazy niewiasty: Na goga, noga! Na goga, noga!

131. Pomorek na bydło.

Za dawnych czasów żydzi byli przenajęli białogłowę chrześciańską, aby im mléka chrześciańskiego przedała,

czego ona, gdy się mężowi swemu po długiém namyślaniu zwierzyła, za poradą jego przedała im krowiego. To mléko wzięli żydzi z radością, a chłopa sobie nająwszy do szubienicy poszli, i tam czary i zabobony swoje odprawiwszy, kazali to mléko złodziejowi wiszącemu w ucho lać, nachyliwszy ucha do ucha wisielca onego, a pytając go, coby słyszał? gdy odpowiedział, że słyszy ryk bydła. Zasmuciwszy się, odeszli do onéj białogłowy, łając jéj, iż ich oszukała. Otóż zatém nastąpił on mór gwałtowny bydła dotychczas jeszcze po wszystkiéj Polsce nieuspokojony, a ten na nas Polaków przypaść miał, gdyby była ona białogłowa swego im mléka przedała.

132. Morowa dziewica.

We wsi jednéj na Litwie zjawiła się morowa dziewica, i według zwyczaju przezedrzwi lub okno wsuwając rękę i powiewając czerwoną chustką, rozwiewała śmierć po domach. Mieszkańce zamykali się warownie, ale głód i inne potrzeby wkrótce zmusiły do zaniedbania takowych środków ostrożności; wszyscy więc czekali śmierci. Pewien szlachcic, lubo dostatecznie opatrzony w żywność, i mogący najdłużéj wytrzymać to dziwne oblężenie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich: wziął szablę Zygmuntowską, na któréj było imie Jezus, imie Marya i tak uzbrojony otworzył okno do domu. Szlachcic jednym zamachem uciął straszydłu rękę i chustkę zdobył: umarł wprawdzie i cała jego rodzina wymarła, ale odtąd nigdy we wsi nieznano morowego powietrza. Chustka owa miała być zachowaną w kościele jakiegoś miasteczka.

Powiadają także, że powietrze w postaci niewiasty w białe szaty przybranéj na wysokim wozie o dwóch

kołach objeżdżało wszystkie sioła. A gdy przed który dom przybyła, pokazując zapytywała: Co robicie? — Gdy odpowiedziano: Nic nierobimy, tylko Boga chwalimy; — ponurym dodawała głosem: — Chwalcież go na wieki i w tym domu zaraz niepanowała. Gdy wieczorem gdzie przybyła, a na zapytanie: czy śpicie? odpowiadano: Śpiémy. — Wtedy rzekło: śpijcież na wieki! i całe wymierało domostwo.

133. Miłosław zabezpieczony od morowego powietrza.

Za dawnych czasów, kiedy morowe powietrze sprzątało w Wielkopolsce tysiącami ludzi i już ta plaga zbliżała się do Miłosławia; znalazł się jakiś pobożny starzec, który poradził oborać miasto i wieś przyległą Kembłów, pługiem, ciągnionym przez dwoje ciołków, które krowa na raz urodziła, a poganianym przez dwóch parobków także bliźniąt. Skoro to się stało, morowe powietrze choć naokoło sprzątało ludzi, do Miłosławia nieprzyszło i nigdy go nienawiedzi.

134. Zemsta czarownicy.

Pewna gospodyni była czarownicą. Parobek służący u niéj wiedząc o tém, a przytém ciekawy, jakim sposobem czarownica leci na Łysą górę, we czwartek położył się na ławie przy kominie, udając chorego. Czarownica sądząc, że parobek śpi, wysmarowawszy się maścią, dosiada na pomiotło i wylatuje kominem! Widział to, a chcąc doświadczyć prawdy, zostawioną maścią wysmarował żarna, które natychmiast wyleciały tąż samą drogą; nieprzestając na tém, posmarował cielę, lecz i to z wielkiém zadziwieniem jego wyleciało za żarnami. Już teraz dostatecznie

przekonany, wysmarował się cały i wsiadłszy na łopatę, wyleciał kominem i stanął na szczycie Łyséj góry. Widział tam swoję panią przy hucznéj biesiadzie, jak z innemi czarownicami i djabłami zajadała i piła, a po skończonéj uczcie, jak w pierwszéj parze hasała czartowskiego obertasa. Spostrzegła go nawzajem czarownica, a rozgniewana zdradą i podejściem parobka, zaczarowała go, uśpiła i pałając żądzą zemsty, zaniosła do jednéj piwnicy w Gdańsku, gdzie właśnie téjże nocy złodzieje wykradli bogaty skład wina. Wkrótce schwytano śpiącego parobka, a mniemając, że on był sprawcą kradzieży osądzono na szubienicę, pomimo zaklinania, że jest niewinny. Wyprowadzono go na plac kaźni i już stryczek na szyję mu założono, kiedy parobek przypomniał sobie, że ma jeszcze w kieszeni trochę maści czarownicy, posmarował się zatém, a w téjże chwili porwany pędem wiru, powrócił do domu szczęśliwie i opowiedział swoje zdarzenie.

135. Kochanka sprowadzona czarami.

Wiejski parobek rozkochał się w kowalczance, ale ta o innym myśląc, trapiła biednego chłopaka. Nadaremnie kupował jéj pierścienie, wstążki i chustki. Paraska przyjmowała dary, lecz potém śmiała się z niego. Niemogąc znieść już dłużéj Kiryłło (tak się zwał on parobek) udał się do czarownicy, mieszkającéj o dwie mile; ta kazała mu wystarać się o kosmyk włosów i kawałek płótna z koszuli Paraski. Dopełnił zlecenia, a czarownica poleciła, ażeby o północy przyszedł. Stawił się w oznaczonym czasie parobek, noc była cicha i widna, bo miesiąc jasno przyświecał. Czarownica rozpaliwszy ogień spory na kominie, zaczęła kadzić do koła izbę jakiemiś ziołami, a potém wziąwszy otrzymany kosmyk włosów i kawałek płótna z ko-

szuli Paraski, nad dymem z tych ziół trzymając i jakieś niezrozumiałe szepty odprawując, tak w ostatku zawołała: — Przybądź Parasko! zaklinam się w imie tego, co mocen jest mnie i każdego i ciebie z ziemi do piekła zaraz przenieść na wietrze! przybądź! i okaż się, choćby w postaci konającéj, lub nagiéj, jako cię matka na ten świat porodziła!

Na te obrzędy i wykrzyki drżał parobczak, odwrócił oczy od komina i zaczął się modlić w cichości, ale w téj chwili czarownica wykrzyknęła: „Już jest!“ — Kiryłło słysząc poprzednio świst wichru i wrzaski, jakby podziemne, spojrzał we drzwi, które z trzaskiem na ścieżaj rozwarły się, a Paraska wybladła, spocona, z oczami konającéj, i ściętemi usty tocząc białą pianę, w jednéj koszuli stanęła na progu. Robiła silnie piersiami, jakby ze zmęczenia, lub mocnych boleści. Czarownica porwawszy zioła, zaczęła niémi okurzać Paraskę, a potém siłą roztworzywszy ścięte zęby, wlała jakiegoś napoju kilka kropel w usta, ucięła kosmyk włosów z warkocza i nanowo okurzając zielem, zaczęła szepty odprawiać. Wkrótce znikło widziadło, czarownica oddając mu włosy odcięte: Bądź spokojny — rzekła — idź i niemów nikomu, żeś tu był u mnie; Paraska kochać cię będzie. — Wsiadł na konia parobczak i wrócił do wsi nad samym świtem. Stało się podług wróżby czarownicy, bo kowalczanka zaraz oddała mu swoją rękę; lecz niedługo szczęśliwie żyli. Kiryłło porzucił ją we dwa lata, oskarżył czarownicę, wyznał wszystko pod przysięgą, a babę spalono przed dworem.

136. Bojaźliwy rycerz.

W zamku na środku Wisły, mieszkał rycerz zawołanego męztwa, co wiele bitew wygrał. Czarownica, chcąc

się na nim za coś zemścić, wyjęła mu serce, a natomiast włożyła zajęcze. Pogany oblegli zamek, a rycerz, co zawsze szedł na czele swych znaków, schował się jak podły tchórz, w najgłębszym lochu swego zamczyska. Dworzanie dziwili się wielce, co za powód był téj bojaźni. Po dwóch dniach trwogi, zawstydzony, drżący i potem oblany, wsiadł na koń i zrobił wycieczkę na oblegających; lecz choć jego żołnierze pobili pogan, on pierwszy z pola uciekł. Dworzanie i rycerstwo szydziło z bojaźliwego pana, bo go odtąd najmniejszy hałas straszył. Raz przez otwarte okno wpadła jaskółka i skrzydłem uderzyła go w czoło, a on upadł, jakby kamieniem ugodzony i wkrótce umarł z przestrachu. W kilka lat potém czarownicę, co mu wyjęła chrobre serce, palono; na mękach wyznała wszystko, wtedy każdy żałował zmarłego pana, któremu serce zajęcze wstyd i hańbę przyniosło, a w rychle i zgon przyspieszyło.

137. Urocze oczy.

W powiecie Łocickim we wsi Świniarzew był wieśniak zwany Hryć Gerełła; miał on złe i urocze oczy; na co tylko spojrzał, zaraz się niedarzyło; ludziom i zwierzętom spojrzeniem swojém śmierć niósł i chorobę. Starzec sam w to wierzył, że urodził się z tak nieszczęśliwemi oczyma. Wieśniacy mieli wszelako skuteczne przeciw niemu lekarstwo. Skoro go bowiem który zobaczył, przemawiał następną formułę:

Sól, peczyna *)
Z lichemi oczyma.

I to od uroku broniło. I on starzec uroczy zapewniał, że jak spojrzy w nieszczęśliwéj godzinie na drzewo, to nie-

*) Peczyna, glina przepalana w piecu.

chybnie uschnie: gdyby jednak zawsze pamiętał tę formułę i w chwili, na co się tylko zapatruje, odmawiał, nigdyby oczy jego szkodliwémi niebyły.

138. Charko Makohonik.

Był na Zaporożu młody kozak, co się nazywał Charko, syn także kozaka nazwiskiem Makohona. Charko znany był między swymi z odwagi, a po futorach zamieszkanych od kozaczych żon i rodzin, z urody, znajomości rozlicznych pieśni; i w futorach właśnie, gdzie były młode kozaczki i dziewczęta, Charko był zawsze upragnionym gościem; lecz między niémi była jedna najurodziwsza czarnobrewa, którą kochał Charko i był także kochany całém sercem młodéj ukraińskiéj dziewicy; a na Ukrainie, jak powiadają starzy ludzie, co to byli i w Krymie i w Rzymie i w babińskich karczmach, co się napatrzyli różnych rzeczy na białym świecie, nie tak kochają się młode dziewczęta, jak w Polsce, albo w Moskwie; to, co tam udają za kochanie, to w Ukrainie niebyłoby małém przywiązaniem, i tak być musi, gdyż serca ukraińskich dziewic niekochają nikogo ani dla złota, ani dla niczego, tylko dla saméj potrzeby kochać i być kochaną; otóż tedy takiém kochaniem Charko był lubiony; ale Charko był kozak regestrowy i nie zawsze mógł robić co chciał; rzadko więc bywał u swojéj kochanki, lecz wtenczas kiedy bywał, był z radością przyjmowany od niéj i jéj matki; najbielsze kołacze, najtłuściejsze knysze, piérogi i pieczone kury zastawiano przed niego, a on podjadłszy i podpiwszy, śpiewał swéj lubéj rozmaite pieśni, lub wycinał z nią raźne hołubce. Tak było długo, gdy raz w późnéj godzinie Charko przyjechał do swéj miłéj, przywiązał konia do płotu, a sam wszedł do izby; był czegoś niewesoły; darmo go po da-

wnemu przyjmowano, jadł i pił, lecz był niewesoły; — darmo kochanka go przyjmowała wejrzeniem, darzyła go słodkim uśmiechem i białą dłoń zostawiała na długo w szorskiém jego ręku, on na to wszystko okazywał współczucie, lecz był jeszcze nieweselszy; — nakoniec blisko północy powstał z za stołu i żegnając swą lubą powiedział: że nie prędko wróci, gdyż pójdzie z kozakami na wojnę. Dziewcze wieść tę przyjęło z uśmiechem, nie bez wzruszenia jednak; prosiła go, aby jéj z wojny poprzywoził dary i aby o niéj niezapominał; wszystkie te prośby kochanki przyrzekał Charko spełnić i powątpiewanie z jéj strony rozpędził taką przysięgą: Szczob ja sim lit wowkułakom stawsia, koły myszlu tobi zdradu. Powiadają, że gdy to wymówił, ktoś się pod oknem chaty roześmiał; była to wiédma czyli satana i koń Charka od niéj nastraszony zarżał. W kilka dni potém Charko już był na wojnie. Nadchodziła jesień; Zaporożcy wrócili z wyprawy; lecz Charko z nimi niewrócił i gdzie się podział, nikt o nim niewiedział. Zasmucona dziewica daremnie rozpytywała powracających z wyprawy kozaków. Płakała dnie i noce, lecz daremnie płakała. Oczy wypatrzyła po dróżynach i ścieszkach wijących się po dolinie i pagórkach futorowi przyległych. Charka niebyło, niewracał; przeszły jesień, zima, wiosna i lato, i znów jesień, zima, wiosna i lato, a o Charku ani wieści. W tém dziewcze dowiaduje się, że w sąsiednym futorze jest wróżka, od niéj więc postanowiła dowiedzieć się o losie swego miłego. Jakoż pewnego razu o świcie, gdy matka jeszcze spała, pobiegła do wróżki, zaniosła podarek i powiedziała: Powiedz mi wróżko, czy kozak Charko, brat mój, żyje jeszcze? a jeśli żyje, czemu niewraca? — Wróżka rzuciła fasolę na sito, rozgarnęła na kupki, brała potém z każdéj z nich po jednej fasolce, potém znowu mięszała, zno-

wu dzieliła, znowu zbierała i tak, aż do trzech razy, potém rzekła: Charko kozak tobie ani brat, ani swat, a tylko twój kochanek. On żyje w dalekiéj ztąd krainie, przestań go kochać, bo on o tobie zapomniał przy białolicéj Laszce. Dziewczyna na te słowa ręce załamawszy zawołała z płaczem: Kochana wróżko, a niemożnaby go ztamtąd sprowadzić? — Można, odrzekła wróżka — przyjdź jeno jutro tak rano, jak dzisiaj do téj opuszczonéj chaty, co tam za futorem stoi na pół rozwalona; a jeszcze jutro Charko będzie przy tobie. — Stało się, jak wróżka kazała: wnet po północy dziewczyna już była na oznaczoném miejscu, lecz czarownica, (taką bowiem była owa wróżka) niedała się uprzedzić, już ją dziewczyna zastała siedzącą przy ognisku nad garnkiem wrzących ziół, szepcącą tajemnicze słowa. Gdy weszła dziewczyna, czarownica powiedziała: w sam czas moja droga przychodzisz, twój Charko już się wybiera w podróż, teraz już go nudzi, on tęskni, a za chwilę będzie w drodze, jakże chcesz, czy mieć go żywcem, czy żeby choć cząstkę mieć jego na znak? bo gdy żywcem, to go puszczę górą nad lasy i góry, a gdy o znak tylko chodzi, że nieżyje, to go puszczę niżéj, aby się rozbił o lasy i góry. Niech żywy wróci, odrzekła dziewczyna. Czarownica z pęku kwiatów wydobyła jakiś suchy badylek i kładąc go pionowo we wrzący garnek, coś sobie szeptała; dziewcze blade i drżące siedziało na progu chaty; niebawem dało się słyszeć wołanie: pić, pić, pić, ach wody! — Gdy głos ten stał się wyraźnym, tak, że z niego można było miarkować, iż jest wprost nad chatą, czarownica szeptać przestała; wyjęła zwolna z garnka badylek; ogień zgasiła, a dziewczyna już uwiesiła się na ramionach Charka; lecz młodzieniec stał jak martwy, zimny, blady, drżący, odpychał jednak swą kochankę wymawiając te słowa; precz czarownico! Dziewczyna z razu go

przepraszała, ogrzewała mu ręce i lica całunkami, on zawsze mówił: puść mię czarownico! W rozpaczy dziewcze przeklinało niewiernego, wyrzucało mu zdradę, jęczała, płakała; Charko z pogardą na wszystko odpowiadał: przeklęta czarownico! Żal wreście przebrał miarę; dziewczyna prosi staréj czarownicy, aby niewiernego zmienić w wilkołaka. Stara daje jéj zaklęty sznurek. Wówczas dziewczyna raz jeszcze ponawia swe prośby i groźby, a gdy te nic niepomagają, dany sobie sznurek zawiązuje na szyi kozakowi i wnet znikł człowiek, a dziewczynę rozdzierało rozjuszone wilczysko. — Stara czarownica zemknęła na kociubie kominem. Mówiono potém w sąsiednych foturach, że tego dnia okropnie wył wilk około pustki, gdzie znaleziono rozdarte ciało dziewczyny, był to jéj pogrzeb; wycie to powtarzało się każdy wieczór i ranek, a w całéj okolicy zaczęto mówić o szkodliwym wilkołaku, który porywa i zabija, oprócz dobytku, dzieci i dziewczęta. Jedną razą w siedm lat po tém zdarzeniu przyszedł do kosza zaporozkiego człowiek, mianujący siebie kozakiem Charkiem Makohonikiem; był obdarty, zmieniony, wynędzniały. W tém koledzy go poznali i gdzieby bywał, co porabiał? pytali. On im opowiedział wszystko, jak było i tém kończył, że wczoraj dopiero, kiedy wilkołakiem jeszcze przedzierał się przez tarniny, sznurek mu na szyi rozerwał się i on znowu został człowiekiem.

139. Zaklęte wesele.

W województwie podlaskiém, we wsi Chłopkowie niedaleko Łosic, w czasie obrzędu weselnego, przyszła rozgniewana czarownica w chęci zemszczenia się i przemienienia nowożeńców w wilkołaki. Jakoż pas, którym się w stanie przewiązywała, skręciwszy, pod próg domu

podłożyła i nadto kręciła łyka z lipiny i warzyła i tą wodą ludzi podlała. Skoro nowożeńcy z drużyną weselną przeszli próg domowy, pan młody z kniahinią i sześcią drużbami przemienieni w wilkołaki, uciekli z chaty i trzy lata wilkami byli. Przez cały ten czas podbiegali pod mieszkanie czarownicy, wyjąc przeraźliwie. Gdy nadszedł dzień mający być końcem ich ciężkiéj pokuty, zgromadzeni przed progiem złéj baby, wyli żałośnie; czarownica wyszła z izby z kożuchem wełną na wierzch obróconym i każdego nim z osobna okrywając, przy wymawianiu zaklęć tajemnych, przywracała nazad do postaci człowieczéj. Lecz, że panu młodemu nieokryła kożuchem ogona, chociaż wrócił do ludzkiéj postaci, ogon mu wilczy pozostał; aż w dni kilka czarownica tymże sposobem uwolniła go od téj zbytecznéj ozdoby.

140. Porwana dziewczyna.

W uroczystość dożynek grała muzyka nad brzegiem Wisły, a parobcy i dziewki skoczny zawiedli taniec. W tém krzyk przeraźliwy zagłuszył muzykę i śpiéwy; poskoczono w stronę, zkąd krzyki powstały i ujrzano, jak wilkołak unosił w paszczy najpiękniejszą dziewkę. Rzucili się za nim parobcy, ale potwór złożywszy porwaną, zuchwale stanął do obrony. Przestraszeni i bezbronni, niewiedzieli co czynić i stali jak wryci, a tymczasem wilkołak porwał swą zdobycz i w największym pędzie uciekł do lasu.

Lat pięćdziesiąt upłynęło od téj przygody, gdy na témże miejscu bawiąc się młodzież, spostrzegła siwizną okrytego starca. Zaproszony do zabawy usiadł w milczeniu i wychylił kubek wódki, który mu podano. Równy mu wiekiem jeden z gospodarzy, powitał nieznajo-

mego i wszedł z nim w rozmowę, a po krótkiéj chwili wpatrując się w niego zawołał: Tyżeś to mój bracie! — poznał w nim bowiem starszego brata, który gdzieś się podział przed pięćdziesiąt laty. Dopiero ów starzec opowiedział, jak zmieniony przez czarownicę w wilka, porwał swoję kochankę na tém samém miejscu podczas dożynek, jak żył z nią cały rok i jak mu potém umarła.

— Odtąd, mówił daléj — rzucałem się na wszystkich i pożerałem. Lat cztéry, jak się błąkam w postaci człowieczéj, chciałem was jeszcze raz zobaczyć, bo teraz — och uciekajcie! znowu mam zostać wilkołakiem.

Ledwo domówił, gdy zmieniony w wilka zawył przeraźliwie i znikł na zawsze w pobliskim lesie.

141. Parobek wilkołakiem.

Czarownica rozkochawszy się w młodym parobku, daremnie chciała pozyskać jego wzajemność, nakoniec rozgniewana tą wzgardą, zaprzysięgła mu zemstę. Jakoż spotkawszy go jadącego do boru po drzewo, zapowiedziała mu, iż za pierwszém cięciem siekiéry, zamieni się w wilkołaka.

Niezważał zrazu parobek na te groźby, lecz skoro przybył do lasu, a cięciem silném rąbnął w drzewo, siekiera wypadła mu z ręki. Przestraszony tém zdarzeniem spojrzy i widzi, że ręce jego zmieniły się w wilcze łapy. Bezprzytomny zaczął biegać po lesie, a natrafiwszy zdrojowisko, przejrzał się i postrzegł, że cały zmienił się w wilka. Pospieszył do swoich wołow, ale te przestraszone, uciekają od pana. Chciał je zatrzymać znajomym głosem, lecz zamiast głosu ludzkiego zawył przeraźliwie. Widząc tedy, jak się sprawdziły pogróżki pogardzonéj czarownicy, niemogąc mimo przemiany

w wilka oderwać się od strzechy rodzinnéj, błąkał się po okolicy. Nadaremnie usiłował przyzwyczaić się do surowego mięsa: niemógł tego przemódz na sobie, a tém bardziéj niemógł się żywić ludzkiém ciałem.

Dla tego zaczął straszyć pasterzy i żniwiarzy, którym wyjadał chléb, mleko i inne potrawy.

Lat kilka tak przebywszy uczuł do snu pociąg nadzwyczajny; położył się więc i zasnął. Ale jakież jego zdziwienie, kiedy po obudzeniu, ujrzał się w postaci człowieczéj.

Uradowany z swego odczarowania, jak stał nagi, tak leciał do swego sioła; ale krótka była jego pociecha, bo w domu rodzice już pomarli, dziewczyna, którą kochał, poszła za innego i miała czworo dzieci; a przyjaciele dawni pomarli, drudzy w świat poszli.

142. Niewierna żona.

Pewien gospodarz, który przez lat siedm był wilkołakiem, odpokutowawszy swój czas, przemieniony został na powrót w człowieka. Spiesząc co tchu przez cały dzień do domu, gdzie był zostawił żonę i kilkoro dzieci, już dobrze pod wieczór przybył i zaczął stukać do drzwi zamkniętych.

— Kto tam? zapytano z chaty. Gospodarz poznawszy głos swéj żony, odpowiedział: To ja, twój mąż!

— Wszelki duch chwali Pana Boga! Mężu! wstawajcie — zawołała wystraszona niewiasta; a gospodarz ujrzał przed sobą swego dawnego parobka, który się z jego żoną ożenił, a teraz wybiegł z widłami odpędzić złego ducha. Oburzony tém gospodarz, wykrzyknął z rozpaczą: O czemuż niejestem wilkołakiem, żebym ukarał niewierną i nieczułą mego nieszczęścia!

Stało się zadość jego życzeniu, bo napowrót przemieniony w wilka, z wściekłością rzucił się na żonę karmiącą dziecko z drugiego małżeństwa i pokaleczył ją śmiertelnie.

Na jęki nieszczęśliwéj niewiasty zlecieli się sąsiedzi i uderzyli na drapieżnego zwierza, który padł pod licznemi razami. Po odniesioném zwycięztwie, gdy przy świetle zaczęto przyglądać się zwierzęciu, postrzeżono, że zamiast wilka, leżał zabity gospodarz, co zniknął przed siedmią laty, a o którym wieść biegała, że był wilkołakiem. Żona jego wkrótce z zadanych ran umarła.

143. Kupiec poznański wilkołakiem.

Ridt, kupiec poznański, trzymając się wyznania luterskiego i mając dom swój naprzeciwko nowego klasztoru Benedyktynek, niechętnie słuchał śpiewania zakonnic i w gniewie raz wyrzekł: wolałbym zdechnąć, niż słyszeć te wilcze głosy. Wkrótce potém nagle umarł, a w sam dzień rocznicy jego śmierci, gdy czeladź jechała przez las, w którym był skonał, aż oto wypada wilk srogi i zaczyna ją gonić. Kiedy się zatém ludzie Ridta do broni na zwierza porywają, on rzecze: Stójcie, jam jest nieszczęsny pan wasz Ridt, którym na tém miejscu tak rok nagle zdechł, jakom sobie życzył, pierwéj niźlibym usłyszał zakonnice śpiewające, które, żem zwał wilczycami, za to w téj postaci aż do dnia sądnego chodzić będę i jestem wiecznie potępionym.

144. Mądry Uburtis i djabeł.

Każdego razu, kto tylko przechodził mimo góry Dżuga, postrzegał tam Niemczyka w kusym fraczku przeska-

kującego z drzewa na drzewo. Wszyscy tę górę omijali ze strachem; bo kto tylko do niéj się zbliżył, wnet go duch nieczysty w rozmaite wyzywał zakłady, a po przegraniu porywał i dusił. Jeden więc odważny wieśniak imieniem Uburtis, przyszedł do bagna leżącego tuż przy górze i począł pleść łapcie dla siebie z łyka łoziny rosnącéj w tamtém miejscu. Po kilku chwilach przychodzi djabeł.

— Co tu robisz człowiecze?

— Łapcie plotę.

— Któż ci to pozwolił?

— Kiedy co robię, nikogo o pozwolenie nie pytam.

— Jak śmiesz na mojéj ziemi i z moich drzew zdzierać łyko; ja jestem panem tych okolic, jeżeli więc niewygrasz zakładów, jakie ci przełożę, natychmiast zginiesz.

— Zgoda; a gdy wygram, co mi dasz?

— Kapelusz pieniędzy.

— Jakiż więc będzie pierwszy zakład?

— Spróbujemy się, kto silniejszy.

— Dobrze.

— No! mocujmy się.

— Dałbyś sobie pokój, co tobie zemną się porywać, kiedy ty nawet mojego stuletniego dziada, który oto o kilka kroków śpi, niezmożesz.

To mówiąc Uburtis, wskazał na leżącego niedźwiedzia. Djabeł poskoczył ku niemu i chwycił oburącz za szyję. Niedźwiedź rozjątrzony rzucił Niemczyka o ziemię i począł chłostać swą łapą. Zmordowany, zbity, ledwie się wydobył biédny djabeł z uścisków niedźwiedzia.

— No, jeden zakład wygrałeś; teraz drugi: rzucajmy, kto daléj zarzuci; to mówiąc, porwał blisko leżący ogromny kamień i cisnął w powietrze, kamień spadł za trzy godziny. Uburtis zaś miał w ręku skowronka i pu-

ścił; głupi djabeł rozumiał, że to kamyczek. Czekają godzinę, czekają drugą, trzecią, czwartą, piątą i jeszcze dłużéj — niespada.

— Wygrałeś człowiecze drugi zakład; teraz trzeci: kto z nas prędszy; ty uciekaj, ja będę gonił.

— Co tobie djable ze mną się porywać, ty nawet mego dziecięcia urodzonego wczoraj niedopędzisz; jeźli chcesz, spróbuj się z niém. To mówiąc, postraszył w łomie leżącego zająca; zając skoczył i począł zmykać. Łapaj! łapaj!

Djabeł popędził za zającem i nic niewskórawszy, powrócił.

— Twoja prawda, człowiecze, wygrałeś. No, jeszcze ostatni zakład i pieniądze będą twoje. Oto widzisz tę kulę, waży ona funtów sto tysięcy; kto ją z nas wyżéj wyrzuci?

— Ty naprzód próbuj djable.

Djabeł chwycił kulę jedną ręką i wyrzucił tak wysoko, iż z oczu zniknęła, a gdy spadła, połowa zaryła się w ziemi.

— Teraz na ciebie koléj człowiecze.

Człowiek przyłożył rękę do kuli i począł się przypatrywać obłokom, które po niebie się przesuwały.

— Czegoż się tak przypatrujesz? rzekł djabeł.

— Czekam, aby ta ogromna chmura nadeszła. Mój brat jest w niebie kowalem i teraz bardzo potrzebuje żelaza; on siedzi za témi obłokami i czeka, abym mu kulę podał.

— Ach! zmiłuj się dobry człowiecze, nierzucaj; ona mi jest bardzo potrzebną, Wiém, że jesteś silny. Wygrałeś wszystkie zakłady, a więc daj mi swój kapelusz dla napełnienia go złotem.

— Dobrze, chodź ze mną w głąb lasu, a tam mi oddasz należną kwotę.

Człowiek miał już od dawna wykopaną ogromną jamę, nad którą postawił swój dziurawy kapelusz; zakrywszy darniną wszystkie na około otwory, aby djabeł jego sztuki niepoznał.

— Oto panie djable mój kapelusz, syp pieniądze.

Djabeł wsypał jeden wór złota: w kapeluszu ani znaku; przyniósł drugi, ani znaku; wysypał trzeci, czwarty, dziesiąty, setny; a gdy już napełniło się miejsce w jamie, napełnił nareszcie i kapelusz.

Od tego czasu nigdy djabeł niepokazał się na górze Dżuga. Uburtis zaś stał się bogatym: zbudował sobie nowy dom, nakupił miodu, wódki i codzień pił krupnik i ja u niego byłem, jadłem i piłem, przez brodę ciekło, a w zęby się niedostało.

145. Chłopski rozum.

Jeden chłop zostawszy bardzo ubogim, gdy niemiał innego sposobu, sprzedał djabłu duszę za pieniądze; wszelako przy kupnie położył warunek, że wtedy będzie do niéj miał prawo, kiedy wszystkie liście opadnie z drzewa. Djabeł przystał, myśląc, że w jesieni przyjdzie, jak po swoję; ale gdy jesień nadeszła i djabeł przyszedł upominać się, chłop pokazał mu sosny zawsze zielone i zadrwił sobie z niego. — Inny znowu wieśniak brał od djabła złoto na miarę ćwierci bez dna, pod którą był dół głęboki, a w terminie oddał tą ćwiercią, ale dno wprawiwszy. — Z innym chłopem stracił djabeł na współce w ten sposób: Poczęli razem warzyć piwo: chłop smaczne zrobił, a djabeł, co mu pomagał, gdy cały war był w kadzi, rzekł; dzielmy się teraz. — Dzielmy, kmieć odpowie i zabiera z wierzchu z musem piwo, djabłu drożdże zostawiwszy. Widzi djabeł, że źle, a gdy się

kurczy pocierając żywot, co go bolał, gdy się opił drożdży burzących, rzekł znowu: Siejmy i zbierajmy razem. — Dobrze, odrzekł chłop i zasiał rzepę. Djabeł już teraz mądrzejszy, bierze z wierzchu; dostały mu się liściaste nacie, a chłopu smaczna rzepa. Źle! pomyślał sobie biés; pomszczę się na chamie: daléj kmotrze! rzucajmy się w górę, kto z nas mocniejszy? I porwał chłopa, zamiótł po piasku, rzucił w górę, aż nad komin swojéj chałupy wyleciał. Mocnyś djable — rzekł kmieć, co zbladł nieco, bujając tak wysoko; — teraz na mnie koléj i porwał djabła w poły, ścisnął, ale miasto rzucić, w górę wlepił oczy, patrzy się w miesiąc, co był w pełni. Zdziwiony djabeł pyta: czego tam ślepisz? Patrzę mój kmotrze, czy się mój rodzic na miesiącu niepokaże, co cię, jak rzucę, odbierze. Djabeł na to w przestrachu wyrwał się z rąk chłopa i uciekł jak oparzony.

146. Wesele zamienione w wilkołaki.

Przez jednę wieś nad Bugajem przechodził żołnierz w czasie wesela. Pan młody rozgrzany trunkiem, wybiegłszy z chaty poszczuł go psami. Oburzony żołnierz niegościnnością zawołał drżąc z gniewu: „Pamiętaj! ty, co mnie szczujesz psami, zobaczysz, jak na ciebie będą te same psy szczekać.“ — To wymówiwszy, zaklął całe wesele w wilkołaki, które wiele szkody w bydle narobiły i niemało ludzi pożarły. Późniéj w trzy lata, w czasie obławy na wilki, zabito trzech wilkołaków zaklętych z owego wesela. Dowody były oczywiste, albowiem pod skórą jednego z nich znaleziono skrzypce z całym przyborem grajka; pod skórą drugiego strój pana młodego, u trzeciego zaś panny młodéj. Przed tą jeszcze obławą, skoro wieść o tym wypadku zaczęła się rozcho-

dzić, jeden z śmielszych ruskich wieśniaków postanowił odczarować te wilkołaki i przywrócić im postać ludzką. W tym celu wziąwszy z sobą prosię pieczone, chléb i widły chodził po okolicy, ale szukał ich daremnie. Gdyby którego napotkał, miał rzucić chléb i prosię, a gdy wilkołak żarłby to z chciwością, uderzyć go miał widłami między ślepie i takim sposobem wrócić mu ludzką postać.

147. Paproć.

Paproć kwitnie tylko o północy w dzień Św. Jana i to jedną krótką chwilkę, bo zaledwie kwiat się pokaże, natychmiast niknie; który człowiek byłby tak szczęśliwym, iżby dostał kwiatu paproci, (co ma być tak drobnym, że za paznokciem wygodnie zachować się może) nietylko znalazłby ogromne skarby, których djabeł pilnuje, ale nadto ciemna zasłona przyszłości niezakrywałaby oczom jego nieprzewidzianych zdarzeń i wypadków; słowem byłby tak, jak za czasów Pana Jezusa. Ale napróżno wielu kusiło się o tak ważną zdobycz, napróżno umyślnie czatowano. Okropność, jaka towarzyszy chwili rozkwitania kwiatu paproci, najodważniejszych i siły i przytomności pozbawiła. Skoro bowiem przyszła północ i chwila rozkwitania cudownego kwiatu, straszne trzęsienie ziemi, bicie piorunów, przy jaskrawych błyskawicach, wycie wichru i śmiech djabelski towarzyszą ciągle.

Jeden wieśniak dostał go mimowolnym sposobem. Szukał on od dni kilku zbłąkanéj krowy. Właśnie w przedjutrze Św. Jana szedł zasmucony o północy, gdy przypadkiem w łapcie wpadł mu kwiat paproci. Natychmiast znalazł obłąkaną krowę, dowiedział się o skrytych rozlicznych skarbach i cała przyszłość w widnéj postaci stanęła mu na oczy. Biedak niewiedział, że ma

kwiat tak cudowny. Wróciwszy do domu rozzuł się z łapci i kwiat zgubił. Po téj stracie przyszłość mu znowu ściemniała, jak dawniéj, zapomniał o skarbach i tę tylko korzyść odniósł, iż znalazł zbłąkaną krowę.

148. Początek wierzby.

Niewiasta pewna nazywająca się Blinda, miała szczególny dar wydawania na świat mnogiego potomstwa z niewypowiedzianą łatwością, tak dalece, że nietylko sposobem przyrodzonym rodziła, ale z rąk, nóg, głowy i innych części ciała wydawać mogła dzieci. Ziemia, najpłodniejsza z matek, pozazdrościła jéj takiéj płodności, przeto razu jednego, gdy szła Blinda przez łąkę, która grzązką była, nogi jéj uwięzły w ziemi i tak mocno ziemia ścisnęła stopy, że z miejsca zejść niemogła i przemieniła się w drzewo wierzbowe. To dało powód, iż między gminem uważają wierzbę za drzewo święte i przypisują jéj zbawienny wpływ na płodność.

149. Homen.

Rusin jeden straciwszy żonę i dzieci przez dżumę, uciekł w lasy z opustoszałéj chaty i tam szukał ocalenia. Błądził dzień cały; nad wieczorem zrobił z gałęzi budę, rozpalił ognisko i strudzony usnął. Już było po północy, gdy go mocny odgłos zbudza. Staje na nogi, słucha: jakieś go śpiewy dochodzą z dala, a przy śpiéwie głos bębenków i piszczałek. Słucha dziwiąc się, że gdy w koło śmierć gracuje, tam się cieszą tak radośnie.

Odgłos słyszany zbliżał się coraz i wystraszony wieśniak ujrzał szeroką drogą ciągnący się homen. Był to orszak mar dziwacznych, co staczał wóz w około; wóz

był czarny i wyniosły, a na nim siedziała dżuma. Za każdym krokiem coraz zwiększała się straszliwa drużyna: bo po drodze wszystko niemal przerzucało się w widmo.

Słabo tlało jego ognisko; głownia spora dymiła jeszcze nieco: zaledwo zbliżył się homen, głownia stanęła na nogach, wyciągnęła dwa ramiona, a zarzewie zajaśniało dwoma błyszczącemi oczyma i razem z innémi śpiewać zaczęło.

Osłupiał wieśniak: w niemym przestrachu porywa siekierę i najbliższą chce uderzyć marę; ale siekiera z rąk mu ulata, przerzuca się w wyniosłą niewiastę z kruczym warkoczem i śpiewając powiała mu przed oczyma. Homen szedł daléj, a Rusin widział, jak drzewa, krzaki i sowy i puhacze wysokie przybierając postacie zwiększały ten orszak, straszny zwiastun okropnéj śmierci. Upadł bez siły; a gdy rano ciepło słońca go zbudziło, sprzęty, jakie uniósł, były połamane i potłuczone, odzienie podarte, jadło zepsute. Poznał, że nie kto inny, jak Homen tyle mu psot wyrządził i dziękując Bogu, że choć z życiem ocalał, poszedł daléj szukać przytułku i jadła.

150. Madej.

Jechał kupiec przez las gęsty, ciemny: błądził długo i w pomroce nocnéj ugrzązł w bagnie bez ratunku. Zasmucony począł rozpaczać, gdy nagle w postaci ludzkiéj zły duch mu się pokazał.

— Niesmućcie się człowieku! — wyrzekł do kupca; — ja was wyciągnę z błota i do domu wskażę drogę; ale pod warunkiem, że to, co masz w domu, a o czém ty niewiesz, moją zostanie własnością.

Kupiec pomyślał trochę i przystał rad na podany warunek, niewiedząc, że żona powiła mu podczas, gdy

był w podróży, urodnego syna. Djabeł wyciągnął go z błota, wyprowadził na szeroki gościniec, a zmusiwszy kupca do wydania cyrografu, raz jeszcze umowę przypomniał i zniknął.

O ile z radością powitał żonę tak dawno niewidzianą, o tyle zasmucił się widząc ładnego syna, którego już złemu duchowi zapisał. Skrycie płakał nieraz poczciwy kupiec, tając łzy gorzkie przed żoną: tymczasem dziecię w pacholę wyrosło.

Było ciche, spokojne i chętne do nauk: w piątym roku już dobrze czytało i pisało, co tém więcéj strapione serce ojca jątrzyło, że z dziecięciem tak lubém wkrótce się rozstać musi, oddając na ofiarę djabłu.

Małe pachole doszedłszy lat siedmiu, uważało smutek ojca i łzy rzewne, ile razy zapatrywał się w jego urodne oblicze. Tyle przeto prosił, tyle nalegał, że kupiec wyjawił mu wszystko.

— Nietroszcz się mój rodzicu: Bóg mi dopomoże, ja pójdę do piekła i cyrograf odbiorę.

Płakała matka, płakał i ojciec błogosławiąc na tak daleką drogę chłopczynę, który zrobiwszy potrzebny przybór, niebawem wyruszył z domu.

I szedł długo i daleko, aż zawędrował w puszczę ciemną i straszną, a tu w jaskini ukrytéj zamieszkał rozbójnik Madej.

Morderca własnego ojca, matkę jedno zachował przy życiu, co mu gotowała strawę. Nikomu niepodarował życia; kogokolwiek dostał, bez litości zabijał. Matka, podeszła niewiasta, zabłąkanych podróżnych w jaskini przechowywała; ale Madej miał węch tak doskonały, że wracając do jaskini, zaraz zwietrzył ludzkie mięso.

Chroniąc się przed burzą, przypadkiem zaszło tam nasze pachole: stara litując lat młodych, ukryła go w cia-

snym zakątku jaskini; lecz Madej zaledwie wpadł do niéj, poczuł świéżego człowieka. Już biedne dziecię nachyliło głowę pod zabójczą pałkę, kiedy rozbójnik dowiedziawszy się gdzie idzie, podarował mu życie z warunkiem, ażeby zobaczył w piekle, jakie dlań zgotowano po śmierci męczarnie.

Pachole równo ze świtem opuszczając jaskinię, prędko dostało się do piekielnéj bramy: święconą wodą i obrazkami, które przylepiał, otworzyła się snadnie. Zaskoczył mu Lucyper z zapytaniem: czego żąda?

— Cyrografu na moję duszę przez ojca mego wydanego.

Hetman piekielny kropiony święconą wodą, chcąc go pozbyć czémprędzéj, wydać cyrograf rozkazał; ale trzymał go jeden kulawy djabeł, a choć parzony kropidłem święconéj wody, niechciał wrócić cyrografu.

Rozgniewany Lucyper: Weźcie go na Madajowe łoże! zawołał; a djabeł przestraszony okropną męką, oddał pismo w téjże chwili.

Ciekawy chłopczyna poszedł zobaczyć tak straszliwe łoże. Było z żelaznéj kraty, wysłane ostremi nożami, igłami i brzytwami: pod spodem palił się ogień nieustanny, a z góry kapała kroplami rozpalona siarka. Wyszedł z piekła i szedł dzień jeden, dzień drugi, aż trzeciego zaszedł do téjże jaskini, gdzie go już oczekiwał zasmucony Madej. Doniósł więc o tém, co widział, rozbójnikowi. Zmartwiał z przestrachu zbrodzień, a chcąc tak srogiéj męczarni uniknąć, postanowił pokutować.

Wyszli więc razem z jaskini; Madej ukląkł w lesie, zatknął w ziemi przy sobie morderczą maczugę, wiedząc zaś, że młode pachole poświęciło się na księdza, przyrzekł, iż dopóty czekać będzie na tém samém miejscu, dopóki niezostanie biskupem.

Minęło lat kilkadziesiąt, nim on chłopczyna wyszedł na dostojność biskupią.

Raz przejeżdżając puszczę ciemną i gęstą, niezajrzaną okiem, doszedł go jabłek zapach przyjemny. Rozkazuje więc swéj służbie tego owocu wyszukać; dworzanie wkrótce wracają i donoszą, że w pobliżu jest piękna jabłoń, ale żadnego nieda sobie urwać jabłka, przy niéj zaś klęczy starzec siwobrody.

Biskup wysiada z powozu, idzie na wskazane miejsce i z podziwieniem poznaje Madeja, okrytego siwizną, z długą, do ziemi zarosłą brodą, który go o wysłuchanie spowiedzi i rozgrzeszenie prosił. Przychylił się kapłan do jego prośby, a dworzanie z osłupieniem widzieli, jak w czasie spowiedzi jabłko po jabłku zamienione w białe gołąbki znikały w powietrzu. Jedno tylko pozostało jabłko, była to dusza ojca Madeja, którego sam zamordował, a ten grzech ciężki utaił: lecz, gdy wyznał i ten grzech ostatni, ostatnie jabłko przemienione w siwego gołąbka za innémi uleciało.

Modlił się gorąco biskup nad grzesznikiem; a gdy dał mu rozgrzeszenie i trącił palcem, ciało Madeja w drobny proch się rozsypało.

151. Iskrzycki.

Pewien pan w okolicach Tarnowa, potrzebował ekonoma. Jak raz jawi się nieznajomy człowiek, powiada, że się zowie Iskrzycki i prosi, aby jemu ten obowiązek powierzono. Pan przystaje; przychodzi do umowy, późniéj do zgody, nakoniec do kontraktu: już i kontrakt podpisany, już go pan wręcza nowo przyjętemu, kiedy z nienacka postrzega, że Iskrzycki nieludzkie ma pazury.

Zmięszał się obywatel, waha się jakąś chwilę, w końcu zrywa całą umowę i służbę Iskrzyckiemu wypowiada. Ale Iskrzycki ani da sobie mówić o odprawie; przysięga, że raz podpisawszy kontrakt, musi, mimo woli pana, dopełnić wszystkich jego warunków: z tém zapewnieniem wychodzi i ginie.

Odtąd niepokazał się już nikomu, ale obrał sobie mieszkanie w piecu i ztamtąd wszystkie usługi najgorliwiéj na każde zawołanie pełnił. Państwo bali się z początku; lecz z wolna tak przywykli do niewidomego sługi, tak byli pewni jego dobrych chęci, że wyjeżdżając z domu, oddawali mu dzieci w dozór.

Z tém wszystkiém saméj pani swędziło gadanie sąsiadek, że w domu swoim djabła przechowuje: nastaje tedy na męża, aby na czas pewny przemienić mieszkanie. Mąż wypełnia wolę żony i bierze dzierzawę gdzieś za Wisłą: wyjeżdżają na nowe siedlisko, radzi, że z djabła zażartowali. W drodze wypadło przebywać jakieś miejsce, tak złe, czy niebezpieczne, że pani krzyknęła ze strachu; aż tu za powozem dało się słyszeć:

— Nie bój się pani! Iskrzycki z wami.

Zdumieni państwo pomiarkowali, że niebyło sposobu rozstania się z tak wiernym sługą; wrócili do domu i żyli z nim w dawnéj zgodzie, póki termin kontraktu przeznaczony nierozłączył ich na zawsze.

152. Boruta.

Zamek łęczycki stoi śród błót nad Bzurą; w jego lochach siedzi djabeł Boruta i pilnuje ogromnych skarbów. Krąży o nim takie podanie.

Pewien ksiądz z Łęczycy zaproszony, jadąc na obiad, przy pacierzach porannych, przewidując, że niebędzie

miał czasu, odmawiał i modlitwy nieszporne. Właśnie przebywał groblę śród błota, gdy napotka wieśniaka, który go z rubaszną pozdrawia miną i temi słowy: Dobry wieczór księże! Zdziwiony pleban odpowiada: A wszakże to nie wieczór, ale rano. — Na to wieśniak rzecze z szyderstwem: Musi być wieczór, kiedy już po nieszporach! —

Przelękniony pleban poznał z kim rozmawia i prędzéj pojeżdżać kazał. Był to Boruta, co przybrał na się postać rubasznego wieśniaka.

Inną razą Boruta uprzykrzywszy sobie siedzieć na skarbach w lochach łęczyckich, umyślił przejść się po okolicznéj szlachcie. Przypadkiem trafił na wesele, pił i hulał; a podochociwszy sobie wdał się w kłótnię, tak, że musiał stanąć szlachcicowi do korda, który, że był zawołanym rębaczem, uciął mu od razu pazur u łapy. Odtąd Boruta niechce wyłazić z lochu, bo mu wstyd, że go szlachcic obciął tak szkaradnie.*)

153. Twardowski.

Twardowski był dobry szlachcic, bo po mieczu i kądzieli. Chciał mieć więcéj rozumu, niż mają drudzy poczciwi ludzie i znaleść od śmierci lekarstwo, bo niechciało mu się umrzeć.

W staréj księdze raz wyczytał, jak djabła przywołać można: o północnéj przeto dobie wychodzi z Krakowa, kędy léczył w całém mieście i przybywszy na Krzemionki, zaczął biésa głośno przywoływać. Stanął prędko zawezwany: jak w one czasy bywało, zawarli z sobą umowę.

---

*) O Borucie krąży taż powieść i w Litwie nadniemeńskiéj.

Na kolanach zaraz djabeł napisał długi cérograf, który własną krwią Twardowski wyciśniętą z serdecznego palca podpisał.

Między wielą warunkami był ten główny: że dopóty ni do ciała, ni do duszy czart niema żadnego prawa, dopóki Twardowskiego w Rzymie nieułapi.

Na mocy téj to umowy, djabłu, jako swemu słudze, rozkazał naprzód, by z całéj Polski srebro naniósł w jedno miejsce i piaskiem dobrze przysypał. Wskazał mu Olkusz; posłuszny służka dopełnił rozkaz wydany i z tego srebra powstała sławna kopalnia srebra w Olkuszu.

Wszystko, co jeno zażądał żywnie, miał na swojém zawołaniu: jeździł na malowanym koniu, latał w powietrzu bez skrzydeł, w daleką drogę siadł na kogucie i prędzéj bieżał niż konno; pływał po Wiśle ze swoją kochanką wstecz wody bez wiosła i żagli; ogromny kamień pod Czerwińskiem sam przeniósł i jednéj nocy wykopał pod Knyszynem staw, Czechowizną zwany.

Upodobawszy jednę pannę chciał się ożenić; ale panna chowała we flaszce robaka i pod tym warunkiem obiecywała oddać temu rękę, kto zgadnie, co to za robak?

Twardowski w ciemie niebity, przebrał się za dziada, i przyszedł do ładnéj panny. Pyta go zaraz ukazując z dala flaszeczkę:

Co to za zwiérz, robak czy wąż?
Kto to odgadnie, będzie mój mąż.

a Twardowski odrzekł na to: To jest pszczółka mościwa panno!

Zgadł w istocie i wnet się ożenił.

Pani Twardowska na rynku krakowskim ulepiła z gliny domek i w nim przedawała garnki i misy. Twardowski za bogatego przebrany pana, przejeżdżając z licznym dworem, tłuc je zawsze czeladzi kazał. A kiedy żona

ze złości wyklinała w pień, co żyje, on siedząc w pięknéj kolasie, śmiał się szczérze z téj psoty.

Złota miał zawsze by piasku; bo co chciał, to djabeł znosił. Kiedy długo dokazuje, raz był zaszedł w bór cienisty, bez narzędzi czarnoksięzkich. Zaczął dumać zamyślony; nagle napada go djabeł i żąda, aby niezwłocznie udał się do Rzymu.

Rozgniewany czarnoksiężnik, mocą swojego zaklęcia zmusił biésa do ucieczki: zgrzytając kłami ze złości, wyrywa sosnę z korzeniem i tak silnie Twardowskiego uderza po obu nogach, że jednę zgruchotał cale. Od onéj doby już był kulawy i zwany odtąd powszechnie kuternogą. W ostatku sprzykrzywszy sobie zły duch, czekając dość długo na duszę czarnoksiężnika, przybiera postać dworzana i jak biegłego lekarza zaprasza niby do swojego pana, że potrzebuje pomocy. Twardowski za posłańcem spieszy do jednéj wsi w Sandomierskiém, niewiedząc, że w niéj się gospoda nazywała Rzymem.

Skoro tylko próg przestąpił onéj karczmy, mnóstwo kruków osiadło dach cały i wrzaskliwémi głosy napełniało powietrze. Twardowski od razu poznał, co go może tutaj spotkać: więc z kołyski dziecie małe, świeżo dopiero ochrzcone, porywa na ręce i zaczyna piastować, gdy w własnéj postaci wpada djabeł do izby.

Chociaż był pięknie ubrany, miał kapelusz trójgraniasty, frak niemiecki, z długą na brzuch kamizelką, spodnie krótkie i obcisłe, a trzewiczki ze sprzączkami, wszyscy go poznali od razu; bo wyglądały rogi z pod kapelusza, pazury z trzewika i harcap z tyłu.

Już chciał porwać Twardowskiego, gdy spostrzegł wielką przeszkodę, bo małe dziecię na ręku, do którego niemiał prawa. Ale biés wnet znalazł sposób; przystąpił do czarownika i rzecze:

Jesteś dobry szlachcic: zatém *verbum nob esse stabile.*

Twardowski widząc, że niemoże złamać ckiego słowa, złożył w kołyskę dziecię, a wraz towarzyszem wylecieli wprost kominem.

Ząwrzasło radośnie stado kruków. Lecą wy raz wyżéj. Twardowski niestracił ducha; spojr dół — widzi ziemię i miasto Kraków.

Żal mu szczéry serce ścisnął: tam zostawił wszyst co kochał w życiu; ozwało się w nim uczucie z lat nie winności i zanucił godzinki. Bowiem w młodości swojéj, kiedy był pobożny, ułożył był kantyczki na cześć Maryi i Jezusa.

To go uratowało od piekielnéj mocy: albowiem, gdy skończył oną pieśń, poznał zdziwiony, że już więcéj w górę nieleci i że zawisł w powietrzu. Oglądnie się koło siebie, już niewidzi towarzysza swéj podróży; głos tylko mocny słyszy nad sobą:

— Zostaniesz do dnia sądnego zawieszony, jak teraz!

Dziś, gdy miesiąc zejdzie w pełni, pokazują czarną plamkę, która jest ciałem Twardowskiego, zawieszoném do dnia sądnego.

154. Dziewięć groszy.

Mieszkał w Bydgoszczy szlachcic polski, który piękny majątek osiągniony po przodkach zmarnowawszy, po kraju się włóczył. Przypadek sprowadził Twardowskiego do tegoż miasta. Z nim marnotrawca znajomość zawiera, stanu swojego się zwierza i aby go swą cudowną sztuką z niedostatku wydźwignął, prosi. Lituje się Twardowski, proszącemu daje radę, zalecając, iż od

…j dopełnienia wszystko zależy. — Idź! — rzecze …kaj pustéj na ustroniu chaty i miawszy z sobą …pieniążków ani mniéj, ani więcéj, będziesz je …ku liczył, powtarzając zawsze od jednego do …ciu i na odwrót od dziewięciu do jednego, aż do…nieć zacznie. Strzeż się zaś najusilniéj pomyłki, …o wszystko zepsuło. Strachów się żadnych nielę… bo ja cię zapewniam, iż te nic złego ci niezrobią. …y to dopełnisz, staniesz się bogatszym panem, niżeli …yłeś i nigdy ci na pieniądzach zbywać niebędzie. — Słucha rady chudzina; znajduje pustą chatę, siada i natężoną myślą, aby się niepomylił, dziewięć groszy rachuje. Już dnieć miało, gdy czart w Twardowskiego postaci przed nim staje i czyby się niemylił? pyta. Ten odpowiada z radością, że nie. — Rachujże! rzekł mu daléj — bo dzień niedaleko — i zniknął.

Chce nieborak liczyć, ale na czém stanął, niepamięta. Otóż po bogactwach! Wychodzi pełen rozpaczy; ale mu djabli drogę zastąpili. Od nich stłuczony i zbity, ledwie się biedak do miasta zaczołgał; a żałując swojego postępku, resztę życia pokucie poświęcił w mniszym kapturze i w bydgoskim klasztorze Reformatem został.

155. Odmłodzenie się Twardowskiego.

Twardowski, który całe życie pracował, aby się wykręcić od śmierci, wynalazł wreście sposób pewny. Na kilka lat przed porwaniem swojém, zaufanemu uczniowi kazał się posiekać w kawałki i przepisał mu, jak daléj ma postępować. Uczeń rozgłosił śmierć Twardowskiego, jakoż znikł czarnoksiężnik, a tymczasem krajał ciało jego, siekał, gotował zioła i maście. Tak posiekawszy, maścią nasmarował, polał sokami roślin i złożył napowrót

ciało, jak należy. Niepochowano je na cmentarzu, ale pod murem otaczającym w koło. Twardowski polecił, aby przez trzy lata, siedm miesięcy, siedm dni i siedm godzin leżało ciało nieodkrywane. Wierny uczeń dotrzymał wiernie i przepisu i czasu odkopania grobu.

O północy w pełni księżyca sam z rydlem zapaliwszy siedm świéc z tłustości trupiéj, wziął się do roboty, zrzucił ziemię i oderwał nadgniłe wieko. Jakiż podziw! Zwłoki Twardowskiego znikły, w miejscu wiorów, na których leżało, kwitły wonne fiołki i macierzanka: na téjto murawie spoczywało snem ujęte nadobne dzieciątko; zachowawszy w zdrobniałych rysach oblicze Twardowskiego. Wyjął to dziecię — zaniósł do domu: przez noc urosło, by przez rok; za siedm dni już mówiło tak o wszystkiém, jak Twardowski, w siedmiu miesiącach urosło w młodzieńca. — Wtedy zaczął znowu pracować odrodzony Twardowski w czarnoksięzkiéj sztuce: wynagrodził sowicie wiernego ucznia; wszakże zaraz, żeby tajemnica odrodzenia niewyszła na jaw, zaklął go w pająka, trzymał w swojéj komnacie mając o nim czułe staranie.

Kiedy potém djabli porwali Twardowskiego z karczmy, a on pająk, ile razy z domu wychodził, przyczepiał się doń nitką — i zawiesili w powietrzu; pająk, wierny towarzysz przyczepiony do jego nogi, spuszcza się na swojéj nici ku ziemi, przygląda, co się dzieje, wraca na powrót i usiadłszy na uchu, rozpowiada mu, co widział i usłyszał, czém nędzarza pociesza.

156. Cień Barbary.

Żałosny król Zygmunt August po stracie ulubionéj swéj żony Barbary Radziwiłłównéj, cień jéj przynajmniéj

oglądać pragnął. W wychowaniu niewieściém młodości swojéj nasłuchał się tysiącznych powieści, jak dusze osób zeszłych, lub same dobrowolnie, lub wywołane sztuką czarnoksięzką, ukazywały się żyjącym. O możności więc niewątpił, chęci swéj zwierzył się dworakom, ubiegającym się w staraniach zadosyć uczynienia żądzy swego pana. Sprowadzono zewsząd do dworu ludzi w sztuce czarodziejskiéj biegłych, obiecano sowitą nagrodę, ktoby dokazał tego, iżby król skutkiem swych chęci pocieszony został. Podjął się tego Twardowski, czego inni nieśmieli i królowę Barbarę chodzącą, królowi pokazać przyrzekł. Zawierza król przyrzeczeniu i czasu ku temu przeznaczonego z największą niecierpliwością oczekuje. Ostrzega tylko Twardowski Augusta, aby w milczeniu i spokojnie siedząc na widok ukazującéj się królowéj z miejsca się swego nieruszył, inaczéj za duszę i za życie króla niezaręcza.

Poddaje się August tak twardemu i tak trudnemu do zachowania warunkowi, byle dopiął celu swych chęci. Nadeszła pożądana chwila; wywołana z cieniów śmiertelnych zjawia się mara. Ledwie zdołał Twardowski na miejscu króla zatrzymać, tak żywo się porwał i chciał lubą marę uściskać, aż w tém widmo zniknęło.

157. Zwierciadło Twardowskiego.

W Węgrowie w kościele farnym znajduje się w zakrystyi zwierciadło z metalu białego, płaskie, wysokie cali 22, szerokie 19, z fasetką do koła, w czarne, szerokie, staroświeckie ramy oprawne, przezroczyste, żadnéj skazy na sobie niemające, rozbite tylko u dołu na czwartą część wysokości. Podanie miejscowe niesie, że studenci ciskali dawniéj w to zwierciadło ciężkiemi rze-

czami, dla tego, że w niém pokazywały się rozmaite postacie drażniące i straszące ich; naostatek jeden uderzywszy kluczami kościelnémi, roztrzaskał je w ten sposób, iż odtąd dziwacznemi potworami więcéj ich niestraszyło. Zwierciadło to należało do czarnoksiężnika Twardowskiego, jak sam napis na ramach białemi literami wyraża:

Luserat hoc speculo magicus Twardovius artes
Lusus at iste, Dei versus in obsequium est.

Zwierciadło to zawieszone wysoko nad drzwiami dla tego, iż straszyło wpatrujących się w takowe; księża szczególniéj ubierając się do mszy, przeglądać się w niém niemogli, gdyż djabeł zwykle się pokazywał.

158. Liber magnus.

I.

Z pazura lwa poznać, a z dzieł życie człowieka. Jakie życie prowadził ów sławny czarnoksiężnik Twardowski, jak je skończył, wykazuje owe dzieło jego czarodziejskie, czyli rękopism, który po śmierci króla Zygmunta Augusta, z daru jego z wielą innémi księgami wileńskiemu domowi Jezuitów się dostał, o którym ksiądz Szpot pisze, iż słyszał z ust księdza Daniela Butwiła, naówczas pomocnika przełożonego nad księgozbiorem wileńskim, który mu wskazał miejsce osobne, gdzie książka rzeczona Twardowskiego łańcuchem żelaznym do muru przykuta była. Gdy ów ksiądz ciekawością zjęty coby zawierała, czytać ją zaczął, dał się słyszeć zgiełk i łoskot okropny w książnicy: zbiegły się snadź złe duchy, a ksiądz przelękniony rzuciwszy książkę, ledwie do pobliskiéj izby zemknąć zdążył i całą noc potém z przestrachu bezsenną przepędził. Nazajutrz rano wezwawszy drugich, wszedł

do książnicy; ale już owéj książki nieznalazł, ani mógł wiedzieć, gdzieby się podziała.

II.

Księga ta znajdowała się potém w książnicy krakowskiéj. Pewien żak słyszał, że ktoby w niéj czytał, temu djabeł się objawi i spełni rozkaz, jaki mu wyda czytający. Zakradł się więc pewnéj nocy, otworzył ją i czytał formuły czarnoksięzkie. W tém djabeł stanął przed nim w straszliwéj postaci i zapytał, czego żądasz? — Żak, który się nastraszył niezmiernie, zamiast powiedzieć: chcę pieniędzy! jak był sobie ułożył, rzekł: chcę pietruszki! — Posłuszny rozkazowi djabeł, zaczął nosić i drzwiami i oknami pietruszkę, ale szczęściem, że kur zapiał, więc musiał zaprzestać roboty.

Koniec.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA POZNAŃ

SPIS PODAŃ I LEGEND.

		Stron.
1.	Smok. Z kroniki Bielskiego	1.
2.	Mysza wieża w Kruświcy. Z tegoż	1.
3.	Piast. Z tegoż	3.
4.	Pięciu męczenników kazimierskich. Z podania ustnego od Berwińskiego	4.
5.	Wskrzeszenie Piotrowina. Z Bielskiego	14.
6.	Męczeństwo Św. Stanisława. Z tegoż	16.
7.	Piotr Duńczyk. Z Wspom. Wielkop. E. Raczyńskiego.	16.
8.	Oblężenie Nakła. Podług Długosza	17.
9.	Pani Kinga. Z pod. ust.	18.
10.	Paweł z Przemankowa. Z kron. Bielsk.	19.
11.	Biskup Gamrat. Z Kowalickiego	20.
12.	Czterdziestu dziewięciu męczenników sandomierskich. Z Kołudzkiego	20.
13.	Wawrzyniec Powodowski. Z Wsp. Wielkp. Racz.	21.
14.	Processya duchów. Z Kołudzk.	22.
15.	Złotaryńko. Z tegoż	22.
16.	Królowa Baltyku. Z Wspom. Żmud. Jucewicza	23.
17.	Witolf. Hist. Lit. Narbuta	26.
18.	Krysztofor. Z pod. ustn. przez Berwińskiego	27.
19.	Anafielas. Z Narbuta	30.
20.	Krumine. Z tegoż	30.
21.	Nemon. Z tegoż	32.
22.	Rumszys. Z pod. ustn. od Brzozowskiego	33.
23.	Wajdelotka. Z Narbuta	35.
24.	Mogiły Soroki, Nepromacha i Praxedy. Z Izopolskiego zbioru pieśni i podań	35.

Stron.

25. Perepiat i Perepiatycha. Z pod. ustn. . . . . 36.
26. Mogiła Mełanki. Z Izopol. . . . . 36.
27. Swirydowa mogiła. Z Izopol. . . . . 37.
28. Wał Olgi. Z pod. ustn. na Podolu . . . . . 38.
29. Wał Żmii. I., II., III. Ze zbioru pieśni ukr. Izopol. 39.
30. Góra Koniusza. Z kron. Bielsk. . . . . 41.
31. Żupy solne w Wieliczce. Szrater Sal. Viel. descr. . 42.
32. Strukis. Z Pieśni lit. Brzoz. . . . . 42.
33. Krynica Parascewy. Z Bibl. Warsz. 1844. Kraszew. 43.
34. Lasy Użwarmskie. Wspom. Żmud. Jucewicza . . . . 44.
35. Dziwo w jeziorze krakowskiém. Z kron. . . . . 44.
36. Dżuga. Ze Wspom. Żm. Jucew. . . . . 45.
37. Szatryja. Z tegoż. . . . . 45.
38. Kiszporg. Z hist. liter. Wiszniowskiego . . . . . 46.
39. Orły Herburtów. Z pod. ustn. . . . . 49.
40. Pilecki. Z Woj. Kle. . . . . 49.
41. Skała Kmity. Z Przyjaciela Ludu . . . . . 49.
42. Kamienna figura na kollegiacie wiślickiéj. Z pod. ust. 50.
43. Żaby, drzwi i grobla w Wiślicy. Z pod. ustn. . . . . 51.
44. Zamek Ojcowski. Z Przy. Ludu . . . . . 53.
45. Głowa w izbie senatorskiéj w Krakowie. Z p. Tańsk. 54.
46. Stół marmurowy w Olesku. Z star. rękop. . . . . 55.
47. Król Sobek. Z pod. ustn. z okolic Kałusza . . . . . 55.
48. Wąsy króla Jana. Z gaw. Wojcickiego . . . . . 56.
49. Pan Przyjemski. Z Wsp. Wielkop. Raczyńsk. . . . . 56.
50. Wieża czarnéj księżniczki w Szamotułach. Z tegoż . 57.
51. Zaklęty zamek w Lubaszu. Z tegoż . . . . . 58.
52. Widmo w zamku Rydzyńskim. P. Fr. M. . . . . 59.
53. Skarbiec w Zbąszyniu. Z Wsp. Wielkop. . . . . 61.
54. Krzywoprzysiężna pani. Z pod. ustn. . . . . 62.
55. Zamek w Wyszynie. Z Wsp. Wielkop. . . . . 63.
56. Lubrański. Z tegoż . . . . . 64.
57. Zamek Jazłowiecki. Z pod. ustn. . . . . 64.
58. Skrzynno, jezioro pod Mosiną. Z Wsp. Wielkop. . . 65.
59. Myśliwy pan. Z tegoż . . . . . 65.
60. Pająk w Pajęcznie. Z pod. ustn. . . . . 66.
61. Kościół Bożogrobców w Gnieźnie. Z Przy. Ludu . . 67.
62. Skarb w Luboni. Z Wsp. Wielkop. . . . . 67.
63. Stare zamczysko w Korniku. Z Przy. Ludu . . . . . 69.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
W POZNANIU
1303739

TYLKO DO KORZYSTANIA
NA MIEJSCU